10

F. Hoesick

„Siła fatalna"
poezyi Słowackiego.

Z hist. liter. Nr 10.

Ferdynand Hoesick.

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mnie żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadaczów chleba, w aniołów przerobi.

Tak pisał Słowacki w swym poetycznym Testamencie na krótko przed śmiercią, a gdy ta przedwczesna śmierć z suchot w dniu 3 kwietnia 1849 r. nastąpiła, wreszcie i cielesne szczątki poety spoczęły na paryskim cmentarzu, od tej chwili zaczęło się stopniowe działanie tej „siły fatalnej“ jego poezyi, siły, która nas, nadmiernie do ziemskiego padołu przywiązanych „zjadaczów chleba“, ma ostatecznie przerobić z czasem w... aniołów, to znaczy w idealnych obywateli Królestwa Bożego na ziemi, zwłaszcza na ziemi polskiej.

Czy to przewidywane przez wieszcza przeanielenie się nasze jest możliwe w ogóle, zważywszy ułomność natury ludzkiej, a tem samem i naszej, jako Polaków? Czy ta wzniosła przepowiednia nie jest zwykłą poetyczną utopią, albo poprostu stylistyczną metaforą?... Bądź co bądź jeszcze nam do tej uduchowionej doskonałości daleko, po-

Wojsko polskie określa konstytucya (art. 79) na 30.000, nie licząc w to gwardyj narodowych. W r. 1809 doszło ono do cyfry 60.000, licząc razem warszawskie i francusko-galicyjskie. [1])

Pokost francuski miało nadać społeczeństwu polskiemu wprowadzenie kodeksu Napoleona (art. 69).

---

[1]) Maryan Kukiel: Z dziejów organizacyi wojsk polskich 1717—1864. Piotrków 1916.

Stanisław Starzyński.

(Dokończenie nastąpi).

mimo, że już upłynęło kilkadziesiąt lat od napisania tego patetycznego *Testamentu!* imię Słowackiego, wcale nie podobne do „pustego dźwięku“, trwa już przez czwarte pokolenie, a sława jego, której tak mało kosztował za życia, wzrasta z każdym rokiem, ~~z każdym miesiącem, z każdym tygodniem, a nawet z dniem każdym~~! Wprawdzie i dziś jeszcze, jak na emigracyi, ma on swoich antagonistów, ale zastęp ten może się tylko zmniejszać z biegiem ~~czasu~~, nigdy zwiększać. W każdym razie obecnie na jedno godzą się niemal wszyscy: że choć Mickiewicz, jako autor *Pana Tadeusza* i *Dziadów*, przerasta Słowackiego, podobnie, jak Goethe, jako twórca *Fausta*, góruje nad Schillerem, to jednak różnica pomiędzy nimi nie jest tak znowu wielka, by posąg Słowackiego nie był godnym stanąć *obok* posągu Mickiewicza *na równej wysokości*, podobnie, jak to widzimy na słynnym pomniku Goethego i Schillera w Weimarze.

> A tych dwóch wodzów? Czy ty myślisz, Irydionie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak ludzie we wspomnieniach powiążą i na jednym stosie postawią...

Kreśląc te słowa w przypisaniu *Lilli Wenedy* Krasińskiemu, wyobrażał sobie Słowacki, że z czasem jego i Zygmunta nazwiska naród tak razem wymawiać będzie, jak się wymienia obok siebie Kastora i Polluksa, Dantego i Petrarkę, Ariosta i Tassa, Michała Anioła i Rafaela, Mozarta i Beethovena, Byrona i Shelleya. Wyobrażał sobie nawet, że w tem ich zestawieniu pierwszeństwo będzie po stronie Krasińskiego: „Bo kiedy ty — pisał do niego w swym poetycznym liście — dawne posągowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego, ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie i na spotkanie twojej czarnej *Dantejskiej* chmury prowadzę lekkie tęczowe i *Ariostyczne* obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, *większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia*, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.“ Takie było przekonanie Słowackiego jeszcze w roku 1841. Pod koniec życia jednakże zmienił zasadniczo swój pogląd w tej kwestyi; z porównania bowiem poezyi swojej z utworami innych współczesnych sobie poetów polskich, doszedł do wniosku,

że tym poetą, obok którego imię jego po wieczne czasy zapisanem będzie, nie jest Krasiński, lecz Mickiewicz. W swoich rozmowach w roku 1847 z Felińskim poruszał on nieraz ten temat, a zawsze ponad wszystkich poetów wynosił Mickiewicza. O Krasińskim i Zaleskim, których sława dosięgała wtedy zenitu, tak, iż zaćmiewała samego nawet autora Pana Tadeusza, wyrażał się z krytycyzmem, pod którym dzisiejszy *vox populi* niezawodnie podpisałby się bez zastrzeżeń. „Oni — mówił do Felińskiego o Zaleskim i Krasińskim — przysypują nas (t. j. Mickiewicza i Słowackiego) popiołem; ale przyjdzie czas, że wiatr zmiecie ten popiół, a czyste złoto zostanie.“

Upłynęło właśnie lat siedmdziesiąt od wypowiedzenia przez Juliusza tej opinji — i słowa jego sprawdziły się w całej pełni: wiatr zmiótł popiół (co w szczególności odnosi się do Zaleskiego), a temi postaciami dwóch poetów narodowych, które się wyłoniły z pod niego, są przedewszystkiem Mickiewicz i Słowacki (co zresztą nie umniejsza bynajmniej znaczenia i stanowiska Krasińskiego).

Poróżnieni i poróżniani emigracyjnem plotkarstwem i koteryjnością, nie lubiący się osobiście (co zresztą nie przeszkadzało Słowackiemu wielbić w Mickiewiczu genialnego poety, któremu chętnie przyznawał wyższość nad sobą), dziś wysunęli się na samo czoło naszego poetyckiego Parnasu, na którym, niby symboliczne postacie Platona i Arystotelesa na Dyspucie Rafaela, dominujące wśród innych licznych wybrańców Apollina zajmują miejsce.

A nawet ma się wrażenie, że w tym pośmiertnym turnieju Słowackiemu w niejednem starciu z Mickiewiczem dostaje się palma pierwszeństwa, że autor Beniowskiego miał prawdziwe jasnowidzenie, gdy na swej pamiętnej uczcie w roku 1840 u Januszkiewicza, zwracając się do twórcy Dziadów, zawołał dumnie:

...przyszłość moja,
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

Nie jest to decydujące zwycięstwo na wszystkich polach, ale na jednem, mianowicie w dziedzinie poezyi i sztuki, zdaje się ono nie podlegać najmniejszej wątpliwości.

I.

Nawet nietylko w zakresie literackim i artystycznym, bo w latach 1861—1862, w gorączkowej atmosferze manifestacyj przedpowstańczych, całe rozegzaltowane pokolenie hołdowało przedewszystkiem politycznym ideałom Słowackiego, nie Mickiewicza, ideałom, których wyrazem w pierwszym rzędzie był Kordyan i wiersz Do autora Trzech psalmów, sławiący „ducha, wiecznego rewolucyonistę“. Zaprzeczyć się nie da, iż choć ta „siła fatalna“ poezyi Słowackiego wywarła na ówczesne społeczeństwo i jego polityczny sposób myślenia wpływ fatalny, to jednak nie trzeźwy Mickiewicz, ale egzaltowany Słowacki był wtedy duchowym przewodnikiem narodu, [illegible] przewodnikiem, niestety, który go zaprowadził nad przepaść... Sprawa wzięłaby całkiem inny obrót, gdyby ówczesnemu społeczeństwu przewodniczył duch Mickiewicza, gdyby on wtedy był narodowem bożyszczem, a nie Słowacki.

Około tego nieszczęsnego wpływu poezyi Słowackiego przed wybuchem powstania w r. 1863 obraca się piękny wiersz Asnyka, starający się uniewinnić Juliusza:

...Oskarżono Ciebie przed narodem,
Że kazałeś bezwładnym poruszać się bryłom
I po swej śmierci, niosąc pieśń jak sztandar przodem,
Prowadziłeś bezbronne zastępy na wyłom,
Gdzie bez nadziei zwycięstw lały krew obficie.
Jeśli to twoją winą? że budząca życie
Pieśń jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię
I na chwilę zwiększyła naszych nieszczęść brzemię,
Krwawe widmo Ojczyzny wywołując z trumny:
Jeśli to twoją winą, że pchany rozpaczą
Naród zerwać chciał więzy, to możesz być dumny!

Ci, którzy ucierpieli najwięcej, przebaczą —
I Polska Ci przebaczy, kochający synu,
I nie będzie dla Ciebie żałować wawrzynu.

Choć niema — i nie może być — dwu zdań w tej kwestyi, że twórca Pana Tadeusza i Wallenroda, ~~jako pierwszorzędny geniusz poetycki~~, jako jeden z kilku największych poetów świata całego, a największy poeta słowiański, daleko pozostawia za sobą w tyle olbrzymi talent autora Beniowskiego i Ojca zadżumionych, to jednak, dziwna rzecz, poezya polska poszła

nie w tym kierunku, jaki jej wytknął Mickiewicz, lecz w tym, jaki jej wytknął Słowacki. Autor Dziadów, choć zdrowszy, jaśniejszy i prostszy, aniżeli jego nerwowy i przeczulony współzawodnik, nie może pochlubić się twierdzeniem, że wywarł przeważny wpływ na przyszłe generacye poetów. Przeciwnie, autor Kordyana: bo prawie wszyscy poeci polscy, którzy po nim zdobyli sobie zaszczytne miejsce na Helikonie narodowym, są jego duchowemi dziećmi. I to tak dalece, że wpływ, jaki Słowacki wywarł na poezyę polską w drugiej połowie XIX wieku i początkach XX wieku, da się porównać z jednym tylko wpływem Byrona na wszystkich poetów europejskich w ostatniem stuleciu.

Co najciekawsze, że wpływ ten zaczął się już za życia poety, wówczas, kiedy jeszcze on sam ginął pozornie w cieniu, rzuconym od olbrzymiej postaci Mickiewicza, i kiedy imię wieszcza Dziadów było na ustach wszystkich w całym narodzie, a o Juliuszu Słowackim wiedziała zaledwie nieliczna garstka. Mimo to „siła fatalna" jego poezyi już zaczęła „niewidzialna" wywierać swój czar na niektórych braci po lutni.

Pierwszym poetą polskim, który przejął się stylem Słowackiego, był Zygmunt Krasiński, bo gdy, uderzony pięknością wiersza Do autora Trzech psalmów, jako „jedną z przedziwności języka polskiego", postanowił nie pozostawić go bez odpowiedzi, napisał swój Psalm żalu o ile możności w tym samym sposobie i tonie, jak inkryminowany utwór Juliusza, z tą różnicą jedynie, że darmo kusił się o lekkość i powiewność formy pierwowzoru, „brzmiącej — według jego własnego wyrażenia — cudownemi dźwięki", a dla niego, mającego wiersz trudny i ciężki, całkiem niedostępnej. Mimo to są w Psalmie żalu niektóre ustępy, wcale nieźle naśladujące rozmach i polot wiersza Słowackiego, choć nigdzie nie osiąga jego wirtuozowskiej świetności i błyskotliwości, nie mówiąc już o poetyczności „obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych", które, choć godziły w niego boleśnie, tak go zachwycały jednocześnie jako znawcę poezyi.

Drugim poetą, który w tym samym roku 1846, zachwycony formą i poetycznością wieszcza Do autora Trzech psalmów, starał się go naśladować, był Stanisław Koźmian, gdy napisał swój, głośny swego czasu, Wiersz do mistrzów Słowa. Co najszczególniejsze, iż tym ustępem tego wiersza, w którym Koźmianowi najbardziej się udało popaść w ton Słowackiego, jest właśnie ustęp, zwrócony do... Krasińskiego!

Niemniej nasuwa się pytanie, czy Ryszarda Berwińskiego *Don Juan poznański*, wydany przez autora w Poznaniu w r. 1844, a więc w jakieś trzy lata po ukazaniu się *Beniowskiego*, jest już pisany pod wpływem tego poematu Słowackiego, czy też poeta naśladował w nim tylko *Don Juana* Byrona. Że Berwiński znał już utwory Słowackiego, dowodzi strofka z jego kapryśno-pretensjonalnego poematu *Bez Końca*, w której bohater „straszne się zaklinał"

Przez krew, co z wszystkich serc dotąd ciekła,
Wszystkich Gustawów, Werterów,
Przez wszystkie męki, przez wszystkie piekła,
Dantów, Dantyszków, Homerów.

Jeśli Berwiński znał *Dantyszka* Słowackiego, to trudno przypuścić, by na nim *Beniowski* nie zrobił silniejszego wrażenia. To pewna, że w licznych dygresjach, zarówno pierwszej, jak i drugiej pieśni *Don Juana poznańskiego* nie brak strof, które mogą uchodzić za wzorowane na *Beniowskim*. Dość przytoczyć następujące:

Ominąłem długo, i prawie prawie
Całego doszedł sekretu;

5,6

Może
Może go nawet światu wyjawić,
Ale nie dzisiaj, i nie tu.

Bo na klasycznych ćwiczony wzorach
porządek,
Nad wszystko cenię porządek,
I światło nawet w ciemnych kolorach,
I nawet w bredniach rozsądek.

chce
Niech więc romantyk jak chce skacze
I krzyczy to krzyczy piosenki;
że
Lecz iż umie tylko właśnie wypłacze
I łzy potrzebne i jęki,

Więc je zatrzymam, dopóki światła
Nie wytłumaczę w księżycu,
z płatka
Że i tam wszystko wisi jak i płatka
Łzy, jęki, wypada na lica.

Kropki – – – – – – – –
nota bene
A nota bene tego sekretu
Nikt z współczesnych nie widział,
rąbkiem
Że w niej między rąbkiem grzechu
A sercem, djabli był przedział.

– – – – – – – –

Że przerywając powieści wątek,
Pieśń tę zaczynam ukosem,
Tak, że jej koniec i jej początek
Będzie to istna pieśń z nosem.

wyznaję
Grzech mój w niniejszej wyznaję strofce
ślince
Lecz służąc rymom i ślince,
A przecież Polak, wolę manowce,
Niż proste, bite gościńce.

\- - - - - - -

Wracam do rzeczy [illegible]. A zatem
Poznańskiem
W Poznańskiem, wierz mi lektorze.
Są
Są literaci, a literatem
Nie każdy jednak być może.

W Poznańskiem jednak, ach! w tem Poznańskiem
W tem naszem polsko-germańsko-
Arysto- demo- Kratyczno-
Arysto-demo-kratyczno-pańsko-
k
Filozoficzno-Kapitańskiem,

Są ludzie, są więc i literaty!
chcesz
Jeśli dowodów chcesz [illegible],
sześć
Za [illegible] talarów prenumeraty
Wszystkich zakupim z ostatkiem.

5, 2

Są takie strofki w tym Don Juanie Berwińskiego, w których pobrzmiewa jakby ironia Grobu Agamemnona:

O tak, rzeźnie i pod Ostrołęki
I pod Dębe, Igań, Grochowa,
Wawrzyn do każdej przypinaj ręki
Lecz cóż na głowę?... Ah! głowa...

Musiano o głowę, kiedy są laury,
I cóż że niema ojczyzny,
Kiedy po stajniach są Bucentaury,
Po twarzach marsy i blizny!

— — — — — — — — —

Musiałem kęs zacząć nieromantycznie *)
A śpiewać nie po polsku!
Skończyłem jakieś patetycznie
Skończyłem czysto po polsku.

Bo nie skończyłem! „Brawo ci, brawo,
O narodzie nasz wiekom!"
Krzykną rycerze, co pod Warszawą
Przez trzy dni stali na sianem

*) Niech romantyczne lekcja najlepsza.

Kumb i gramatyk, a dziś uczonego
Skrzywiły wstydu wyrazy
Szlachecko-polsko-narodowego,
Bo nie (nie) skrzywiły dla kraju.

A było ich tam sto razy tyle
Co owych synów Hellady.
Którzy... lecz o tem wiedzą Termopile
Świadczą... Kto poszedł (poszedł) w ich ślady?

Kto? Z naszych żaden! Rzecz oczywista (oczywiska)
Że wszystkich (że wszystkich szkoda,) szkoda, lecz głupi
W tylu tysiącach, choć (choć) tylko trzysta
Było (Było) walecznych, mądrych...

\- - - - - - - -

~~Są nawet [illegible] w tym Don Juanie, które niektórzy~~
~~[illegible] [illegible] [illegible] o Krzyżakach~~
~~[illegible]~~
~~[illegible] do Kaukazu~~.

Lecz o tem później. Na czas, by wrócił
Pod te sztandary, w ów szpaler
Gdzie na ich w ostatniej (ostatniej) pieśni powrócił,
Gdzie poemata (poematu) Kawaler.

S. 7

A dotąd u mię nadobnych kleców
Jak kleciłt w pieśni mej pierwszej:
Będzie to temu jakoś mniej więcej
Trzydzieści dziewięć lat wieści wiecznej.

wrzaśnie róg trzeźwi
„To były nie mowie!" wrzaśnie mój druh;
Tu ci pan recenzent i krytyk
muzie
Krzyknął, że mojej muzie i lutni
Chociaż jeden dostał się przytyk.

– – – – – – – –

mość arcymądry wydawca
Bo mi mój arcymądry wydawca
Sam
Sam autor, krytyk i pisarz,
W literackiego gotów być krawca
Zmienić się nagle i w szewca,

By mojej muzie dość ostro kuleś.
Na wszystkie strony Krzyżyka,
Kurtę przykroić i wziąć buty
jać
Nim ją publiczności przywita.

– – – – – – – –

Wolę stracić twej przepowiedni
Zawierzyć, panie wydawco,
I by zgorszenia nie stać się sprawcą,
Na całą resztę przepowiedni.

Płaszcz grobowego zarzucam kir,
A wiersz, co tutaj umiera,
W szczątkach białego grzebię papieru,
O nim dalej przestrzeń zaciera.

Że Don Juan poznański nie jest pisany, jak Beniowski, oktawą, to niczego nie dowodzi; bo przecież i Don Juan Byrona, z którego nawet motto figuruje na czele poematu Beniowskiego, jest pisany oktawą, co jednak na jego poznańskiego imiennika wcale nie pozostało bez wpływu. W każdym razie jest faktem niezaprzeczonym, że Słowacki w Poznańskiem liczył w czasach naszego Bardu licznych zwolenników, że twórczość jego od r. 1839 była w poznańskich czasopismach, zwłaszcza w Tygodniku Literackim omawiana obszernie i gorliwie (przez Libelta między innemi), i że Beniowski, wydany w Lipsku, narobił nietylko w emigracji, ale i w całej Polsce, niemałego wrażenia, przyczem zarówno zwolennicy jak i antagoniści Juljusza zgodzili się na jedno, iż w poemacie tym autor przeszedł samego siebie. Wobec tego trudno przypuścić przypadek, by młody Beniowski nie przejął się nim tak samo, jak w tymże czasie przejął się nim młodziutki autor Chorału.

tu z druku (str 6.)

Gdzieś koronny mistrzu słowa,
Gdzież prorocza twoja mowa!
Ty, coś, jakby w objawieniu,
Na przedwstępnym widząc cieniu,
Jak nam klęska grozi nowa, —
Zabłąkanych na bezdroże,
W ostatecznej jeszcze chwili
Upominał w imię Boże,
I zaklinał, by rzucili
Hajdamackie noże!
Tyś przed klęską piał ostatni,
Więc po klęsce zanuć pierwszy,
Jeszcze sroższy, jeszcze szczerszy
Wygrzmij wyrok na grzech bratni.
. . . .
Kiedy milczą ludu wieszcze,
Znać, iż nie dość cierpiał jeszcze.
Jego męka, to widziadło
Snów w gorączce, piekieł mary,
Nie świt cudu, lecz mrok kary.
Znać, że jeszcze mu nie spadło
Bielmo z oczów; jeszcze chory,
Znać spokoju i pokory
Jasnowiedzą, przez mar cienie
Nie przewidział w uzdrowienie.
Jego bóle — meteory
Na męczeństwa firmamencie,
Błędnych komet pojawiska,
Co świat trwożą, aż pojęcie
Pomknie wyżej, spojrzy zbliska,
I na wieki je ustali
W harmonijnej niebios skali.
. . . .

Kornel Ujejski, który w tym samym czasie debiutował na literackiej widowni, dowiódł swemi Skargami Jeremiego, że w pierwszym rzędzie, niezależnie od swego kultu dla Mickiewicza, zaciągnął się pod sztandar Słowackiego, za którym — jak wspomina w swych Listach z pod Lwowa — „szalał w młodości i po całych dniach tułał się po lasach z jedną z płomiennych książek jego“.

Pod jak silnym wpływem Słowackiego pozostawał Ujejski, o tem najlepiej świadczą jego poezye, począwszy od wiersza Smutno nam, Boże! w którym to podniosłym hymnie nietylko forma i nastrój, ale nawet składnia i budowa zdań, aż do spójników, są wiernem naśladowaniem Smutno mi, Boże! Juliusza.

Pełni jesteśmy płaczu i żałoby,
Że domy nasze wróg kiedyś posiędzie,
I znieważając wodzów naszych groby
Plwać na nie będzie;
Że nasze kości po świecie rozorze...
Smutno nam, Boże!

Że wszelkie ptactwo, co w obcy kraj leci
Wiosną łańcuchem, pieśń powrotu nuci,
A z naszych braci, pędzonych w zamieci,
Żaden nie wróci!
Ciałami tylko wytyczą bezdroże...
Smutno nam, Boże!

Że wróg w lichwiarskie porwał nas objęcie:
Łzami-perłami naszemi frymarczy,
A my bezsilni, i znać już pęknięcie
Na naszej tarczy;
Że wrogów na niej nie kruszą się noże...
Smutno nam, Boże!

Czytając tę ostatnią strofę, trudno sobie nie przypomnieć ostatniej strofy w Beniowskim, gdzie Słowacki, obmywszy laur Mickiewicza „w słów ognistych deszczu", pokazuje mu

że na twojej korze
Pęknięcie serca znać!

Podobnie ma się rzecz z tym „łańcuchem" ptactwa z poprzedniej strofy wiersza Ujejskiego, który to łańcuch, jako obraz, jest wyraźnie zapożyczonym od Słowackiego, który do takich „łańcuchów żórawi" w ogóle w poezyach swych czuł predylekcyę, ale nadto w swym wierszu: Smutno mi, Boże! widział na morzu „lotne w powietrzu bociany długim szeregiem".

Czytając Akt wiary w Skargach Jeremiego, również spostrzega się odrazu, iż w nim Ujejski jest pod wpływem Słowackiego Hymnu o zachodzie słońca na morzu.

Wierzymy, Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabemi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem:
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że synowie pychy
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze przypniesz na łańcuchu,
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą, jak na słońce!
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy, Panie!

Niemniej uderzającym jest wpływ Hymnu Słowackiego na Ujejskiego hymn Do Bogarodzicy, będący rodzajem parafrazy Juljuszowego utworu. Wystarczy zestawić poszczególne strofy obu wierszy, ażeby o tem przekonać się naocznie:

Początek Hymnu Słowackiego brzmi:

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew:
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Początek wiersza Ujejskiego:

Bogarodzico! Dziewico!
Usłuchaj głos człowieczy:
To wielkich bólów głos
Nas siedm krwawi mieczy,
Potrójny gniecie grób...
Bogarodzico!
Jak wichrem zgięty kłos
Kładziem się u Twych stóp.

W ogóle cały ten wiersz Ujejskiego ściśle jest wzorowany na przytoczonej strofie Hymnu Słowackiego.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Panno czysta,
Bo wróg urąga nam,
Nad nami w palce śwista,
Kiedy łzy lejem w dłoń.
Bogarodzico!
Ty hardy kark mu złam,
Prochem mu osyp skroń.

Bogarodzico! Dziewico!
Wszak Polski Tyś Królową,
Czemuż odwracasz twarz
Od ziemi Twej nanowo?
O, usłysz Ludu śpiew!
Bogarodzico!
Pod Twoją świętą straż
Składamy naszą krew.

W roku 1847 w Paryżu miał szczęście Ujejski zbliżyć się osobiście do Słowackiego, a gdy ten, ujęty jego świeżo wydanemi wtedy poezyami, napisał dlań mistyczny wiersz Do autora Skarg Jeremiego, zaszczycony nim młody poeta odwzajemnił się piękną apostrofą Do autora Kordyana, w której siebie przedstawił symbolicznie, jako zbłąkanego baranka, a Słowackiego, jako troskliwego pasterza:

Zamglonem okiem, kiedy baranek
Żegnał się z kwieciem na błoniu,
Ujrzał, iż pasterz, jego kochanek,
Stał na ustroniu.

A więc, czołgając się przez murawę,
U stóp się jego położył,
I oko podniósł ku niemu łzawe —
I ożył!

On, pasterz, z niebem sojusz odprawiał,
Gwieżdżąc się myślą na szlaku.
On, co już nieraz z Panem rozmawiał
W ognistym krzaku.

On taki wielki! A gdy obaczył
Płacz cierpiącego jagnięcia,
Do jego skargi zniżyć się raczył
Z błękitu wzięcia.

Bo on zrozumiał życia zawiłość
I choć go ducha wynosi dzielność,
On rzekł duchowi: przez niższych miłość
Płyń w nieśmiertelność!

Wróciwszy do Lwowa, a pozostając wciąż pod urokiem chwil niezapomnianych, które nad Sekwaną spędził w towarzystwie Słowackiego, młodziutki autor Maratonu napisał stylem Anhellego jakby dalszy ciąg, a raczej dokończenie tego Juliuszowego

poematu, i przesłał mu go wraz ze stosownym listem do Paryża. Oto, co mu na to odpisał Słowacki: „Dopisałeś mi w liście prawdziwy koniec Anhellego; lecz, proszę, lękaj się tego głosu rozpaczy, który w tem dziełku słychać. Takiego jęku nikt nie wydał: rozpacz Byrona jest dzieckiem w porównaniu rozpaczy Anhellego, bo w Anhellim jest rozpacz niby Chrystusa. Niechże więc ten siew straszny będzie daleko od Ciebie. Niech ta przepaść, w którą Izraela pchnęły proroctwa lamentujące Izaasza, Jeremiasza i innych ostatnich wieszczów, Ciebie teraz, że się w języku polskim pokazała, nie zwabia. Duch mi to podyktował wczoraj, gdy już do serca wpuszczałem słodką truciznę harmonijnych słów Twoich; i oto widzisz, że przeciwko sobie powstawszy, spełniam mój obowiązek względem Ciebie.“

W kilka lat po śmierci Słowackiego, w pięknym wierszu, poświęconym Mickiewiczowi, Ujejski, zapraszając wieszcza Dziadów pod swoją strzechę, tak go między innemi prosił o „wieści“ o autorze Anhellego:

Anioł-stróż mój, ten o tobie przynosił mi wieści,
Ty o Innym daj wiadomość równie drogiej treści:
Powiedz o Nim, bo jednako jam was kochał obu,
A boleść po waszej stracie poniosę do grobu.

Powiedz, czy tam na błękitach, gdzie miłość rozlana,
Nie zdybałeś ognistego śpiewaka Kordyana?
Czy on zawsze niespokojny, samotny i smutny?
Czy już, jak ty, duch swobodny, czy jeszcze pokutny?

A w zdybaniu, jakiem okiem on ku tobie błysnął?
Czyś wyciągnął doń ramiona? na szyi uwisnął,
Aby spłakać we łzach wspólnych przedgrobne niechęci?
Czy on z nami? czy już przeszedł Bramę niepamięci?

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło
Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę...
Geniusz blasków! duch Tytana! serce wielkie, dumne!

Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbierał? Kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością za nim wodził okiem do ostatka?
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Gdybyż jeszcze na swej ziemi bez chwały hałasów,
Przysłuchując się do woli głosom pól i lasów,

Mógł je obrać za słuchaczów, a one oddźwiękły,
To by Jemu struny serca tak wcześnie nie pękły.

Dowodem kultu, jaki Ujejski żywił dla Słowackiego, jako człowieka i poety, jest fakt, że gdy mu się urodził pierwszy syn, przezwał go Kordyanem.[1])

Drugim niepospolitym poetą, który już za życia Słowackiego przejął się jegó wpływem, był Cypryan Norwid, autor pierwszego obszerniejszego studyum literackiego o Juliuszu Słowackim i jego poezyi. W studyum tem, na które złożyło się sześć odczytów publicznych, wygłoszonych w roku 1860, wypowiedział Norwid między innemi takie zdanie: „Gdyby przyszło całość poetycznej służby Juliusza na polu języka ocenić, zaprawdę, że należałoby z góry wyznać, iż tu on równego sobie nie ma. Żaden: ani Adam, ani Zygmunt, ani Bohdan, ani sam Jan nawet Kochanowski, nie mieli tak, jak Juliusz, w jednej lirze języków wszystkich wieków, wszystkich, że tak powiem, płci: od języka Bogarodzicy do pamfletu, od rycerskiego słowa do dziewczyny, dźwięk słowiczy mającej w swym akcencie. I oto jest jakoby klejnot korony jego...“ Zaliczając Słowackiego do „największych potęg współczesnych“ [2]), Norwid, mimo swe nadzwyczajne uwielbienie dla twórcy Anhellego i Balladyny, zawsze w swych poezyach starał się być

---

[1]) Mimo to wszystko, gdym w roku 1900 w mych Szkicach i opowiadaniach hist.-literackich zaznaczył ten wpływ Słowackiego na Ujejskiego, prof. Wiktor Hahn, w zjadliwej recenzyi tej książki, ogłoszonej w Kwartalniku historycznym, zakwestyonował w następujących słowach ten mój pogląd: „Tak n. p. o wpływie Słowackiego na Ujejskiego inaczej wyraża się Mazanowski (Antoni), który stanowczo występuje przeciwko bałamutnemu twierdzeniu p. H. (jak je nazywa), jakoby Ujejski był uczniem duchowym Słowackiego.“ W każdym razie prof. Ignacy Chrzanowski zdaje się podzielać moje zdanie, gdy pisze w tej kwestyi, co następuje: „Słowacki olśnił Ujejskiego nietylko blaskiem i świetnością formy, i nietylko swymi poglądami społecznymi, ale i pewnością siebie, przekonaniem, że przeczucia wieszczów są częściowem objawieniem myśli i woli Bożej. Uwielbienie dla Słowackiego widać i z wiersza Do autora Kordyana, i z poematu Wieść o Adamie Mickiewiczu, w którym nazywa Słowackiego: „geniusz blasków, duch Tytana, serce wielkie, dumne, siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie“; widać i z tego, że synowi dał imię Kordyana, a w Listach z pod Lwowa wspomina, że „szalał w młodości za nieznajomym sobie osobiście Juliuszem i po całych dniach tułał się po lasach z jedną z płomiennych książek jego“. Okruchy literackie, str. 85—86.

[2]) Chimera 1904, str. 391.

Jednym z ówczesnych „młodych" poetów, który bardzo się przejął czasem poezją Słowackiego, jest Roman Zmorski. Jego wiersz z r. 1855, natchniony rozmyślaniami Na grobie Juljusza Słowackiego, nietylko ~~[illegible]~~ uznania i wśród reszty, ale słusznie został przez prof. Kallenbacha zaliczony do „najwcześniejszych i najtrafniejszych określeń ewolucji twórczej Słowackiego". Wiersz ten, ujęty w formę oktawy, która stara się naśladować patos Króla Ducha, już przez to zasługuje na przypomnienie, iż mało kto czyta dziś poezje Zmorskiego.

Klątwy istnienia pęty żelaznemi
Orle niebieski, do klatki skowany,
Krusząc pióra własnemi twardemi kajdany,
Z krzykiem rozpaczy zwaleś się od ziemi.
Aż bezustannem szamotaniem ducha
Stargane, pęty ogniwa rozrucha,
I ty, na trupie postawiwszy nogę,
Odkryłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś, przez milczące wieczności przestworze,
Krążysz, stąpając po gwiazdach błyszczących,

11, b.

Jak pątnik górskich rzek wezbrane łonie
Po głazach z głębi przebywa sterczących.
Tak, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie;
Tak pewien jestem, że jeśli ta droga
Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

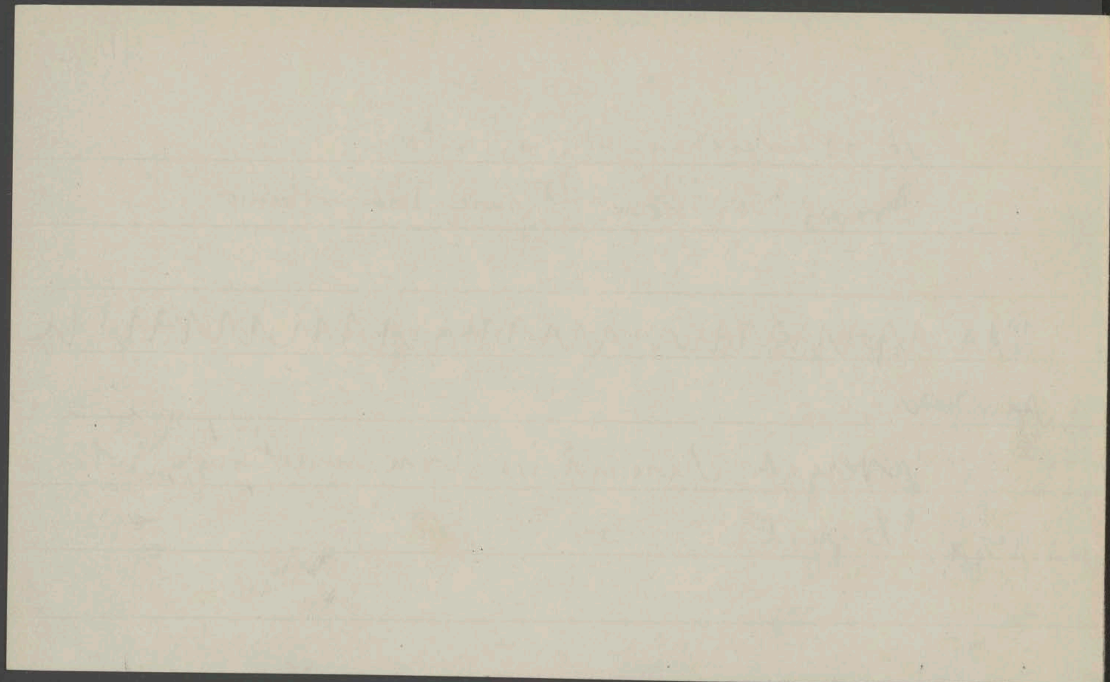
Wszakże, przed kształtu jak byłeś promieniami,
Drogą ci ducha spełnienie się dostało:
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą
Smętny że będziesz zwracać wzrok ku ziemi.
I wszystko niebios wesele tej twojej
Wielkiej boleści wiem, że nie ukoi,
Aż nie zobaczysz: że spełnienie wzięło
Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeśli cię odwiecznie nie zawiodły
Życia twojego wiara i nadzieja;
Jeśli mają władzę duchów modły
Na losy ziemi, na ludzi koleje;
Módl się o jedno! którymś był natchniony.
Wiedz Bóg rozdzieli miłości na miljony;

Z odkupionej siłą tej mądrości
Drogiej twej ziemi [illegible] dzieci wolności.

~~[illegible]~~

W poezjach Mieczysława Romanowskiego, zwłaszcza w jego listach



W pracach Mieczysława Romanowskiego, zwłaszcza w jego listach i przed rokiem 1860, również wpływ Słowackiego daje się stwierdzić niejednokrotnie. Najwyraźniej odbił się to w wierszu z r. 1858 p.t. Straszno mi, Boże! naśladującym Smutno mi, Boże! Juljusza.

Straszno mi wielce, bo samotnie,
Namiętne serce rozdziera się we mnie;
Bo wiecznie pełne, pełne a spragnione
Jej, ach, jedynej! a wiecznie daremnie!
Bo bez niej nie ma nic w mojej młodości,
I piersi mi pęka, a pęknąć nie może...
Bo tak po ziemi iść bez wzajemności
Straszno mi, Boże!

A gdy ściśnięte serce we mnie zaśnie,
Mogilny pacierz ducha mi otacza;
Czuję w nim, jako serc tysiące gaśnie,
Jako tysiące drugich klnie, rozpacza!
Przeszłość wielkości w pokoleniach znika;
Co kocham, z mogił powstać mi nie może
I w podłości tyje ludów tłuszcza dzika...
Straszno mi, Boże!

II, 4

Więc każdy piorun, co grzmi i zapala,
Witam, jak brata, na niebios lazurze;
Ojca każdego, co powraca z dala,
Pytam, ile jest gromów w czarnej chmurze,
I dziś, gdy ptak mię pomija w milczeniu;
Bo nam na gromy długo czekać może,
Bo bez piorunów w takiem utrapieniu
Straszno mi, Boże!

Potem nasycony bólem i skrwawiony
Rzucam się w błękit, aby mię obwinął;
Bo wówczas czuję, żem anioł strącony,
Co stał na straży, a Tyś go ominął!
I radbym stanął tak przed Twe oblicze,
Które Ty ukrył poza słońca... zorze...
A niebo ciemne, zimne, tajemnicze...
Straszno mi, Boże!

Warto, wśród drobniejszych poematów autora Popiela i Piasta, wskazać jeden wierszyk (z r. 1854) p.t. Śpiewak z oazy, pisany prawdziwie wierszem jedenastozgłoskowym, jak Dziecię zadumanych, a miejscami tak żywo przypominający

Wierny opowieści Słowackiego o nieznajomym Arabie w El Arish, że trudno nie pomyśleć o tym arcydziele Juliusza.

Oto n.p. początek wiersza, zatytułowanego „W namiocie”, który i jako scenerja bardzo przypomina Ojca zadżumionych:

Pod tym namiotem bądźcie pozdrowieni!
Niech wam użycza swych gościnnych cieni...
Przyjmcie gościnę u starca ubogą
A wy znużeni... ciężka w pustyni droga.

„Już nie pamiętam, słońce ile razy
Kraj nasz obeszło, jak do tej oazy
Nikt z Beduinów nie zajrzał po drodze...
A dziś samotność już mię dręczy srodze!
Bo zostawionym żyć tylko pamięci,
W której się dziwny zamęt życia kręci,
W męczarniach mojej, a resztą niezmienny,
Ciąży na sercu, jako wał kamienny.
O! to za wiele jest na starca głowę;
I patrzeć ciągle na cierpień osnowę,
Które przypadek czy też stwór szatana,
Nie wiem: to dla mnie otchłań niezbadana.

11.9

W oddziale drugim, zatytułowanym „Kassyda" („Kassydy"), znajdzie się (znajduje się) ustęp jeden, który przypomina niejako Ojca zadżumionych, ale i W Szwajcarii.

…Stanęłam jak wryta,
Chwytając promień od jej oczu odbity;
I gdy ona w krzewy się nie skryła (skryta),
Rzekłbym stał niemy, jak ciosowa bryła;
Odtąd jej wszystkie snu (sny), marzenia moje,
Szły z jej śladami, jak z bluszczem powoje:
Kiedy się śmiała, płakałam nieraz,
Gdy była smutna, to mych pieśni echo
Tak mi żałośnie dźwięczało o skały,
Że mię słuchając dziewice płakały.

Pamiętam… Ach! zarazem wróże!
Jam w ręku pieścił jej cudne warkocze,
A ona ku mnie pochyliła skronie,
I rzekła: „Kocham", i ścisnęła dłonie,
I takim żarem przeszła mi duszę,
Żem widział niebo i piekła katusze.

Ale niedługo było tego szczęścia; bo niebawem zniweczyła je strata przyjaciela, który mu porwał kochankę.

A ja zostałem sam z moją boleścią!

Gromem upadły na mnie jego słowa:
Wspomnieć straszno te wszystkie katusze. katusze
Straszna, ponura ciemnica grobowa
Obwiała w okrąg skołataną duszę: w okrąg
Czułem, że węglem stawała się głowa...

– – – – – – – –

Ranek na niebie świtał koralowo
Kiedym rumaka wstrzymał koło zdroju.
Rosa padała, a nad moją głową
Zabłysło słońce w jaskrawym zawoju.
Mnie się wydaje, że krzew oazy oazy
Szeptały do mnie przekleństwa wyrazy: przekleństwa
Ja powtarzałem je w głębinie serca,
A mnie przekleństwo niósł wicher szyderca! mię szyderca

Kropki – – – – – – – –

Szczęśliwy, w kim serce wcześnie się rozbudzi! wcześnie rozbudzi
Takim powrócił do świata! do ludzi!
Lecz skończę drogę mej przeszłości mozolną?
Mnie dzisiaj tylko czuć i tęsknić wolno! czuć
Długie już lata mieszkam w tej oazie, oazie

11,i

W tem życiu żadnej nic pragnę pociechy;
Pamięć wyryta w sercu, jak na głazie
Starego grobu, moje dawne grzechy.
Coś mi zostało i przebolała głowa
I niedaleka mogiła stepowa...

Czytając tę tragiczną opowieść, raz po raz ma się takie wrażenie, jak gdyby się słuchało jakiejś znajomej melodji. A tą melodją nic innego, tylko przejmująca nuta Ojca zadżumionych.

To samo uczuciowe wrażenie ma się i przy czytaniu pięknej powieści poetyckiej Romanowskiego o Świeckich. Wpływ Jana Bieleckiego, Żmii i Wacława Słowackiego widzimy tu na każdym kroku. W niektórych ustępach przejął się Romanowski nawet tych Juljuszowych przemówień aż do złudzenia...

Wśród wierszy Karola Balińskiego, wydanych w r. 1848 w tomiku p. t. Dawniejszy wiersz, znajduje się na samym końcu rzewna Modlitwa wiosenna, należąca niewątpliwie do najszczęśliwszych natchnień poety, a z Hymnem Słowackiego mająca niektóre to wspólnego, że również jest w chwili smutku wygnańczego, dziękczynną rozmową z Bogiem i żałosną przed Nim skargą na tułaczą niedolę.

Ojcze nasz, Ojcze! znowu dajesz wiosnę,
Znów skarby sypiesz z łona Twej roztoczny!
Wszystko dokoła wesołe, radosne,
Ale nam, Ojcze! nam... smutno!
- - - - - - -
Zamorska ptactwa skończyła się jazda,
Wraca i zdala już radośnie nuci!
A my tułacze: do swojego gniazda
Czyliż z nas który powróci?
- - - - - - - - - -

Że te piękne strofy obracają się koło najrzewniejszych motywów Hymnu Słowackiego, to przyzna każdy, kto ma w pamięci wiersz „lotnych w powietrzu bocianach" i o okręcie, który „nie do kraju płynie." To samo da się powiedzieć o kontraście smutku Słowackiego na tle przepychu blasków zachodu słońca na morzu i smutku Balińskiego na tle wesołych i radosnych okrzyków wiosennych...

Tak sugestyjną była „siła fatalna" poezji Słowackiego. tego wyrażenie z końca str. 112, w. 12 #

oryginalnym, w czem szedł tak daleko, iż aż tworzył rzeczy wyszukane i dziwaczne, pisane językiem pretensyonalnym i sztucznym, niewiele z pięknością języka Juliusza mającym wspólnego. To też o jakimkolwiek „wpływie“ nań Słowackiego mowy być nie może. Wyjątek stanowi tylko następujący wiersz, wyraźnie naśladujący Hymn o zahodzie słońca:

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba...
Tęskno mi, Panie!

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie!

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Jak na odwieczne Chrystusa wyzwanie:
„Bądź pochwalony!“
Tęskno mi, Panie!
. . . .

Następne strofy, już pełne dziwolągów językowych, są znacznie słabsze.

Jak suggestyjną była „siła fatalna“ poezyi Słowackiego, tego wymownie dowiódł jeden z naszych najzagorzalszych klasyków doby przedromantycznej, przyjaciel Kajetana Koźmiana, tłumacz Eneidy, Franciszek Wężyk, który w roku 1860 napisał piękny wiersz liryczny, zatytułowany: Smutno mi, Panie! natchniony Hymnem Słowackiego. Oto jego pierwsza strofa (nawiasem mówiąc, najudatniejsza ze wszystkich):

Smutno mi, Panie! Na tej nędznej ziemi,
Odarty z siły, pociech i swobody,
Przebijam niebo oczyma łzawemi,
Czy tam weselszej nie znajdę gospody;
Bo tu, gdzie zwrócę oko me lub ucho,
Wszędzie pustynię napotykam głuchą;
Bo przez ubiegłe od młodości lata
O klucz do szczęścia pytałem u świata;
Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie,
Aż potargawszy w ciężkim trudzie siły,
Gdy drżącą stopą dotykam mogiły...
Smutno mi, Panie!

„Dziwne zbliżenie, powiada z powodu wiersza tego Tarnowski, sędziwy klasyk dał najpiękniejszemu ze swych natchnień ten sam napis, jaki położył na jednym z najrzewniejszych swoich wierszy romantyk młody i najskrajniejszy, tamtemu wprost przeciwny i niesympatyczny wcale.“ [1])

W roku 1863, podczas powstania, gdy Słowacki był tym słupem ognistym, albo — jeśli kto chce — tym Tyrteuszem, za którym na oślep szedł rozegzaltowany naród, Anczyc, w swych pełnych patryotycznego ognia Pieśniach przebudzonych, także uderzył w tę samą strunę, z której kiedyś popłynęła rzewna melodya Juliuszowego Hymnu o zachodzie słońca na morzu, z tą różnicą jedynie, że kiedy w natchnionych strofach autora Anhellego rozbrzmiewa jego osobisty smutek, jako stęsknionego za Ojczyzną wygnańca, to dramatyczny Hymn autora Tyrteusza i Kościuszki jest wspaniałym patetycznym wyrazem cierpień całego nieszczęśliwego narodu w niewoli, trawionego żądzą niepodległości i wolności.

Wszechmocny Boże! Ojcze nasz jedyny!
Omdlałej matki pokrwawione syny,
Błagamy w prochu, żałości, pokorze:
Ratuj nas, Boże!

Tyś tak potężny, a my tak znękani,
W cierniowym wieńcu u słupa, oplwani,
Wyschnięte oko łez ronić nie może:
Ratuj nas, Boże!

. . . .

Przebacz nam, Boże, skróć straszną pokutę,
Rozraduj kości po świecie rozsnute,
Niech nam wolności raz już błysną zorze:
Wybaw nas, Boże!

[1]) Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, iż sławny wiersz Narcyzy Żmichowskiej: Czemu mi smutno? również refren swój Słowackiemu ma głównie do zawdzięczenia. Różnica w tych pokrewnych wierszach polega jedynie na tem, iż Słowacki najpierw podaje powody swego smutku, który następnie stwierdza przed Bogiem; gdy tymczasem Gabryela najprzód pyta o powód swego smutku, a dopiero potem, w poszczególnych strofach, objaśnia o przyczynach tego smutku.

II.

Gdy chodzi o powstanie r. 1863 i związek z niem Słowackiego, to w pierwszym rzędzie nasuwa się na myśl Sen grobów Asnyka, w którym to, na dantejską nutę nastrojonym, poemacie Słowacki występuje w tej samej roli mistrza i przewodnika poety, jak Wirgiliusz w Boskiej komedyi w stosunku do Alighierego.

Oto wyjątek z największego poematu Asnyka, ukazujący Słowackiego w apoteozie, w otoczeniu Rozy i Lilli Wenedy, Anhellego, oraz innych bohaterów i bohaterek z utworów autora Króla Ducha.

Od strony morza, nad urwisku bokiem,
Obok krateru, co wieczyście płonie,
Osłonion dymu przejrzystym obłokiem

Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w ręku,
Siedział lutnista na obłocznym tronie;

Nogę swą oparł na liktorskim pęku
I drżącą rękę kładł na złote struny,
A harfa jego, orężnego szczęku

Pełna, a dla niej przygrywką — pioruny!
Posąg to w przyszłość obrócon daleką,
Zagadkowemi wypełniony runy;

Przed nim duch ludu trzaska trumny wieko,
A obleczony szatą purpurową
Na krwawe strugi spogląda, co cieką.

Dalej Polelum, pod jutrznią tęczową,
Na piersiach brata umarłego trzyma [1]
Trupią dłoń jego wznosi ponad głową

I u chmur żebrze piorunów oczyma.
Obok, na stosie strzaskanych oręży,
Przy popielnicy z prochami olbrzyma

Dwie dziewic: jedna wstrząsa kłębek węży
I nóż skrwawiony, jak Nemezis gniewna,
Woła: „Kto za mną, nim umrze, zwycięży!“ [2]

[1] Jest to obraz z końcowej sceny Lilli Wenedy.
[2] Roza Weneda.

Druga w liljowym wianku lutnia śpiewna [1])
Wiatrom się skarży, że nad sercem ludu
Więcej ma władzy płaczącego drewna

Nieczuły kawał i nadzieja cudu,
Niźli królewska boleść, stos ofiarny,
I cała przyszłość spodlenia i brudu.

A z drugiej strony tętni jeździec czarny
I całun śniegu piersią konia kraje,
Zwrócony biegiem ku gwieździe polarnej

Grzmiąco przyzywa: „Kto rycerz, niech wstaje!“ [2])
Tak coraz dalej w około lutnisty
Widziałem całą białych widem zgraję

Zarysowaną z lekka w wieniec mglisty,
Który wypełniał ciemne tło obrazu
Składając jeden długi sen kwiecisty.

Wpatrzony stałem na krawędzi głazu,
Nie śmiejąc skłócić powietrza westchnieniem,
Nie mogąc znaleźć w swych ustach wyrazu

W zachwycie przed tem cudownem widzeniem;
I chciałem wżyć się w tę całość natchnioną,
A naznaczoną piekielnem znamieniem.

Nie łatwo walką duszy swej szaloną
Rozgrodzić niebios i piekieł potęgi
I stać na szczycie bólu przed zhańbioną;

Na zatracone patrząc widnokręgi,
Zachować dumy błyskawiczny wieniec,
Nie łamiąc Bogu czynionej przysięgi.

Ten więc przedemną wielki potępieniec, [3])
Co deptał światów zwyczajne porządki
I duchom wstydu wypalił rumieniec,

Gnając je myślą w genetyczne wrzątki;
W apoteozie swej posępnej doli
Jaśniał jak niebem gardzące wyjątki.

---

[1]) Lilla Weneda.
[2]) Zakończenie Anhellego.
[3]) Mowa tu ciągle o Słowackim.

Ach! w obec niego korząc się, powoli
Traciłem dotąd niezłomną pogodę;
Chciałem się wyrzec narzuconej roli,

Na wszystkie ciosy mieć znów serce młode,
I walcząc przeciw naznaczonym sądom
W piekielnych ogniach walki wziąć nagrodę.

Bo któż się może oprzeć takim prądom,
Co rozrywają zasklepione rany?
Któż może nędzy niezmiennej zarządom

Spokojnie duch swój powierzyć stroskany,
Z wytkniętych torów nigdy nie wykraczać,
By nieomylnej doczekać wygranej!

Gdy tak sam z sobą bój początem staczać,
Wtopiony wzrokiem w chmurną postać mistrza,
Wichry przybiegły po lutni rozpaczać,

I coraz bardziej burzliwa i mglistsza
Fala harmonii spłynęła w błękity;
I niebios coraz jaskrawość ognistsza

Porozciągała swe płonące świty;
I coraz więcej ciemniały ku górze
Bezksiężycowe posępne zenity.

Tymczasem wulkan w płomieniste róże
Ubrał się cały i hukiem podziemnym
Wraz z piorunami, które słały burze

Wtórował pieśni natchnieniom tajemnym;
A z dołu jeszcze pod olbrzymią skałą
Rozbijające się na pasie ciemnym

Morze odmęty swoje rozkiełznało
I z bezkrańcowej wyjącej przestrzeni
Trzecią pieśń straszną do wierzchołka słało.

Jakby za danem hasłem, potępieni
Zaczęli z tajnych wychodzić kryjówek,
Była to chmura połowicznych cieni,

Co pozbawiona rąk i trupich główek,
Z grobowców nagie szkielety wywlekła
Do rozpaczliwych zagnana wędrówek.[1]

[1]) Pokolenie bez zapału, skarlałe, pogrążone w materyaliźmie, bez wyższych aspiracyj, pełzające po ziemi, zapleśniałe w dobrobycie.

Straszna je wiedźma po ramionach siekła,
Pędząc jak trzodę przez płomienie żrące,
By nie uciekły na dno swego piekła,

Tylko się kości kurczyły płaczące
I w łez przydrożne padały kałuże.
Chcąc tam swe rany ochłodzić piekące.

I ani całej zgrozy nie powtórzę:
Jak wypraszały się widma od męki,
Z jaką niechęcią pełzły na to wzgórze,

Zkąd brzmiały harfy[1] piorunowe dźwięki,
I jak bolesnym przejmował mię wstrętem
Ten trupi zastęp bez głowy i ręki.

Przyszedł nareszcie i w kole przeklętem
Naprzeciw mistrza[2] rozpostarł się tronu.
Tu, jakby pieśni porwany zamętem,

Stracić miał pamięć haniebnego zgonu,
Cały się łańcuch ożywił występny
I w takt dzikiego kołysał się tonu.

Z trwogą patrzałem na taniec posępny,
Na te szkielety, wsłuchane ciekawie
W tok pieśni, dla ich bytów niedostępny.

I kiedy lutnia zagrzmiała o sławie,
Żywiej zabłysła ich próchen bielizna,
I w wojowniczej stanęły postawie.

A kiedy lutnia wyjękła: „Ojczyzna!“
Poodrzucały swe skrwawione płótna
I silniej od nich wionęła zgnilizna.

Gdy coraz bardziej pieśń szalała smutna
W pourywane chaotyczne spadki
Na ziemię padła czereda pokutna

I wszczęła wyciem głośno wzywać matki!
Aż dreszcz przejmował patrzeć na te wstrętne
Spróchniałych kości skrzypiące ostatki:

Jak się w targania rzucały namiętne,
Jak się przykrzyły niebu swemi modły
I o zniszczenie błagały doszczętne.

---

[1] Poezyi Słowackiego.
[2] Słowackiego.

Długo się w bólach pasował proch podły,
Nim się odważył powstać o swej sile,
I tam, gdzie harfy natchnienia go wiodły

Iść, na wiekowej oprzeć się mogile;
Lecz przy odgłosie wulkanicznych grzmotów
Zerwał się przecież, i wrzeszcząc opile

Straszne przysięgi składał, że już gotów.
Ruszyły naprzód te krzywoprzysiężne,
Roznamiętnione do niezwykłych lotów

Masy współczesne, liche, niedołężne,
Gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą,
Jako upiorów hufce bezorężne...

W taki mistyczno-symboliczny sposób określiwszy stosunek poezyi Słowackiego do całego pokolenia w Polsce przed wybuchem powstania, wrócił jeszcze raz Asnyk, w ćwierć wieku później, do tego samego motywu, w wierszu Na obchód Słowackiego, w którym tak formułuje zasługę poety w obec narodu:

Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czemże byśmy dziś byli, my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci...

...nad przyszłością naszą noc by zaszła głucha
I naród cały został bez serca, bez ducha!

Że tak nie jest, to twoja, o poeto, wina...

Bo święte hasła twoje, to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia:
Wiara twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia!

Taką to przewodnią rolę wyznaczył Asnyk autorowi Króla Ducha.

Poematowi temu, jako jednej z największych koncepcyi poetyckich, poświęcił El...y osobne studyum literackie, w którem przedewszystkiem dał znakomity dowód, z jakiem upodobaniem zagłębiał się w utwory Słowackiego, jak zachwycał się i przejmował ich duchem i formą. Jakoż nie ulega wątpliwości, iż zaraz pierwsze poemaciki Asnyka, które zamieścił na czele swych poezyj, mia-

nowicie Publiczność do poetów i Poeci do publiczności, nietylko tem, iż są pisane w formie oktawy, przypominały Beniowskiego. Gdy się ukazały pierwsze tomy poezyj Ely'ego. krytyka dopatrywała się w nich wpływu Heinego i Musseta. Wiele by się dało o tem powiedzieć... Natomiast wpływ Słowackiego i jego „melancholijnego na świat spojrzenia", zwłaszcza w wielu erotykach, jest bardzo widoczny i w nastroju i w formie. Podobnie i zgryźliwa ironia Juliusza miała w autorze Napadu na Parnas wielkiego zwolennika, co również i demokratyczności twórcy wiersza Do autora Trzech psalmów powiedzieć można.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

20

20

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

III.

Na całej twórczości Konopnickiej odbił się wpływ Słowackiego w nierównie wyższym jeszcze stopniu; bo jeśli kto, to autorka Italii jest *par excellence* duchową córą Juljusza. Jej epicka opowieść o Panu Balcerze nastrojona jest od pierwszej do ostatniej oktawy na ton przejmującego opowiadania Matki Makryny Mieczysławskiej, zaś forma oktawy wiąże ją — nietylko pod względem formy — z Królem Duchem. A jeśli o język poetycki chodzi, tak bogaty u Konopnickiej, tak mieniący się wszystkiemi barwami, tak giętki i umiejący po mistrzowsku wyrazić wszystko, „co pomyśli głowa“, to jest on na ogół tak podobny do języka Słowackiego, jak czasami syn bywa podobny do ojca, lub brat do brata.

Ażeby o tem przekonać się na przykładzie, wystarcza wziąć do ręki Imaginę, który to kapryśny poemat oktawą w każdym calu jest wirtuozowskiem naśladowaniem Beniowskiego, a którego tak samo, jak w pierwowzorze, największą ozdobą i świetnością są osobiste autorki dygresye liryczne, sarkastyczne, patryotyczne, antipapieskie etc. Oto parę przykładów:

O Don Juanie i panie Zbigniewie!
Złą waćpanowie wskazaliście drogę
Swym epigonom, i nikt dzisiaj nie wie,
Na którą pierwej ma but obuć nogę:
Czy na tę, która drży, by zdeptać w gniewie
Za głupstwem świata wlokącą się togę,
Czy na tę, która jest prędka i śmiała,
A po epickim torze iśćby chciała.

Więc, jak po linie, chodzą poetowie
Waszymi ślady, sypanymi złotem,
Lirycznych dreszczów czując w kościach mrowie
I obracając językiem, jak grotem.
I często taki zawrót mają w głowie,
Że ich bohater oblewa się potem,
Nie wiedząc, kiedy tak poeta krąży,
Czy wyjść na scenę, lub zejść na czas zdąży.

I może właśnie z tej płynie to racyi,
Że tak Don Juan, jak Imć pan Beniowski,
Choć z tak przeciwnych zrodzeni są nacyi,
Iż ledwo duch ich natchnień zbliża boski,
W pół uniesienia i w pół intonacyi,
Nie domówiwszy ostatniej swej zgłoski,
Gdy jeszcze z dziwu masz usta otwarte,
Za nieskończoną chowają się kartę.

Bogdajś się święcił, o mistrzu nad mistrze,
Cny Cervantesie! tak pełny sam w sobie,
Że i Don Kiszot, w swej skóry tornistrze
Trzęsący kości, i Pansa, w swym globie
Noszący sadło, tak wzięci są bystrze
I tak zupełni w swym własnym sposobie,
Że księga twoja dobiega do końca,
Jak do zachodu swego kula słońca.

Dziś inne czasy i inne są mety,
I nie tak łatwo dosięgnąć jest celu.
Don Juanowi przeszkodzą kobiety,
Zaś pan Beniowski, po klęskach zbyt wielu,
Na obszarpańca wychodzi, niestety,
I choć ma dyplom królewski w portfelu,
Po różnych swoich tatarskich uczynkach
Nie znajdzie gwiazdy szczęścia w Anielinkach.

Tak to zbyteczna źle służy swoboda
I bohaterom samym i poecie,
Gdy pieśń, wezbrana z pod serca, jak woda,
Na różne strony w rozlewie się miecie.

Nie czyni tego elegia lub oda,
Pięknym ordynkiem chodząca po świecie,
Tylko te, co są pokusą, oktawy
Przywodzą człeka do takiej niesprawy.

Na szczęście „niesprawa“ ta jest największym wdziękiem i zaletą Imaginy, a choć jej krytyka, jako opowieści, miałaby może niejedno do zarzucenia, to autorka, z góry na to przygotowana, odrazu postanowiła nie brać sobie tego zbytnio do serca, czemu dała dowcipny wyraz w następujących oktawach:

I to mam na względzie,
Że się już spocił mój krytyk łaskawy,
Nie mogąc sprostać tym strofom w rozpędzie,
Co sobie lecą dla pustej zabawy
Po takich drogach, przez takie urwiska,
Gdzie krytykowi chodzić jest rzecz śliska.

Niejeden z bractwa nabawił się guza,
W ślad za poetą lecąc karkołomnie.
Niech więc na skrzydłach nosząca się muza
Zamilknie teraz i spocznie tu skromnie
W państwie Zoilów, ni pienka ni tuza
Obrażać nie chcę: i owszem, co do mnie
Otwarcie wyznam, iż równie się strzegę,
Czy cios partacki jest, czy *artis lege*.

Po dobrem cięciu wnet goi się rana.
Sykniesz, krwi trochę utracisz, i basta.
Czasem masz nawet chlubę, żeć zadana.
Lecz gdy cię partacz niezdarnie pochlasta
Swą szerpentyną od pstrego żupana,
Jątrzy się szrama i długo nie zrasta,
I szwy po sobie zostawia szpecące,
Tak, że się nie śmiesz wychylić na słońce.

Wzrosła w kulcie dla autora Lilli Wenedy, gdy w roku 1904 powstała kwestya sprowadzenia zwłok poety z Paryża do kraju, do Krakowa, Konopnicka napisała wspaniały wiersz ku uczczeniu tej chwili, wiersz, w którym przed duchem Słowackiego, wracającym z wolnej ziemi wygnania do Ojczyzny w niewoli, kajała się, pełna skruchy, imieniem całego narodu, jak przed królem duchem, przychodzącym sądzić swych poddanych.

Jeden to z najgórniej nastrojonych dytyrambów poetki-wieszczki, a skreślony oktawą, i formą tą, i podniosłym tonem, przypomina uroczyste patos Króla Ducha.

Przyjdziesz ty do nas w złotej błyskawicy,
Przyjdziesz ty do nas w hejnałów rozwiei;
Staniesz ty w owej piastowej stolicy,
Wymalowanej tęczami nadziei,
Gdzie prochem święci wracają pątnicy
Od cudzych węgłów i cudzych wierzei,
A idą, cichą i umarłą twarzą
Patrzeć, jakie w niej duchy gospodarzą.

Przepowiedziane miałeś to swej kości,
Że się nie zmiesza z popioły obcemi;
Ale dźwięcząca i pełna jasności
Wstanie i pójdzie ledz we własnej ziemi
Harfa królewska, która idzie w gości
W dom, gdzie pieśń głucha, a pieśniarze niemi,
Iż nie znaleźli cudownego słowa,
Którem drży dusza narodu echowa.

Tyś je znał! Tyś je odklął z tajemnicy,
Na niezrodzone dni przyszłych pogłowie,
I pieśń stanęła, jako na kotwicy
Z dyamentu na twem tęczującem słowie:
W zbroi stanęła jasnej i w przyłbicy,
Tak, jak na boje chadzają duchowie,
I jęła słońcem siać skróś naszej nocy...
Lecz my zaklęcia nie doszli ni mocy.

Nie wiemy, co nam prawią Króle-Duchy,
Co z stosów szepce Lele i Polele,
Nie wiemy, jakie zorzowe wybuchy
W zgliszczcza się czasów chowają popiele;
Nie mamy ręki, którąby włos suchy
Od drzewa życia odrąbała śmiele,
Ni słowa klątwy nie znamy, po którem
Biłby grom... Ludu! Nie jesteśmy chórem!

. . . .

My nie spełnili twego testamentu,
Nie wysłuchali twojego błagania:
Od fal bijących z mrocznego odmętu
Moc w nas ugasła żywa, duch się słania;
Do twej nadziei myśmy sakramentu
Nie przystąpili o czczości, z zarania,
Ale się cudzą nasyciwszy strawą,
Do białej hostyi dusz stracili prawo.

. . . .

Jeśli ty idziesz sąd czynić nad nami
Ogromnym prochów-mścicieli pochodem,
To my niegodni martwemi rękami
Pochodni twojej nosić przed narodem!

Odbierz ją! Zatknij pomiędzy grobami
Raczej, niżeli pod tchnień naszych chłodem...
Księdzu Markowi zdaj ją, który straże
Na świętych szańcach ducha trzyma w Barze!

Po takiej „spowiedzi pieśni“, po takiem „kajaniu się“ imieniem dzisiejszej generacyi poetów polskich, śpiewających tylko „małość naszą“, „swej duszy nędzę“ i nie zdolnej poruszyć „tej struny spiżowej, od której drgnąłby świat“, a której dźwięk byłby zbawieniem dla skołatanej Ojczyzny, poetka mimo to zaklinała ducha Juliuszowego, by nie zawahał się przyjść w gości do swych braci po lutni, bo przecież „my z pnia tego, co i ty“. A więc

Przyjdź! Padnij ziarnem siewnem, rosą z nieba!
Bo głód jest duszom! Bo duszom brak chleba!

Zatargaj struny lir! Niechaj rozdźwięką,
Jak miecz, puszczony z świstem w cięć wichrzyce!
Ukaż nam jasny wid, tę zjawę piękną,
Coby nas w brzaski rwała przez ciemnice.
A nie, to strzaskaj nas! Niech lutnie pękną,
W odruzgi pójdą, w truchła, i w próchnice,
I niech nas ogień pożerczy spopieli,
Żeśmy się Arki Ducha dotknąć śmieli!

W każdym razie, cokolwiekby się dało powiedzieć o innych współczesnych poetach polskich, których „strunami lir“ Słowacki targa tak często, na których utwory poezya Słowackiego tylokrotnie pada „ziarnem siewnem, rosą z nieba“; Konopnicka tej „Arki Ducha“ dotykała się zawsze z największem namaszczeniem, a testament Słowackiego, ażeby przed narodem nieść oświaty kaganiec, spełniała tak wiernie, z takiem przejęciem się duchem Słowackiego, że nawet wtedy, gdy zawodziła wzniosłe peany na cześć Mickiewicza, mimowoli uderzała w struny, zapożyczone z liry Juliusza.

Tak n. p. pisząc piękny wiersz o grobach na cmentarzu w Montmorency, między którymi nie brak i grobu Mickiewicza, za motto do tego wiersza, choć Słowacki nie spoczywa na tym cmentarzu, wzięła ustęp z jego Testamentu: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei!“ W podobny sposób „siła fatalna“ poezyi Słowackiego ujawniła się w natchnionym wierszu Konopnickiej na dzień 4 lipca 1890 r., opiewającym przewiezienie zwłok Mickiewicza do katedry na Wawelu. Wiersz ten, dziwna rzecz, zamiast — jakby się należało tego spodziewać — zaczerpnąć mo-

tywu z poezyi twórcy Dziadów, zaczyna się obrazem, wziętym z Lilli Wenedy Słowackiego.

Kiedy w Wenedów obóz przyniesiono
Królewską harfę, pieśni złoty zdrój,
Potężną siłą wezbrało im łono
Na nowe życie i na nowy bój!

A król oślepły, w klęski swej koronie,
Co stał pod błyskiem piorunowych łun,
Z krzykiem wyciągnął drżące swoje dłonie
Do czarodziejskich złotej harfy strun.

I wznieśli czoła wodzowie boleśni,
I w zachwyceniu stanął cały lud;
On czuł i wierzył, że w ojczystej pieśni
Jest słowo życia i zwycięstwa cud!

O Polsko moja! Oto wraca tobie,
Tułactwa swego otrząsnąwszy pleśń,
Ta, która była niemą w swoim grobie,
Królewska harfa, ducha twego pieśń!

Każda jej struna żarem życia płonie,
Każda jej struna wiarą w życie drga...
Polsko, wyciągnij umęczone dłonie,
Oto ci wraca złota harfa twa!

O tem, jak wyobraźnia Konopnickiej (myślącej, jak poetka prawdziwa, obrazami, nie abstrakcyami), nasiąkła i przesiąkła obrazami z poezyi Słowackiego, świadczy między innemi „przygrawka“ do Snu Jermaka, w całości oparta na szeregu scen z Lilli Wenedy. Każda strofa tej poetycznej uwertury, to osobna scena z pomienionej tragedyi Juliusza.

Jeśli my dotąd na harfę Derwida
Rąk swoich z pieśnią nie kładli i z łzami,
Hańba nasza wieczna i wieczna ohyda
Przed narodami!

Bo my w niej więcej strun mieli i tonu
Do pieśni mocnych, budzących z snu ducha,
Niż ten król-ślepiec, ten śpiewak przedskonu,
Co go śmierć słucha.

Bo my w niej mieli nie białą ofiarę,
Siostrę gołębi, lecących w błękity,
Lecz matkę martwą, lecz wolność i wiarę,
I lud zabity!

Na piersi nasze nie wonne warkocze
Z harfianej skrzyni sypały się złotem,
Lecz ziemia czarna, co łzami chlupocze,
I krwią i potem.

Nie listki róży, nie mglista biel szaty
Powiały na nas z dębowej tej truny,
Lecz duch narodu porwany na szmaty,
Ale całuny!

Nie smętna białość umarłej dziewczyny,
Lecz śnieżne w oczach rozbłysły nam pola,
Gdzie w tajg sybirskich zapada zmierzch siny
Ludu niewola.

A struny nasze — stuletnie kajdany,
A pieśni nasze — krzyk więźnia bez siły,
Echo — jęk, z głębin kopalni przywiany,
Chór nasz — mogiły.

Z taką my harfą, pieśniarze boleści,
Stańmy przed światem w krzywd naszych ucisku;
Niech brzękną struny, niech buchną z nas pieśni
W piorunów błysku!

Niech wiedzą ludy, że rdza też przeżarła
Słowicze tony, co brzmiały tam wiośnie,
Że z ściśniętego obrożą nam gardła
Jęk tylko rośnie!

Weselnych pieniów męczeństwu nie trzeba...
Zgrzyt niechaj struny Derwida zatarga!
Od ziemi grobów niech bije do nieba
Protest i skarga!

A Sen Jermaka? Te obrazy polskich męczeństw na Sybirze? To jakby drugi Anhelli, tylko nie tak idealizowany, jak Słowackiego, lecz pełen realistycznej grozy, od której krew ścina się w żyłach. W każdym razie tło to samo, co w biblijno-romantycznym poemacie Julјusza.

Są trzy utwory Słowackiego, których echa szczególnie silnie odzywają się w drobnych poezyach Konopnickiej: — to Ojciec zadżumionych, W Szwajcaryi i Smutno mi Boże!

Czytając jej różne Obrazki, najczęściej pisane wierszem 11-to zgłoskowym, raz po raz przyłapuje się ją na gorącym uczynku, jak wpada w ton opowiadania Ojca zadżumionych. Ażeby o tem przekonać się niezbicie, wystarczy przeczytać przejmujące sceny Przed sądem, Jaś nie doczekał, Chłopskie serce, Sobotni wieczór, Wichrem porwany, Do granicy. A do jakiego stopnia dochodzi nieraz to przejęcie się stylem tragicznej opowieści Juliusza, niech zaświadczy chociażby ten jeden ustęp z obrazka Do granicy.

. . . .
Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąsеczki, dzieciątek tych troje
Zagarniająca, o głodnym szłam chlebie,
Między tych matek żałosnym narodem.
. . . .
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko jakby czegoś zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...
. . . .
Upadła wśród drogi.
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało
Jak w Weroniki chuście, i zostało
Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona
Pod okiem Boga do ziemi tej łona.
. . . .
W mchu utuliłam ziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał, i o coś się pytał.
. . . .
Trzy dni my takie i trzy mieli noce,
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły:
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci,
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci.
. . . .
Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.

A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało.
Gdy tak na nędzę naszą patrząc, wstało,
Pokulbaczyły swoje konie straże,
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze,
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś zczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą.

. . . .

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno,
I nie wiem sama, czy ten świat przedemną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem.
A jestem dzisiaj pogrążona gromem
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swojem cieszyła mą duszę...
A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę.

W podobny sposób odbił się na niektórych utworach lirycznych Konopnickiej wpływ poematu W Szwajcaryi. Najjaskrawiej daje się to odczuwać w dwóch sielankach miłosnych, zupełnie nastrojonych na nutę szwajcarskiej idylli Słowackiego: w pełnem wdzięku wspomnieniu gry z ukochaną W zielone, z ukochaną, która podobnie, jak w tęsknym utworze Juliusza, przedwcześnie odumarła swego kochanka; i w melancholijnym Romansie wiosennym, w którym echa rzewnych zawodzeń niepocieszonego po śmierci kochanki bohatera Słowackiego odzywają się prawie w każdej strofie.

Jak W Szwajcaryi, tak i W zielone jest właściwie rodzajem Trenów, w których wspomnienia przeżytych z kochanką dni szczęścia, mieszają się z bezbrzeżnym żalem po jej utracie. Jak zaś Konopnicka naśladuje nietylko ton, ale i manierę Słowackiego, gdy opisuje tę szczęśliwą miłość dwojga wyrywających się ku sobie młodocianych serc, o tem świadczy chociażby następująca strofa, jakby wyjęta z sielanki W Szwajcaryi.

Czy w listku były uroki i dziwy,
Czy w woni włosów, którą był przejęty,
Wróciłem drżący, a razem szczęśliwy
I ludziom błogi i sam sobie święty.

Każdego ranka, wesoła jak ptaszę,
Z piosenką biegła pytać o zielone,
I wszystkie gaje były wtedy nasze,
I wszystkie pola, i łąki zroszone.

Królową była, zbudzoną z zieleni
Nadziei moich i mojej zadumy...
Po świeże listki biegliśmy wzruszeni,
Pod szepty klonów, i pod dębów szumy.

I jeden cień nam upadał na głowy,
I jednym zmierzchów objęci pierścieniem,
Nagleśmy nasze zrywali rozmowy,
I stali niemi, i głośni milczeniem.

. . . .

Dusza jej kwitła, jako polne kwiecie,
W listeczki białe, w listeczki błękitne,
Aż i ja patrząc na wiosny to dziecię,
Czułem, że kwitnę.

Ale, niestety, jak w poemacie Słowackiego, tak i tu śmierć zabrała kochankę, a owdowiały kochanek „umierał z żalu, omdlewał z tęsknoty"; a kiedy, niepocieszony, skarży się na swą niedolę, czyni to w ostatniej strofie poematu bardzo podobnie, jak jego romantyczny poprzednik, który nie wiedział po śmierci swej lubej, „gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym".

Pomiędzy ludźmi cichy teraz chodzę,
Nie wiem, czy stoi czas, czyli też bieży,
I wszędzie zawsze mam na swojej drodze,
Jeden liść zwiędły, i jeden grób świeży.

Grób z szczęścia mego wyrósł i z kochania,
I zamknął wszystko, czem mi serce żyło,
I dziś mi sobą świat cały zasłania
I duszy mojej jest cichą mogiłą.

Lato po lecie i wiosna po wiośnie
Idę tam marzyć i tęsknić w tę stronę,
A brzoza biała, co na grobie rośnie,
Szeptem mię pyta o moje „zielone".

Jeszcze w wyższym stopniu przypomina manierę W Szwajcaryi eteryczny Romans wiosenny Konopnickiej. Jest to wogóle najpiękniejsze naśladowanie poematu Słowackiego, tyle tylko, iż w pierwowzorze „romans" rozgrywa się w Szwajcaryi,

nad Lemanem, przy kaplicy Tella, u podnóża Jungfrau, w grotach lodowych i wiśniowych sadach alpejskich, kiedy poemat Konopnickiej mógłby nosić tytuł: „W Polsce,“ a rozgrywa się na wsi, w cichym dworku, na tle polskiego wiejskiego krajobrazu wiosennego,

Kiedy na chwilę, na maleńką chwilę,
Z swych powijaków ruszą się motyle
I tylko patrzeć, jak w ciepła pieszczocie
Otworzą oczy zbudzone stokrocie.

Jak W Szwajcaryi Słowackiego, jest ten Romans wiosenny Konopnickiej pisany wierszem jedenasto-zgłoskowym, a dzieli się na 14 oddzielnych rozdziałków, takich samych mniej więcej, jak 21 rozdziałków Juljuszowej idylli. Zresztą wszystko jest tak, jak w poemacie Słowackiego: zakochany bohater sam opowiada dzieje swej miłości, a każdy epizod, każdy dzień, ba, każda chwila szczęścia z ukochaną, stanowi jeden rozdział, jeden poetyczny obrazek. Sposób zaś, w jaki zakochany bohater patrzy na przeżywane szczęście, tak jest bliźniaczo podobny do poematu Słowackiego, iż niepodobna tego przeoczyć.

U Słowackiego poznanie następuje pod kaskadą, „gdzie Aar wody błękitnemi spada“, w Romansie wiosennym kochankowie spotykają się po raz pierwszy „w dworku maleńkim, zgubionym w cieniu drzew“.

Na progu wiosny i zimowych cieni
Jam ją zobaczył; a pierwsza ptaszyna
Lecąca w niebo, podsłuchała dziwem,
Że serce moje stało się lękliwem,
Że czegoś w gaju śmiała się olszyna,
Że się fijołki rozwiły dziś łzawe,
Że słońce weszło odmiennie jaskrawe...
Że ona oczy miała tak przejrzyste,
Jak niezabudka, kiedy na nią padnie
Rosa; że śledzę, co tam leży na dnie,
I myśl zgubiłem...

Jak bohaterka W Szwajcaryi, której „nadto było cyprysowej woni, i nadto barwy, co się w różach płoni“, podobnie i bohaterka tego Romansu wiosennego,

Może za nadto znała się z kwiatami,
Z czarną jaskółką i żabką majową,
Może za często biegała po łące,
Zrywając dzwonki liliowe i drżące;
Może za wiele róż miała w ogrodzie, [1])
Za rano słońce witała o wschodzie;
Może się nadto w księżycu kochała,
Patrząc mu w oczy, promienna i biała...

Była to istota zmienna i płocha, która

to smuci się, szlocha
Nad czemś, co z wiatrem uleciało puchem,
To znów dziecinnym i swawolnym ruchem
Z czoła odrzuca rozsypane włosy,
Ociera oczy... patrzysz... a za chwilę
Zda ci się skrzydła dostaje motyle
I leci róże potrząsać z rosy...

Jak w poemacie Słowackiego, gdzie przy czytaniu sam na sam z ukochaną „książki pełnej łez ze łzami“ kochanek w chwili rozczulenia, „nie wie dotąd, jak się wszystko stało, ale ją w usta różane całował“, podobnie i w Romansie wiosennym bohater „prędko doszedł do czarownej chwili, kiedy się z lubą rozmawia oczami“, aż w końcu któregoś dnia

Coś się dziwnego stało... ja sam nie wiem...
Czy słońce z góry sypnęło zarzewiem,
Czy się gdzieś pierwsza rozwinęła róża,
Czy słowik w morzu harmonii się nurza,
Czy w głos skrzydełkiem strzyże konik polny:
Uczułem żar na ustach, mimowolny
Wydałem okrzyk, jakby duch mój własny
Śpieszył ją ostrzedz, że ma wzrok zbyt jasny,
Że się z rękawka wysunęła ręka,
Że kwiat ją zdradza i że ta sukienka
Pozwala słońcu całować jej ciało...
Spojrzała na mnie i snadź mnie wydało
Moje zmięszanie, bo spuściła oczy,
Tuląc do siebie dwa sploty warkoczy.

Zupełnie to samo wydarzyło się bohaterowi Słowackiego, który opowiada przecież o swej lubej, iż

---

[1]) U Słowackiego W Szwajcaryi:
I wiele nam róż do okien świeciło.

osłoniła się cała w warkoczu
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

W Szwajcaryi kochanek zapewnia czytelnika, iż „najszczęśliwsi na świecie nie zgadną,

W jakim szalecie żyłem z moją miłą,
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń naokoło rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło.
Ile tam w każdą noc miesięczną blada
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą, i t. d.

W podobnem ustroniu gruchają i kochankowie Konopnickiej. Oto. co tam w VI. rozdziale opowiada szczęśliwy bohater:

Co wieczór rzeczka, uciekała w pole,
Garściami srebro księżycowi kradła
I w swoje szklane zakręty je kładła,
Migocąc zdala, jak pas srebrem tkany.
Słowik był jakoś dziwnie rozkochany,
Żarem syczące, płomienne lał pienia.
Drzewne korony plotły się w sklepienia
Świątyń uroków, pałaców rozkoszy.
W takiem ustroniu, pewna, iż nie spłoszy
Lekkich widziadeł rój muszek brzęczący,
Spoczęła senna, a powiew gorący
Malował róże na jej białej twarzy...

Bohater Słowackiego powiada o swojej kochance, iż najpierwszy uśmiech

Całą jej białą twarz zamienił w różę.

W Szwajcaryi przychodzi taka chwila na zakochanych, iż kochanka „jaskółeczek utraciła zwinność

I zadumała ją całą niewinność.
Widząc ją taką, chciałem bronić siebie
I rzekłem: „Luba! jak Bóg jest na niebie.
Lilija jedna wszystkiemu jest winna...“

Przez podobną fazę przechodzą kochankowie w Romansie wiosennym:

Nim młode dziewczę, idąc do kościoła,
Ułamie różę i przypnie u czoła,
Chwilę nad krzakiem zadumane stoi,
Aż się w sumieniu własnem uspokoi:
Zerwie, nie zerwie? Na gałązce jeszcze
Długo żyć może ta różyczka biała,
Którą zielona wiosna wychowała;
Lecz raz zerwana umrze. Tak ja pieszczę
Trwożnie jej rączki, jak łabędzie puchy,
I patrzę w łezki, co jej w oczach stoją...
A do niej mówię: „Słuchaj, moja miła!
Gdyby już miłość takim grzechem była,
Czy myślisz, żeby twój stróż anioł biały[1]
Własną swą ręką, jak mgiełką przejrzystą,
Ust mi nie zamknął, by nie całowały
Tej, którą niebu on ma oddać czystą?
Ale to nie grzech! wszak kocha się w tobie
Słowik z olszyny... wszak całujesz bratki...
O, daj mi rączkę! Nic złego nie zrobię!
O, pozwól usta: patrzą tylko kwiatki.“

W tym stylu jest cały ten Romans wiosenny. Od poematu W Szwajcaryi różni się on tylko zakończeniem: u Słowackiego kochanków rozdziela śmierć, umiera kochanka, a niepocieszony kochanek, „myślą zagłębiając się w przeszłość“, pisze żałosne treny o swej miłości; podczas kiedy u Konopnickiej kochanków rozdziela świat, konwenans, tak, iż każde musi iść w swoją drogę. Ale dni szczęścia, które przeżywają zakochani, i tu i tam są bardzo podobne. Słowacki jest sentymentalniejszy; Konopnicka jest realniejszą.

Wierszem atoli, który najbardziej zaciążył na liryce Konopnickiej, zwłaszcza na jej liryce egotycznej, i którego kunsztowną formą posługiwała się wielokrotnie, gdy swojej rozrzewnionej duszy chciała dać tęskny wyraz, był Słowackiego Hymn o zachodzie słońca na morzu. Istnieje cały szereg liryków Konopnickiej, na najrozmaitsze tematy, będący mniej lub więcej wolnem naśladowaniem tego klejnotu Juliuszowej poezyi.

Zwłaszcza, gdy miała natchnienie, obudzone widokiem bezbrzeżnej roztoczy morskiej, najczęściej posługiwała się tą oryginalną Słowackiego strofą.

---

[1] U Słowackiego:

W takim parowie, iż stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały.

Tak n. p. w swoich sześciu poetycznych i refleksyjnych Listach z nad morza aż trzy razy wyraziła melancholię swą w tej formie. Oto n. p. początek pierwszego z tych „listów“:

O, jak mi dobrze i nic mi nie trzeba!
Tak blisko morza i blisko tak nieba,
A tak daleko, myślami mojemi,
Jestem od ziemi...
I tak wysoko, na skrzydłach zadumy,
Nad obce tłumy!

O, jest mi dobrze! Pieśń morza kołysze
Sen mój, i noce me śpiewnemi czyni.
Lecące fale mam za towarzysze
Z srebrnej pustyni.
A nieskończoność tchnie mi tu w oblicze
Tchy tajemnicze.

. . . .

Trzeci z tych „listów“, również skreślony w tej samej formie, tak się zaczyna:

O, niema prawdy w tem, ni prawdy cienia,
Co ludzie mówią: „morze zapomnienia“;
Bo mi ta mroczna a cicha głębina
Wszystko wspomina
I cała przeszłość idzie mi tu w gości
Z nieskończoności.

. . . .

Tak samo i ostatni z tych „listów“ jest nastrojony na ton hymnu Słowackiego.

Nad wielkiem morzem jestem postawiona,
Bym zasłyszała choć jeden dźwięk boży
Strun, uwiązanych od zorzy do zorzy
Z dźwięków miljona...
A iżby mi się echa jego śniły
Aż do mogiły.

Tę samą formę obrała poetka dla swego słynnego wiersza Contra spem spero, przyczem w niektórych strofach, jak n. p. w następującej, dziwnie wpadła w ton hymnu Słowackiego:

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze...
I syn się karmi kłosami gorżkiemi
Z ojców swych ziemi.

. . . .

Wiem! niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli.
I ja też lecę, jak ptak obłąkany,
I wichrem grany.

Cudny dytyramb Ave, patria! będący jedną z pereł naszej liryki patryotycznej, również w tę formę został przelany, a choć w niej ostatni wiersz jest dłuższy, niż u Słowackiego, to jednak nawet w konstrukcyi zdania jest podobieństwo z pierwowzorem.

Nie, iżeś kłosem pola nie okryła,
Skowronki moje żywiąca za morzem,
Nie, iżeś, ziemio, chleby mi rodziła,
Szumiała zbożem;
Ale iż duch twój rośnie mi w tym chlebie,
Ojczyzno moja, błogosławię ciebie!

Tak samo w wierszu p. t. Porta Pia z cyklu Italia naśladuje Konopnicka wyraźnie Hymn Słowackiego, choć posługuje się nieco odmienną strofą:

W wielkiem milczeniu ruiny i nocy
Duchowi memu stanęłaś widoma,
A było mi tak, jakgdyby prorocy
Stanęli mi doma...
Że w pustce swojej masz głos, który woła,
Że przed twą ciszą schylają się czoła,
To jest największa może z twoich mocy,
O, Roma!

Już to wogóle poetą, którego wpływ odbił się na poezyi Konopnickiej najsilniej, jest niewątpliwie Słowacki.

IV.

Wiktor Gomulicki przyznaje się otwarcie, iż już wtedy, gdy jako młokos mieszkał Na Kanonji w Warszawie,

Choć poematy moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekłe wiersze
A la Słowacki.

Ale i później, gdy już stał się głośnym, wierszy takich, a nawet poematów à la Słowacki, pisał Gomulicki sporo, bo jako fanatyczny wielbiciel autora Beniowskiego (czemu wielokrotnie i przy każdej okazyi w swych artykułach literackich dawał nieograniczony wyraz), nie umiał się oprzeć jego fascynującemu urokowi.

Jeden z najpiękniejszych liryków Gomulickiego, zatytułowany Pod ciosem, kończy się dwiema strofami, które możeby wypadły inaczej, gdyby nie Słowackiego Smutno mi Boże!

Chociaż ciążyła dłoń twa nademną,
Zawszem przed Tobą stawał w pokorze,
Prosząc o światło na drogę ciemną,
Boże! Boże!

Dziś, gdy w istnienia paśmie zawiłem
Nić się splątała, zerwie się może,
Nawet do Ciebie drogę zgubiłem,
Boże! Boże!

Poematami Słowackiego, których wpływ odbił się na twórczości Gomulickiego najsilniej, są Beniowski i Podróż na Wschód, zwłaszcza ta ostania, może dlatego, że pisana sekstyną. Bo do oktawy niema jakoś Gomulicki pociągu. Za to sekstyna „pieści go“, podobnie jak Słowackiego nader często, a przedewszystkiem w Pieśni o Gdańsku i w Pieśniach weneckich. Kapryśna i pełna dygresyj Pieśń o Gdańsku zupełnie jest pisana w manierze Podróży na Wschód. Że zaś w poemacie tym, drukowanym w Warszawie, z konieczności musiała burza zostawiać piorun w cenzurze, więc brak w nim wprawdzie sekstyn, nastrojonych na patos Grobu Agamemnona, ale za to strof lekkich, dowcipnych, pełnych soli atyckiej, pełno w każdej pieśni. Pod wszystkiemi zaś mógłby się podpisać Słowacki, bo i jako myśl,

i jako forma, całkiem są jego godne. Wystarcza przytoczyć choć kilka dla przykładu:

A Gdańsk tak piękny! i tak cichy,
Gdy słuch wytężę zmrokiem, słyszę,
Jak dzwonią pieśni i kielichy
I pocałunki... Za tę ciszę,
W której się żywiej i goręcej
Czuję, ja kocham Gdańsk najwięcej.

Cicho tu prawie, jak w Wenecyi,
Gdzie ucho nie zna kół łoskotu:
I tylko czasem ze skał Szwecyi
Nadlata orkan z hukiem grzmotu,
Lecz rychło wraca w swoje skryty,
Jako do budy pies obity.

. . . .

Inaczej było tu przed laty!
Wrzątkiem uczt kipiał „Dwór Artusa“;
Huczały pieśni i wiwaty,
Lamp płomień złocił biel obrusa,
Puhary z winem, brody ryże,
Na białych płaszczach czarne krzyże...

Dziś jeszcze pewnie, kiedy blada
W gotyckich oknach pełnia błyszczy,
Błądzi po salach dusz gromada,
Jak pogorzelców tłum wśród zgliszczy;
Z obrazów schodzą wielcy mistrze,
Królowie, rajcy i burmistrze.

. . . .

Gdyś na Zielonym stanął moście,
Gdzie Acernowej był kres jazdy,
Puść wzrok przed siebie, a jasnoście
Wnet cię obejmą, jakby gwiazdy
Rozbłysły nagle w ducha mroku
I słońce wyszło z za obłoku.

. . . .

Ratusz - przewodnik polski pisze:
„Mówić z oddźwiernym“. Ach, nie! raczej
Prosić, by milczał. Pocóż ciszę
Ma tu zamącać głos prostaczy?
Te oddrzwia, herby, to podniebie,
Gmach cały mówi sam za siebie.

Podobną formą — choć strofą pięciowierszową — pisane są również i Pieśni weneckie, pełne gorącego kolorytu Weroneza, olśniewające plastyką wysłowienia, niezmiernie misterne

i kunsztowne, jako wiersz, a pełne melancholijnej zadumy, chwilami graniczącej aż z niekłamanym smutkiem, co je zasadniczo różni od krotochwilnej raczej Pieśni o Gdańsku.

Gdy jednych miłość — innych budzi sława,
Ileż to razy, gdy czytam lub marzę,
Chmurny cień Danta przy mym boku stawa
Lub blady Juliusz z matką swoją w parze,
Lub Byron, nowe stanowiący prawa!

. . . .

Więc i mnie wolno, czyniąc sojusz z Bogiem,
Ufać, że gdy mnie kopytem nie zdepce,
Żółcią nie struje, nie przebije rogiem
Krytyk — w poddasznej chociażby izdebce —
Wskrzesnę i stanę przed druhem lub wrogiem.

Skarga trwać będzie, choć bóle się skończą:
Ta biała karta jej echo przedłuży
I amjantową stanie się opończą,
Dla ducha, który w życiowej podróży
W niej tylko siłę znajdował obrończą.

Cienie Wenecyan! Cienie Wenecyanek!
I wyście wstały na moje zaklęcie...
Zanim was spłoszy purpurowy ranek,
Co pożar w morskim zapala odmęcie,
Migacie w mroku, jak barwisty wianek.

Na całkiem odmienną nutę jest nastrojona historya Koci, wdzięczny poemacik, w którym Gomulicki stara się współzawodniczyć ze Słowackim, jako autorem Beniowskiego. Że mu się to udaje niezgorzej, dowodem choćby następujące strofy, w których się nawet nie obeszło bez wzmianki o Słowackim.

Wiosna i młodość — jedno! Każda z nich otwiera
Bramy ziemskiego raju, nic nie biorąc za to,
O róże! o dziewczęta! o święta i szczera
Miłości serc dziecinnych! Może łysy Plato
O duchów mówiąc związku bezkrwistym miał racyę;
Co do mnie jednak, wolę konkretną kolacyę.

Z szatankiem tym, co modre jak cherub ma oczy,
Usta jak krew, a zowie się słodziutko: „Mania"...
I gdy wiosna wygrywa swój koncert uroczy
Na deser są piosenki i pocałowania,
Gdy nie słychać Tartuffe'ów wężowego świstu,
Przekładam jedną Manię nad Platonów trzystu...

Wiem, że ta strofa grzeszy przeciw moralności,
A co gorsza, ma ostry zapach paradoksu...
Co tam! niech jespan krytyk zżyma się ze złości,
Ja jej z miejsca nie ruszę. Wiem, że dymem koksu
Gdybym wiersze wypachnił, zyskałbym oklaski,
Lecz przekładam sen cichy nad wiwatne wrzaski.

Ratujcie mnie, Jowiszu i ty Afrodyto,
Bo spostrzegam, żem drugą powiedział herezyę!
Wszak Heinego okrutnie do krzyża przybito
Za to, że śmiał rozkiełznać niemiecką poezyę
I że pozwolił muzie chodzić po ulicy
W porannym dezabilu, z fajką i w szlafmycy.

Furda! Choć zadrżą białe duszyczki dewotek,
Świat nie runie, bo Atlas go trzyma, nie baba;
A zaś co do Heinego, to choć żądła plotek
Za życia go kąsały, jednak dusza słaba
Poety gorzej stokroć cierpiała po zgonie,
Kiedy Bóg ją za karę osadził... w Mironie.

A mego brata w Febie niech to nie obraża,
Bo i większych od niego skarżę o to samo.
Rzadko dziś czysty kruszec spotykać się zdarza,
I najczęściej poety duch jest amalgamą;
Dowodem czarodziejska Balladyny lira,
Na której grał Słowacki palcami Szekspira.

Dowodem niejedna struna w dźwięcznej lirze wykwintnego warszawskiego poety, na której Gomulicki niejednokrotnie zdaje się grać palcami Słowackiego.

V.

Wymieniony tu złośliwie w przedostatniej sekstynie Miron, czyli Aleksander Michaux, nietylko więził w sobie „za karę“ duszę Heinego, ale i Musseta, a prócz nich osadził w nim Bóg jeszcze i duszę Słowackiego, czem nieszczęśliwy autor Smutnych myśli w gruncie rzeczy najbardziej był przejęty. Poprostu rozmiłowany w Słowackim, z którym się poczuwał do braterstwa dusz, miał raz Widzenie nawet, w którem ujrzał ducha tego poety, zstępującego ku niemu miłościwie..

Dzisiaj w nocy cudna dusza
Przyszła do mnie w srebrnej mgle,
Był to jasny duch Juliusza
I wyszeptał: „Kochaj mnie!

„W pieśniach moich — serce moje,
„Smętny uśmiech, krwawa łza,
„I te wieczne niepokoje,
„Które tylko pieśniarz zna.

„Nie upadaj! Wzrok sokoli
„W niebo i w pierś ludzką wpij,
„Śpiewaj, choć tak serce boli,
„Kochaj, wierz, przebaczaj, żyj!“

„Dzięki, mistrzu! Ja nie skłamię,
„Śpiewać będzie wciąż duch mój,
‚Świat nie zegnie mnie: gdy złamie,
„Jęknę: Salve! Jam syn twój!“

Do jakiego stopnia uważał się Miron za duchowego „syna“ Słowackiego, o tem świadczy nietylko jego poemat oktawą o Don Juanie, z mottem z Beniowskiego: „Kto sercem kocha, ten i sercem gryzie“; bo choć poemat ten, zaczynający się apostrofą do Byrona, niewątpliwie jest pisany i pod wpływem jego arcydzieła, to jednak w nim gorycz bardziej trąci melancholią Beniowskiego. Że zaś Michaux, pisząc swego Don Juana, którego opatrzył godłem ze Słowackiego, już się uważał za wyleczonego z Byronizmu, o tem najdobitniej przekonywa zaraz druga oktawa pieśni pierwszej, gdzie poeta tak ironizuje na temat swego młodocianego kultu dla twórcy Childe Harolda:

Przebacz, Milordzie! Toć do twojej sławy
Moja podobna, jak Clown do Garrika.
Nawet nie jestem tak, jak ty, kulawy,
Ani takiego nie mam w mózgu bzika,
By psom układać wierszem nekrologi.
Twórco Manfreda! na któregom chory
Był w życia wiośnie, toć nie będziesz srogi
I mnie po śmierci nie powiesz perory.

Co pewna, iż nie brak w tym Don Juanie oktaw, któreby nie raziły nawet w Beniowskim.

„Kto kocha sercem, ten i sercem gryzie“,
I pieśń ma ciągle spłakana a drwiąca
Z ponurych myśli, jak wąż z grobu lizie;
Lecz niech zabłyśnie znów jej promień słońca
Zmartwychpowstanie z wężowych popiołów
Jasna i czysta, i wśród świata klęknie
Śpiewać ludzkości na nutę aniołów
Lub śmiać się Bogu tak, aż serce pęknie.

Już pieśń ta moja końca niedaleka.
Przez łzy się śmiejąc, jam te strofy składał,
Wydarte z życia naszych dni człowieka
I biciem pulsu społecznego badał.
Czy ludzkość wstanie z letargowej trumny
Jasna i czysta, niby Boże słowo?
Czy z pod nóg serce, ten nasz wiek rozumny
Podniesie i w pierś swą włoży na nowo?
. . . .
Ludzka komedyo! na scenie świata
Czterdzieści wieków grana bez przerwy,
Jakżeż ty strasznie rozstrajasz nerwy
Tym. których dusza nad błoto wzlata.
Kto na cię przybył z szczęścia pragnieniem,
To ten tak idzie jak Milton ślepy
Za melancholią, w całunie z krepy
I grób swój wita z gorzkiem zwątpieniem.

Jak dalece Michaux pozostawał pod wpływem ironii Beniowskiego, świadczy choćby następująca oktawa z Komentarza do Platona:

Kobieta to rzecz święta, skrzydlata i lekka,
Rzekł Plato, mistrz, co chociaż odkrył miłość cudną,
Po śmierci poszedł jednak tam, gdzie Cerber szczeka.
A dlaczego tak wyrzekł? Odgadnąć nie trudno.
Zwykle świętym tureckim zowie się człowieka,
Co ma kieszeń dziurawą i duszę nie brudną;
Skrzydlatym, gdy do zabaw od pracy ucieka,
A lekkim, gdy mu z głodu policzki wychudną.

Jeden z najpiękniejszych liryków Mirona, zatytułowany Ecce dolor, zaczyna się od parafrazy słynnego wyznania Słowackiego w Beniowskim:

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Żyć na tej ziemi. Z wiarą i zapałem
W tę puszczę prozy pochmurną i nudną
Wszedłem i próżno dokoła szukałem
Anioła choćby z jednem skrzydłem białem.

Zgryźliwy Nie Sonet Mirona, opisujący tajemniczą Muzę „z smutną Nioby twarzą, która

Upaja marzyciela, a potem go budzi,
By ziewał i gryzł sercem aniołów i ludzi,

ma za motto dwa wiersze z Beniowskiego:

O melancholio! Nimfo! zkądeś rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?

Jak Beniowski, którego kapryśność odbiła się także i na Dziwnej pieśni Mirona, tak i Podróż na Wschód Słowackiego odezwała się niejednem echem w poezyach tego „syna“ Juliusza. Dość wymienić poemacik o Wenecyi, gdzie n. p. takie zdarzają się sekstyny:

Na Placu Marka, w owym salonie,
Co ma za sufit morze lazuru,
W owym salonie, całym z marmuru,
Tysiące świateł gazowych płonie,
Tysiące ludzi pod kolumnami
Krąży i wita się uśmiechami.

„Garibaldi'ego Hymn“ gra kapela,
A lud okrzykiem wtórzy *Evviva!*
Czasem rakieta gdzieś w górze strzela,
Czasem się morze głucho odzywa,
Lub coś zadzwoni: Kocham nad życie!
Jak pocałunek na aksamicie...

Oczywiście, iż i Hymn o zachodzie słońca, który tylu poetów pobudził do naśladowania, nie mógł nie oczarować i Mirona. Jakoż daje się to stwierdzić w jego poezyach dwa razy: najprzód w pełnym zwątpienia Fragmencie, a następnie w Smutnej piosence:

Fragment zaczyna się od następującej strofy:

Smutno mi Boże! Choć wiosenne zorze
Świecą na niebie światłem lazurowem,
Życie me życiem jest już przedgrobowem,
Serce z letargu wciąż się do łez budzi:
Wszystko mię dręczy i wszystko mnie nudzi,
Boże mój, Boże!

Smutna piosenka ma taki początek:

Chociaż mi gwiazdy w twoich oczach płoną
A w ustach róże, takie wonne, świeże;
Chociaż przyrzekasz miłość mi szaloną,
Ja ci nie wierzę.

Z wrażeń, doznanych nad Lemanem, powstał wiersz Mirona W Szwajcaryi, a więc tytułem przypominający znany poemat Słowackiego; dowodem zaś, jak ten poemat nie dawał Mironowi spokoju, są jego ironiczne Trzy boleści, których jedna strofa zaczyna się w ten sposób:

Kochały go dwie dziwne odmienne istoty
I on „omdlewał z żalu, usychał z tęsknoty“.

Wpływ Testamentu Słowackiego znać w wierszu Mirona Przed biustem poety, któremu „czoło Jowiszowe“ przystrojono w liście wawrzynu.

To nie dla ciebie strój, boś ty serce dumne
Bez skargi oddał w krwawe cierpienia:
Zgodził się mieć tu niepłakaną trumnę
I przywaloną głazem zapomnienia.

FERDYNAND HOESICK.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Siła fatalna" poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Kazimierz Gliński wielokrotnie dał niezbite dowody, że wszystkich poetów polskich, od Kochanowskiego do Asnyka, najbardziej oczarował go i podbił sobie Słowacki. Bo nietylko jest autorem podniosłego wiersza okolicznościowego, w którym przemawia za przewiezieniem zwłok Juliusza Na Wawel, a o Anhellim napisał jeden ze swych najpoetyczniejszych sonetów; ale jako autor Królewskiej pieśni wskazał bez żadnych zastrzeżeń, iż poematami, które mu przyświecały przy pisaniu tej epopei z naszej zamierzchłej przeszłości, jako wzór idealny, były w pierwszym rzędzie Król Duch i Beniowski, choć i Balladyna i Lilla Weneda także tu nie pozostały bez wpływu. Dla dokładności godzi się nadmienić, iż Królewska pieśń cała pisana jest oktawą.

Że jednak [redacted] i nastrój Słowackiego Podróży na Wschód silnie się wgryzł w duszę Glińskiego, za tem przemawia choćby tylko fragment Ze wspomnień greckich, tak samo pisany sekstyną, jak Grób Agamemnona, a ze Wschodem słońca nad Salaminą także mający wiele wspólnego.

Grek mię prowadził. Pod stopami memi
Spalone skwarem szeleściały zioła;
Krzewy mirtowe przyległy do ziemi;
Wiatr gdzieś w szczelinie skał drzemał; gór czoła
Patrzyły w słońce, co z monarszą pychą
Przez cichy obszar błękitów szło cicho.

W słonecznych blaskach Tajgetu wyżyny
Purpurowemi świeciły barwami;
W skalistych głębiach leżały muśliny
Mgieł nieruchome, a dalej przed nami
Widniało głazów omszonych bezładzie:
W podobne kształty czas ruiny kładzie.[1])

[1]) Że nie jeden tylko Gliński, kreśląc swe wrażenia z Grecyi, wpadał w ton Grobu Agamemnona, dowodem Ernest Buława (Władysław Tarnowski), który w swych Nowych poezyach z r. 1872, tak duma na gruzach Akropolu, o zachodzie słońca, gdy „w łun aureolach drżał Parnas świetlany“:

A złote fale od stóp Salaminy
Szły rozmodlone do kolumn Eginy,
I o ich stopy, konając, bryzgały
Śnieżnemi perły śród oliwnych gajów.

a Calirroe

dziś strumyk tak mały,
Nad Maratonu Pantelikon wzbity,
Czoło z marmuru niósł w niebios błękity.

Dołem sterczały korynckie kolumny
Rytmiczne, z Zeusa olbrzymiej świątyni,
I Lysikrata grób, co sterczy dumny.

. . . .

Porwałem bryłę śnieżnego marmuru,
Co w wiekach złocą słoneczne promienie,
I zawołałem z orłami do chóru.
Choć krzyk mój spłoszył ich... pierzchły w przestrzenie...
„O, bóstwa, w gruzach przez ducha stworzone!
Raz żywe, czyście na zawsze uśpione?!“

I położywszy bryłę na mem łonie
Na wznak runąłem w błękity wpatrzony,
I zdało mi się, że na Partenonie
Niki Aptery płynie jęk stłumiony,
Któremu chórem smętne Homerydy!
Erechtejonu wtórzą Karyatydy!... i t. d., i t. d.

Jak fanatycznym wielbicielem Słowackiego, którego nazywa „najfantastyczniejszym z śpiewaków“, był Wład. Tarnowski, o tem po dziś dzień zachowała się tradycya w jego rodzinie...

Na piaszczystego wszedłem wierzch pagórka,
Prastarej Grecyi owionięty duchem
U nóg mych żółta pierzchnęła jaszczurka
I gdzieś się skryła w piasku morzu suchem.
Cisza... W dolinie szeptał tylko wązki
Enortas, laurów trącając gałązki.

W połyskliwego zdroju idąc ślady,
Szelestem swoich stóp drażniłem ciszę;
Lecz echa spały na górach Hellady;
W powietrzu żaden ptak się nie kołysze;
Patrzyła w przestrzeń źrenica otwarta...
Wtem Grek się wstrzymał i powiedział: „Sparta!"

Stanąłem. Chciwie wytężyłem ucho;
Na ono słowo wszak się echa zerwą:
W wąwozach skał tych odezwą się głucho
Leonidasa imieniem i przerwą
Tę martwą ciszę... Okrzyk się rozszerzy,
Poleci wichrem i gromem uderzy.

Słucham... Milczenie! Nawet wązka struga
Szemrzeć przestała i zwolniała w biegu;
Leniwem światłem cicha fala mruga.

Wiersz ten przynosi prawdziwy zaszczyt Glińskiemu, bo gdyby kto nie wiedział z całą pewnością, kto jest tych „wspomnień greckich" autorem, mógłby przypuścić nie bez pewnej racyi, iż jest to wyjątek z *Podróży na Wschód* Słowackiego.

Nawet w swych niektórych narracyach poetyckich, jak n. p. w *Kropli krwi*, rozgrywającej się na tle Włoch, popada Gliński ~~raz po raz~~ w ton *Podróży na Wschód* Słowackiego. Dowodem choćby następujące sekstyny, z opisem Wenecyi:

Uciekłem z Rzymu. W falach wód Wenecyi
Chciałem utopić przeszłości wspomnienia.
Wiesz, jakie słońce tam promienne świeci,
Jaką jest siła świateł, czarność cienia.
I z „Mostu Westchnień" musiałeś w przestrzenie
Błękitów rzucić niejedno westchnienie.

Nad ciemnej fali milczącą głębiną
Koło świątyni zamieszkałem Marka,
Codzień widziałem, jak gondole płyną,
Codzień nam róże nosiła kwieciarka;
Pieściły ucho fal tajemne szmery,
Chłodnym oddechem wiały win szpalery.

. . . .

Istnieje prócz tego jeszcze jeden wiersz Glińskiego z r. 1906, tak samo nastrojony na ton Podróży na Wschód, tylko że dramatyczniejszy o wiele, bo uderzający w patryotyczną strunę Grobu Agamemnona. Poeta opowiada w nim, że któregoś wieczoru, zaczytanemu w poezyach Słowackiego, ukazał się Juljusz we własnej osobie, kazał mu iść za sobą i zaprowadził go do jakiegoś zbryzganego krwią grobowca. Okazało się, iż „był to dawny grób Agamemnona".

I zatarzałem się, jak robak w prochu,
I zajęczałem, jak widmo upiorne.
I kiedym wyszedł z podziemnego lochu
Na niebie gwiazdy świeciły potworne,
Gwiazdy te same, co wówczas świeciły,
Gdy od Atrydów uciekał mogiły.

Na koń! w lot! dalej!... Skokami olbrzyma
Rzucał się rumak, znaleziony w mroku.
A On mię pytał, drżąc: „Gdzie się zatrzyma?"
I błyskawicę miał i piorun w oku,
I jakieś słońce ogromne nadziei..
Dalej!... I rumak padł... na Cheronei!...

„Tu?... tu?... tu znowu?... Wieczyścież, wieczyście
„Siadać będziecie wśród trumien w żałobie?
„Na skroniach nosić lauru suche liście
„I otworzone mieć wciąż oczy w grobie?...
„Gdzie jest posągu jednolita bryła?
„Gdzie mój kamienny lud? w was jego siła?..."

Uczułem wtedy już nie wstydu trwogę,
Lecz jakieś piętno palące na czole.
O, co ja czułem, powiedzieć nie mogę!
O, com przecierpiał, zamilczeć już wolę:
Ból tylko wielki był w sercu i zamęt,
A przed oczyma ten Jego testament!...

Jak ptak pierzchliwy plusnęła gondola,
W srebrzyste brzegi marszcząc wód głębinę.
Już oddalenia mgła miasto okola,
Kopuły Marka srebrzą się w mgle sine.
A ucho twoje wśród tej wielkiej ciszy
Dźwięk spadającej każdej kropli słyszy.

Wschód się zapalił; glob słońca wspaniały
Wstawał w wszechblasków promiennej koronie.
i t. d., i t. d.

Ale jak Słowacki, który najpierw napisał sekstyną Podróż na Wschód, a potem dopiero zaczął pisać oktawą Beniowskiego, tak i wielbiciel jego, Gliński, ~~[illegible]~~ po szeregu utworów sekstyną à la Słowacki, gdy mu przyszło pisać swój osobisty pamiętnik wierszem, poświęcony wspomnieniom młodości, nawiedzającym go w Noce bezsenne, zdecydował się pisać go oktawą na wzór Beniowskiego, której to forma ze swemi kapryśnemi dygresjami, wiecznie nie krępującemi lirycznego polotu, jest jakby stworzona do takich poetycznych rozpamiętywań na temat dawnych czasów, opromienionych aureolą marzeń i tęsknoty.

Co pewna, że ten „pamiętnik" Glińskiego, pisany w czasie Nocy bezsennych i zatytułowany pod tym tytułem w ~~[illegible]~~ jako rezultat warszawskiego Sfinksa z roku 1912, jest jednem z najudatniejszych w naszej poezji naśladownictw Beniowskiego, a jako taki należy też i do najcenniejszych klejnotów liryki jego poezji.

Oto, w jaki sposób n.p. autor wspomina „Złote czasy Berdyczowa", kiedy to na ~~[illegible]~~ dorocznym jarmarku zjeżdżała się szlachta ze wszystkich stron, kiedy tu bawiono się, tańczono, romansowano, etc. etc.

W brzozowych gajach rozkochane parki
Snuły się, szepcąc miłosne zaklęcia,
Bo co ich mogły obchodzić jarmarki,
Kupno, sprzedaż, dzierżawy do wzięcia?...
Tu się imali innej gospodarki
I innej mieli natury zajęcia...
Toteż, nim jarmark Kontraktów się skończył,
Niejedną parę ksiądz w kościele złączył.

Wrzał gród od krzyków, wołań, rżenia koni
I inne barwne naciągnął obrazki.
Apolinary lub Kątski Antoni
W teatrze złoto brali i oklaski...
Dziś echo nawet pieśni ich nie dzwoni,
Berdyczów upadł z swej fortuny łaski:
Wszystko gdzieś w czasu zniknęło topieli,
Nawet wspomnienia o tem djabli wzięli!...

Nie!... witaniście z góry!... Bije głos słoneczny
I grzmiącą pieśnią echo się rozszerza...
Wspomnienia! ja wam daję żywot wieczny,
O, niepamięci! masz we mnie szermierza!...
Pierwej wyrzucie morskich fal nurt wsteczny,
Pod wód naciskiem ustąpią wybrzeża,
Ale com wyrwał z duszy mojej głębi,
Ogień nie spali, żaden chłód nie zziębi.

I twoje miano na twardym granicie
Ryję niestarcie, biedny Berdyczowie!
Wspomnicie o nim, gdy o mnie wspomnicie,
Com go wyśpiewał w rymowanej mowie.
Innym gościńcem pójdzie wasze życie
O ludziach innych mały wiersz wam powie,
Ale wśród pieśni i dźwięków tysiąca
I mojej harfy zabrzmi struna drżąca.

Nigdy wam w serca nie lałem trucizny,
Nigdym wiar waszych nie burzył ołtarzy:
Boga łączyłem z imieniem ojczyzny,
I nie ścierałem wam rumieńców z twarzy,
Dziewice polskie! zadając tem blizny
Piękności waszej! Nikt się nie odważy
Cisnąć mi w oczy, jeśliby nie skłamał:
Żem jedno serce zbudził, duszę złamał.

Cóż to?... przechwałki?... Powiedział Słowacki:
„O sobie dobrze mów." Więc mówię dobrze.
A wiersz, czasem czuły lub warjacki
Rym skrzy, a w walce dzwoni chrobrze,
Z rymami, jak ów bojownik sarmacki
Z tatarstwem mięgłej, lub, jak dzisiaj, w robrze
Wintowym gracz niejeden, więc folguję
Rymom, choć dla nich myśli nie przypsuję.

- - - - - - - - - - - -

Drzemią czasem, jako młody powiew zimy
Wypłakał jak ku mnie twe pierwsze westchnienie.
Widzę, wieś moja drzemie, białe dymy
Snują się, białe wytępują cienie.
Mocniej wdzięczniej przy przypływie rymy,
Porządkiem więcej zjawi się na scenie,
I z jasnem okiem, z twarzą uśmiechniętą,
O Berdyczowie skończę pieśń zaczętą.

Nie wszystkom widział własnemi oczyma,
Lecz gdy do młodej pamięci coś wpadło:
Powieść ojczulka, sen matki, przytrzyma
Dusza dziecięca. Gdy serce wahadło
Drży niespokojnie, a przypływa zima
Rozwieje białe śniegów prześcieradło:
Dawne te dźwięki z lat minionych słyszę
I — nie wiem poco — oktawami piszę.

- - - - - - - - - - -

- - - - - - - - - - -

W każdym razie jednego był pewny: razem, że to pisanie oktawą nie sprawiało mu żadnych trudności, że jak Słowackiemu więcej, tak i jemu rym się sam nitłoczył do niego nagiął.

I duch najczulszych najczulsze dusze
Gdy myśl schwycona w rytmy się układa.
Latają mary senne, jak motyle.
Każdy wiersz nową pieśnią do mnie gada.
O strofy nie dbam, na rym się nie silę,
Ten, nie [illegible], deszczem na mnie spada.
Nieraz odpędzam rymów nawałnicę
I odpędzając, jeszcze sto naraz schwycę.

Chodzi o to jedno, by pieśni, idącej z twórczej natury, nie nużyła słuchaczów, by choć jeden dźwięk został w cudzej pieśni...

Jeden dźwięk... silny! byle w takiej duszy,
Która zrozumie ból, gdy ból w niej będzie.
Krzyk, gdy krzyk będzie; w takiej, która wzruszy
Dostępności pieśni mojej, jak łabędzie
Witanie: cześć! do cię wali, kruszy
Majestat ducha! Niech cisza usiądzie
Na grobie moim, zapomnienie, głusza:
Z niczego wyrwie mnie ta jedna dusza.

Dziś wyślizgiwanie wokół ciał dookoła,
Wyścig szaleńczy za rozkoszą chylą,
Rozgrzane serca, do których nie woła
Duch siły dawnej. Nie dziw, że się chylą

Sztandary białe, jak dziś kłosów czoła
Po ziemi włóczą się nisko i pyłą...
Pieśniarskie lutnie nawet, dzwoniąc głośno,
Nad hymn tyrtejski wolą piosnkę sprośną.

Czasami wiersze wznoszą sarkofagi
Dźwiękiem mych lutni trwalsze od piramid.
Więcej by, jakiej potrzeba odwagi
Po pieśni tę sięgnąć, rzucić traw aksamit,
Zamiast balsamu w pieśń przyjąć miecz nagi
I nie wybuchające gniewem, jak dynamit,
I wroga u stóp otwierając trumnę,
Nie składać pieśni i mieć czoło dumne.

Wam się wydaje, że przędziwo snujem,
Jak pająk nić swą, bez dolewu wnętrza;
Co czuje matka, gdy roni, my czujem,
Czujem podwójnie, gdy tylko pieśń święta,
Lecz przeklinam przyjętym oręż kujem,
I w dzieci wasze wstępuje krew gorętsza,
I gdy odkryją pieśń, to pieśń ze stali,
I kochać będą tak, jak my kochali.

Niektóre pieśni takie nieznane trafiają do przekonania krytykom, którzy, rzucając kamyk na całość, mądrzą się nad takim poematem, uważając, gdy mu mogą wytknąć jak najwięcej wad i usterek.

Dowiedziawszy się tego na ich wiersze i Gliński, którym wśród krytycy różne braki, a nie tak one wytykali to w formie delikatnej. Zato my wiersz ścisłych razami, na które mógł odpowiadać wzruszeniem ramion, albo — jak w tych Nocach Wersalskich — takiemi np. oktawami:

Nie lubi forma oktawy miarowa
Skoków, ślizgań żadnych. Bądź prawidłom wierny:
Niech wiersz twój płynie, jak ~~fala~~ za falą fala,
W miarę się wznosi i w miarę zapala.

I nie rozpraszaj głównej myśli wątku,
I harmonijnej nie psuj tem budowy.
Do niego zmierzaj, niech wierny z początku,
A przypniemy ci listek laurowy.
Więcej rozwagi, ładu i porządku!...
Tak mi niejeden już sędzia surowy
Bajał i w obrazie wskazywał zapędzie...
Pióro więc do rąk i pór!... bo ile będzie!

Zgrzytnij, jak zgrzyta żelazo, pewnikiem
Nerwowo zadrżą Zoile; w dodatku
Słowo ze słowem połącz, z przymiotnikiem
Przymiotnik zrymuj w tym samym przypadku,
Wnet gromy pełnym przerażą cię krzykiem,
Że spojrzą twarzą Chrystusa w opłatku.
Raz mi już pewien krytyk zwiał światło,
Że się nie wiąże owo z rymem: na tło.

Lecz cóż mam począć, gdy barwy jaskrawe
Na końcu wiersza błysną jakiej światła?
Mam-że je pokryć zapomnień kurzawą.

Postawić światła i nie mieć na tła
Różne? Cóż zrobić natenczas z oktawą
Gdy wczesany rym się nie rozpadła
I dźwięki obliźnie z sobą się nie związą?
Nie ja do rymów, rymy do mnie idą.

A radbym wiedzieć, gdybym siadł na miotle
Twojej, Krytyku, ty — na mym Pegazie,
Jakbyś wyglądał w rymów twoich świetle,
Gdybym się w twoim chciał pracach obrazie?
Spróbuj, kochanku, związać rymów pętlę,
Zbuduj oktawę, lubo drugą w kazie!
Zmieniamy role: ja z powagą siędę,
Ty będziesz tworzył, a ja cię sądzić będę.

Lecz wam się zdaje, że wiersz my skrzali,
Gdy nasza waszą rymopis powagę,
Fantazję własną gwoli waszej spali
I powie swemu natchnieniu: Apage!
Spijcie, Zoile! dość się my zbajali
Nieraz i razem uciekli na Pragę;
A tym, co przeszli przez wasze kowadła,
Królewska szata z ramion nie opadła.

Za wielkie ciosy wasze były, atak
Za słaby waszej lekkiej kawalerji.

I [illegible] harfa moja, nie, jak chcecie, gra tak,
Bo nie jest zdolna do innej mizerji
Instynktu. Zegarowego swoistego „tu-tak"
Nie lubi, przedewszystkiem ma coś z fanaberji
Polskiej, gdzie Karzeł władczo się kryje:
Gra tak, jak chce grać: pokłonów nie bije.

Wzrosłem jam z bujnych Tarasów wykrwawionych,
Karmiony pieśniami dawnej Ukrainy,
Kozaczych swobód i duchów Kochanek
Przebrzmiałych bandur dziś już tym jedynym.
Nie z ogrodowych róż uplatam wianek,
Kwiat czasem zerwę dzikiej jarzębiny,
Korale kalin zmieszam wierzaz z ostem,
A idę do was, idę z sercem prostem.

Ale iść z sercem prostem do uprzedzonych krytyków nie zda się najczęściej na nic. Doświadczył tego na sobie wielokrotnie i Gliński, który nawet i do przyjaciół, o ile ci byli krytykami, nie miał szczęścia. Choć, jako poeta, z prawdziwym talentem z bożej łaski, pisał wiele rzeczy niepospolitych (a do takich w pierwszym rzędzie należał i ten pamiętnik w Nocy bezsennej pisany), zapominano o nim często, co nawet stało się i Chmielowskiem, iż go nie wymienił w swoim Zarysie literatury polskiej. Nie wymienił go również Henryk Galle, choć pisał o wszystkich innych poetach.

Ponieważ tego było już przecie za wiele, więc nie umieścił w zakończeniu swych Nocy bezsennych poświęconych tym dwom krytykom paru zjadliwych oktaw, wzorowanych na analogicznych oktawach Beniowskiego z krytykami Z., K.S., K.E., K...

Dziś i niejeden na mnie Zoil zaciął,
Żaden z nich nawet ramiony nie zżyma,
Lecz milczą wszyscy. Nawet u przyjaciół
W ich literackich zarysach mnie niema.
Smętny nie jestem, choć w sam środek [illegible] ciął
Pan H. G., który [illegible] w książce trzyma,
Gdy wszystkich stawiając przytomnie
Wszystkich pisarzy, zapomniał był o mnie.

Smętny nie jestem, i nie wzniosłem dłoni
W zasłonę niebo nieprzeliczonym gestem;
Wieniec, tak silnie ciągnięty z mej skroni
Nie spadł na ziemię; anim też z protestem
Wystąpił... Poco? Jeśli kwiat bez woni,
Umrze sam przez się... Ja, smętny nie jestem!
Pan H... zapomniał, nie zgrzeszył niechęcią:
Przyjdzie który inny już z lepszą pamięcią.

Nie takie w życiu przeniosłem krwawizny
Jednakże serca do świata nie stracił...
Powoli wszystkie zagoją się blizny.
A jeśli chlebem za kamienie płacił,
Umrze spokojnie. Nie trują trucizny

Dzień po dniu trwa. Tylko się wzbogacił,
Zmądrzał o jedno doświadczenie więcej,
Że mają kolce... przyjacielskie ręce.

Na szczęście, nie wszyscy przyjaciele są tacy, a nie zabrakło i takich, co o Glińskim, jako poecie, pisali z należnem uznaniem. Nie inaczej też godzi się pisać o jego Nocach Wiosennych, które, choć trącą Beniowskim, są poematem oryginalnym nawskroś, obfitującym w cały szereg prześlicznych, niezmiernie plastycznych scen i epizodów, a że je przeplatają, niby girlandy, bardzo wdzięczne nieraz dygresye, bądź liryczne i patetyczne, bądź ironiczne i żartobliwe, więc to jeszcze podnosi urok tego melancholijnego „pamiętnika" z czasów dzieciństwa i pierwszej młodości.

(Na wielkie Glińskiego zależności od Słowackiego, itd. z druku —

k. 48

Że ten testament Słowackiego poeta rzeczywiście miał często przed oczyma i w pamięci, na to znalazł się wymowny dowód zaraz w pierwszych trzech strofach wiersza, pisanego W noc 3-go kwietnia, w rocznicę śmierci Słowackiego, wiersza, doskonale malującego stosunek autora Grobu Agamemnona do narodu.

Żyłeś, cierpiałeś i płakałeś z nami,
Na podłość ludzką patrzyłeś ze wstrętem,
I gdyś odchodził w zaświaty z duchami,
Myśmy zostali z twoim testamentem,
Który twe myśli w czyn rozkazał wcielić,
Oczyścić serca, dusze wyanielić.

I zaklinałeś, by ci, co żyć będą,
Szli przed narodem z kagańcem oświaty,
I nim do stołu biesiadnego siędą,
Dłonie umyli i zmienili szaty,
I oczyszczeni z dawnych grzechów pleśni,
Stroili serca, jak harfy, do pieśni.

Do trzew targałeś nieraz nasze wnętrza
I przez Eumenid przepędzałeś rózgi;
Z twych pieśni wszystkich ta była najświętsza,
Choć się wpijała, jak sęp, w nasze mózgi,
I serca ognia paliła płomieniem,
Była wyrzutem, piekłem i... zbawieniem!

Na wielką Glińskiego zależność od Słowackiego zwrócił już w swoim czasie — w feljetonie „Słowa“ — uwagę prof. Henryk Galle.

„Rzecz prosta — czytamy tam między innemi, — iż „w akordzie tonów, posłyszanych i szczerze odczutych, prym wo-„dzić będzie Słowacki, ów poeta, najbliższy duchem „współczesnemu pokoleniu. Posłuchajmy, jak się skarży „Gliński:

Nie dla mnie, Panie, to lazurów morze,
Co we dnie słońcem, nocą lśnią gwiazdami:
Nie dla mnie, Panie, porankowe zorze,
Co ziemię rosy witają kroplami,
I drżą w powietrzu, jak aniołów skrzydła
Pomiędzy ziemią tą a błękitami...
Nad czołem mojem przeleciały burze
I błyskawice pożarem czerwone...
I duchy jakieś, co miały w purpurze
Łzy...

„Bardziej przekonywujących dowodów „siły fatalnej“ Słowac- „kiego i jego wpływu nie szukajmy. Zbytecznem będzie przytacza- „nie takich potwierdzeń niezbitych, namacalnych, jak utwór „Smutno mi Boże! lub jakiś dwuwiersz, wyrwany z pośrodka innych:

Jeśli miał co przebaczyć — przebaczył;
Jeśli o czem zapomnieć — zapomniał.

„Nie potrzeba mówić jeszcze o owej „lilii białej“, która i dla „jednego i dla drugiego poety nieraz była w grzechu miłości. „Rękę mistrza poznać w każdym zwrocie, w każdem „wysłowieniu uczucia. Gliński do epigonów romantyzmu „należy niezaprzeczenie. Dowodzą tego nietylko bezwiedne lub „świadome reminiscencje mistrzów-przewodników. Cały skład du- „chowy poety, sfera myśli, uczuć i pragnień, wierzeń i zwątpień, „zawodów i nadziei, wybór przedmiotów, temperament poetycki, „wznoszą się na kształt muru granicznego pomiędzy Glińskim „a pokoleniem „najmłodszych“ poetów. I przyznać należy, iż tu „właśnie, na gruncie wspólnym z tymi, którzy dawno śpią w gro- „bach, Gliński jest najwznioślejszy, najbardziej trafiający do serca, „najbardziej jest samym sobą. Chciałbym dla przykładu przytoczyć cały wiersz: Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże!... Dla mnie na błękicie
Obłoków srebrnych zwinąłeś obręcze
I w ozłocone rzuciłeś przestworze
Blaski i tęczę —
Lecz — choć czasami duch tonie w zachwycie,
Że mi tak bardzo smutne dałeś życie,
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże, choć wezbraną rzeką
Płynie myśl moja w otchłań lazurową,
Gdzie zapaliłeś gwiazd promienne zorze
Nad moją głową —
Lecz, że młodości dni tak szybko cieką,
Gwiazdy daleko i niebo daleko,
Smutno mi, Boże!...

„Smutno mi, że „piękność róży potrwa chwilę“, że „marze- „nia wszystkie mają dni motyle“, „że muszę zerwać struny mej „lutni, bo nie śni mi się już żaden sen złoty...“

Smutno mi, Boże, choć ta rola czarna,
Jak ogród rajski, różami zakwitnie,
I źdźbła pszeniczne wzrosną na ugorze
I kłosy żytnie;
Plon złoty praca przyniesie ofiarna,
Ale, że obca dłoń te zgarnie ziarna,
Smutno mi, Boże!...

„Smutno mi, że kiedyś „wśród ścian znajomych stać będę „nieznany“, że gromy Boże „ślepe ciosy niosą“, że „gwiazda wscho- „dnia“ „nad grobami ludów wstaje co dnia“, że „w hymnie, co „echem drży nad moją głową, umilkł dźwięk jeden, ścichło jedno „słowo“, „żeś mię wytrącił, Boże, z wielkiej arfy świata...“

Smutno mi, Boże, że tej piersi łkanie
Ognistych gromów poruszyć nie zdoła;
Że wicher żaden chmur rozwiać nie może
Z białego czoła;
Że czasem bywa straszne serc strzaskanie,
Że nie rozumiem sądów Twoich, Panie, —
Smutno mi, Boże!

„Wiersz ten, w którym potęga liryzmu, widocznie hamowana, „potęga, na jaką nigdzie indziej Gliński się nie zdobył, łączy się „z przepięknem, na wzorach Słowackiego haftowanem wysłowie- „niem — to żywe, wiarogodne, nieprzeparte świadectwo niezaga- „słej tradycyi wieszczów narodu, tradycyi, od której nie odwiodą „nas ani pozytywizm, ani realizm, ani modernizm, bo skąd co wy- „szło, tam i powrócić powinno i musi.“ [1]

VII.

Równie udatnem naśladowaniem Hymnu Słowackiego jest Smutno mi, Boże! Czesława Jankowskiego, niewątpliwie jeden z najrzewniejszych wierszy autora Arabesek.

Smutno mi, Boże! Ponad moją głową
Zaledwie zorza weszła na błękity,
A już błyskawic wstęgą purpurową
Blask jej rozbity.
Że już mię wołasz na burzliwe morze,
Smutno mi, Boże!
. . . .

[1] Z niwy poetyckiej, I., „Słowo“ z r. 1900.

Idę, lecz wolny od próżnych omamień,
Wiem, że bez wsparcia mam zostać na świecie,
Że ręka bratnia wpierw mi rzuci kamień,
Nim wieniec splecie.
Choć się niedoli przeczuciem nie trwożę,
Smutno mi, Boże!

Włodzimierz Zagórski tak był przejęty uwielbieniem dla Słowackiego, iż całe życie pisał pod pseudonymem Chochlika, co naturalnie stoi w ścisłym przyczynowym związku z Balladyną; a gdy w r. 1881 sporządził zbiorowe wydanie swych Piosnek i żartów, umieścił na ich czele, jako motto, cytat z Beniowskiego: „Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę". Ale choć uwielbiał Słowackiego, o którym nawet napisał parę interesujących rozpraw literackich, choć kochał się w świetnych oktawach Beniowskiego, mimo to we wszystkiem, co wychodziło z pod jego błyskotliwego pióra, był tak dalece sobą, iż tylko raz jeden jedyny w Królu Salomonie nie potrafił się oprzeć „sile fatalnej" Słowackiego, mianowicie w wezwaniu Sulamity, która zakochana w królu, tak mu obiecuje szczęście w miłości z nim:

Pójdziemy razem z gór Libanu,
Pójdziemy razem w gaj mirtowy,
Gdzie strumień szepcze kryształowy,
Pszennego ścieżką pójdziem łanu!

Jest to niewątpliwie reminiscencya z poematu Słowackiego W Szwajcaryi (o którym to poemacie Zagórski napisał ciekawe studyum literackie), gdzie jedna strofa zaczyna się od podobnego wezwania:

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, *gdzie* trzód jęczą dzwony...

Wprawdzie jest ogromna różnica między idealnym erotyzmem, łączącym szwajcarskich kochanków Słowackiego, a namiętną zmysłowością Salomona i Sulamity w poemacie Zagórskiego, ale i ta różnica nie wyklucza pewnych uderzających podobieństw w sposobie wyrażania się obu poetów, co oczywiście dowodzi niewątpliwej zależności Chochlika od autora Balladyny. Tak n. p. jest strofa W Szwajcaryi, zaczynająca się od wiersza:

Płonęła wonna, jak kadzidło mirry,

który to wiersz znalazł w Królu Salomonie swoje widoczne odbicie w następującej strofie:

Pieszczotą moją upojona,
Płonęła, niby lampa, wonna,
W uścisku ramion mych bezbronna
A bezbronnością niezwalczona.

I była mojej woli panią
I jak za matką idzie dziécię
Tak gotów byłem iść przez życie
Wszędy — gdzie tylko pójdzie — za nią!

Czytając te ostatnie cztery wiersze, mimowoli myśli się o jednym ustępie z poematu Słowackiego, gdzie kochanek mówi o swej kochance, że

Była jeziora błękitnego panią,
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,
. . . .
I mogła była co chce robić ze mną!

Co jest niemniej uderzającem, że są pewne przeciwieństwa w wyrażeniach w Królu Salomonie i W Szwajcaryi, które właśnie dlatego zakrawają na... podobieństwa. Tak n. p. gdy Słowacki powiada na początku jednej strofy:

Lecz nadto było cyprysowej woni
I nadto barwy, co się w różach płoni,

to Zagórski tak zaczyna jedną strofę:

Nie było dosyć nam pieszczoty,
Rozkoszy lubej dość nie było.

Na to jednak, aby się przekonać, jak Słowackiego, a zwłaszcza Beniowskiego „siła fatalna" oddziaływała na sarkastyczno-polityczną Muzę Chochlika, trzeba przejrzeć roczniki lwowskiego Szczutka...

Włodzimierz Stebelski, zaraz w drugiej strofie swego humorystycznego Don Juana opowiada o sobie:

Siedziałem wówczas właśnie w ósmej klasie
Z czołem wyniosłem i z pełnem obliczem,
A dzisiaj jestem (tu westchnienie zda się)
Tem, co Słowacki ongi nazwał... niczem!

Co się tycze tego Don Juana Stebelskiego, to ma on przedewszystkiem to z Don Juanem Mirona wspólnego, iż jest opatrzony godłem z Beniowskiego:

Krytykom jak psom rzucam kilka kości,
Gryzą, lecz przyjdzie czas, iż te Herody,
Przez których teraz dzieci moje giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Pozatem jest ta zabawna „powieść poświęcona młodym tragikom“, opowiadająca dzieje fatalnej miłości galicyjskiego gimnazisty z młodą żydóweczką; dość pospolita alte Geschichte, pisana w znacznej części oktawą, jak Beniowski, świadczy między innemi i o tem również, iż ten prowincyonalny Don Juan, w chwili, gdy najczulej romansował z namiętną Rachelą, już miał za sobą lekturę monografii prof. Małeckiego o Słowackim, o czem się dowiadujemy z następującej oktawy:

Miesiąc upłynął. Ona rozmodlona
Dzierży dłoń swoją w mojej męskiej dłoni;
Ona w mą postać cała zapatrzona
I ja też słodko wciąż spoglądam do niej.
Na drżących ustach mrą nam wszystkie słowa,
Jakieś nieznane czucie nas zaklęło...
Kochanko moja! po co nam rozmowa?
Po co nam pana Małeckiego dzieło?

Że Stebelski nietylko znał książkę Małeckiego, ale i Słowackiego poezye wciąż miał przytomne w pamięci, tego dał niejeden dowód nawet w swych dowcipnych humoreskach wierszem, jak n. p. w pełnej humoru Gwieździe Syberyi, w której podczas nocnej włóczęgi po Lwowie podczas zamieci śnieżnej, na widok kawiarni, jednemu z birbantów — niewątpliwie autorowi tej humoreski — przychodzi na myśl Anhelli.

Ujrzał on gwiazdę szlanną, promienną,
I jak Anhelli
Pomknął za gwiazdą z twarzą swą senną...
. . . .

Ale autor wesołych Humoresek lwowskich, któremi sypał, jak z rękawa, miał duszę smutną, tak, iż śmiało mógł zastosować do siebie wiersz Słowackiego: „Chociaż mi serce pęka, śmiech mię zbiera.“ Choć właściwie działo się przeciwnie: bo wprawdzie na pozór, na pierwszy rzut oka, olśniewał swoim humorem, ale w głębi duszy walczył z rozpaczą i zwątpieniem, przed któremi szukał zapomnienia... w alkoholu. Jak dalece miał duszę smutną aż do śmierci, do tego przyznał się dopiero w swojej „noweli lwowskiej“ p. t. Roman Zero. Jest to historya rzeźbiarza, który kocha się nieszczęśliwie, rozpija się, wpada w delirium, aż wreszcie kończy samobójstwem. „Nowelę“ tę, a właściwie poemat, napisał Stebelski na wzór Beniowskiego oktawą, tak samo, jak Słowacki, przeplatając fabułę mnóstwem luźnych dygresyj, które wogóle nadają utworowi temu największą poetycką wartość, a między któremi nie brak i bardzo świetnych, najzupełniej wytrzymujących porównanie z fajerwerkowemi oktawami Beniowskiego.

Wystarcza przytoczyć kilka dla przykładu, a przy tej sposobności wydobyć je z zapomnienia:

Jak ptak bez gniazda wracam do ojczyzny,
A doświadczeniem wzbogacony twardem,
Witam cię, łanie zielony i żyzny,
I z czołem kornem, a tak niegdyś hardem,
Na wszystkich bitew obcych klnę się blizny:
Byłem Kiszotem, ale nie Bajardem,
Prawie lancknechtem, a nie muszkieterem,
I nie milionem, lecz zbłąkanem zerem!

. . . .

I jeszcze dotąd nie jest odkupiona
Ta romantyczna wina duszy lackiej!
Dwa typy rosną u ojczyzny łona:
Magnat Radziwiłł i liryk Słowacki!
Albo hulanka bezbrzeżna, szalona,
Albo nerwowy smutek desperacki:
Pełno fantazyi, szumu, czarnoksięstwa!
Mało rozumu, miłości i męstwa!

. . . .

A czyliż nie wiesz ty, rycerzu smutny,
Na co nam trzeba skarby nagromadzać?
Czyli nie czujesz, marnotrawco butny,
Że kiedy Polska będzie się odradzać,
To trzeba będzie zasik mieć stokrótny,
By znaki gwałtu zrywać i wysadzać
I dać majestat tej ojczyźnie nowy,
Ten, co tak długi przetrwał sen grobowy!

I czyli nie wiesz ty, szlachcicu karli,
Jaki jest Polski geniusz zachowawczy?
Jeśli ojcowie twoi, co umarli,
Deptali prawa zakon święty, zbawczy
I kazirodczo pasy z chłopa darli,
To ty wznieś teraz sztandar pojednawczy;
Pokochaj teraz dziecię ludu gołe,
Za winy ojców zbuduj chłopu szkołę!

. . . .

Nareszcie w znoju szedłem szukać znaków
Boskiej miłości w legendowym Rzymie:
Nie tej, co lubi „lot olbrzymich ptaków",
Ale co żyje w małych hołdów dymie.
Lecz mi rozkazał Bóg wielkich zodyaków
Nosić bez skargi pogardzone imię!
Ach, jestem rodem z dumnej tej mansardy,
Co zniesie wszystko, wszystko prócz pogardy!

. . . .

Nie, nie mam serca plwać i wieńce zdzierać
I głos mój w szyderstw grzmot się nie rozdzwoni!
Konając, jeszcze chciałbym perły zbierać
I pisać miłość na ludzkości skroni...
Ach, jak to słodko bez skargi umierać
I żegnać Boga w bolu bez ironii,
I w niemej śmierci własną gorycz zdławić,
Zalać się łzami i świat błogosławić!

VIII.

Ci, którzy znali Józefa Kościelskiego, pamiętają dobrze, iż celował w deklamowaniu poezyj Słowackiego, zwłaszcza Grobu Agamemnona, wyjątków z Beniowskiego, Pogrzebu kapitana M., Wschodu słońca nad Salaminą i Testamentu. Wiedzą też, jak namiętnym był czcicielem Juliusza (któremu w swym parku w Miłosławiu wzniósł piękny pomnik, uroczyście w r. 1899 odsłonięty), jak bezwzględnie występował przeciwko tym wszystkim, którzy, jego zdaniem, Słowackiego sądzili hyperkrytycznie.

Że ten kult Kościelskiego dla autora Anhellego nie był gołosłownym, na to dowodów dostarcza przedewszystkiem jego twórczość poetycka, w której bądź K. za Słowackiego kruszył kopię, bądź naśladował go na swój sposób.

Jaskrawym przykładem, do jakiego stopnia Kościelski przejmował się natchnieniami Juljusza, jest jego Testament rozbitka, aż do złudzenia oddający nastrój i ton Testamentu Słowackiego. Bo i forma i cała — jeśli się tak wyrazić wolno — melodya jest tu wyraźnem odbiciem Juljuszowego utworu. Pomimo różnicy w treści jest to — w niektórych strofach przynajmniej — omal iż nie parafraza tego pożegnania gasnącego przedwcześnie autora Króla Ducha z narodem. Tyle tylko, że wiersz Kościelskiego jest znacznie dłuższy. Oto niektóre z niego strofy:

Życie ziemskie nie przeszło mi, jako sen złoty,
Lecz zostawiło długi, płużny ślad po sobie;
Każdej w życiu radości i każdej tęsknoty[1]
Biorę pamięć ze sobą, by śnić o niej w grobie.

Jedyna to pamiątka, którą ztąd zabieram:
Tęskot sploty pomiędzy grobem a spowiciem;
Śród was żyłem, bolałem, i śród was umieram.[2]
Dzięki za życie! Wyście byli dla mnie życiem.

Wyście nie przewidzieli, pogodna żegluga
Że się burzą zakończy, i burzą tak ciemną,
Że mojej pracy tkanka tak będzie niedługa,
Że się tak nagle otchłań otworzy przedemną.

Tą „ciemną burzą“ była nieszczęśliwa miłość...

Wyście nie przewidzieli, radząc mi w przyjaźni,
Abym wybrał dwie gwiazdy na drogę przewodnie,
Że nie będą mi szczęścia połyskiem, lecz kaźni,
Że niemi nie szlak życia, lecz śmierci zapłodnię.

Stało się! Gwiazdy zbladły, zagnawszy w odmęty,
Które łódź mi skruszyły, jak drzewo bezczynne;
Lecz dlatego niech blask ich nie będzie przeklęty:
Żem im płocho zaufał, cóż są temu winne?[3]

---

[1]) Zachodzi tu jeszcze podobieństwo z pierwszą strofą W Szwajcaryi Słowackiego:

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Umieram z żalu, omdlewam z tęsknoty.

[2]) U Słowackiego:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami!

3) W tych dwóch strofach dźwięczy także echo wiersza Słowackiego do Marji Wodzińskiej p.t. Rozłączenie.

Ta zaś, która zimną obojętnością odpowiedziała na jego miłość, niech będzie błogosławioną! Bo przecież i ona nie jest temu winna, iż go nie mogła pokochać...

Niech jej mój duch nie dręczy majaczącym cieniem,
Niechaj wszędzie roztacza czar z pociechą społem:
Kiedy dla mnie jednego była potępieniem,
Niechaj dla reszty ludzi stanie się aniołem.

Niech swe kroki po ziemi śladem niebios znaczy,
W serca zwątpiałe wlewa otuchę tajemną,
A gdy choć jedną duszę odkupi rozpaczy,
Może jej Bóg daruje, co zrobiła ze mną.[1])

Ja odchodzę; lecz tego nie będę się wstydzić,
Że odchodząc miłuję, jak miłując żyłem;
Że nie zaznałem w życiu, co to nienawidzić,
I że mimo zawodów, do końca wierzyłem!

Dlatego po mnie tutaj, w pieśniaczej sukience,
Pozostanie myśl zdrowa i wieczyście żywa: [2])
Bo odchodzę, gdy w pracy zemdlały mi ręce,
Nie jak aktor ze sceny, lecz jak kmieć ze żniwa.

Gdy przed dwunastu laty ukazała się dwutomowa monografia o Słowackim jednego z naszych najznakomitszych krytyków literackich, monografia jednak, w której Słowacki, zwłaszcza w pierwszym tomie został odmalowany zbyt ciemnemi farbami, Kościelski, odnoszący się do Słowackiego z pietyzmem, ale bezkrytycznie, zawrzał gniewem i oburzeniem (zupełnie w danym wypadku nieusprawiedliwionem) i napisał wysoce krzywdzący dla autora pomienionej monografii Psalm sromu. Naturalnie, że jest to pamflet, a nawet paszkwil, ~~ale ma tę literacką zaletę~~, iż przedziwnie utrafia w sarkastyczny ton wiersza Słowackiego Do autora Trzech psalmów:

Podług ciebie, mój grabarzu,
Byłem pobielanym grobem,
Rozkochanym w swym mirażu,
Wciąż myślącym nad sposobem,

[1]) U Słowackiego W Szwajcaryi:
I mogła była co chce robić ze mną.

[2]) U Słowackiego w Testamencie:
Lecz pozostanie po mnie ta siła fatalna.

Jak ludowi oczy mydlić
Komedyancko, teatralnie,
By nakoniec tryumfalnie
Sławę u swych stóp usidlić.

Nie tak, nie tak, kościotrupie!
Bo mój duch, nie duch anemii,
To nie fanaberye głupie
Rabinatu Akademii,
Nie włażenie na koturny
Ze zwinnością akrobatów,
Nie grzebanie starej urny
Za szczątkami antenatów.
Nie tak, nie tak trupów sługo,
Bo czyn ludu nie paszkwile,
Nie lamenty na mogiłe,
Co ma, podług was, spać długo.

. . . .

Bo mój duch jest duchem ludu,
Jego snów ostatni wyraz.

. . . .

Bo mój duch to jest wcielenie
Sił, zarazem sił narzędzie,
I najwyższe objawienie,
Czem był naród, i czem będzie.

. . . .

Kto na ojca wzniesie rękę,
Ten przeklęty, więc się bój:
Bo mój duch, to ojciec twój,
Przez mą moc i przez mą mękę.
Jam jest waszych myśli władcą,
A ty jesteś świętokradcą!
Więc się bój! mój duch nie raczy
Grozić tobie, boby zmalał,
Lecz ci naród nie przebaczy,
Żeś świętości mu pokalał.
On jest gotów wołać: biada!
Choć pacierze poczniesz szeptać,
I na ciebie, jak na gada,
Iść, i dalej pójść i zdeptać!

Cóż tak bardzo cię przelękło,
Że przy wspólnym naszym grobie
Tych maluczkich grono klękło,
Co przysięgać zwykli tobie?
Może strachem pierś ci skrzepła,
Że w zapadłej gdzieś chałupie
Zatlał promyk mego ciepła?
A tyś zląkł się, kościotrupie!

. . . .

We łzach wychudłe ręce podnosimy do Ciebie
    Duchu, mnóż nasze błędy,
Niechaj na wskróś porytej grzechami naszej glebie
    Wyrasta oset wszędy;
Niechaj się na niej piętrzą zawody, bóle, straty,
    Na krzyżu przybij ręce,
Tylko nam nie bierz, Duchu, naszej śnieżystej szaty,
    Niepokalanej w męce!

Błagamy Cię w pokorze, niech zginą nasze czyny,
    Duchu, chłostaj nas dalej,
Niech się pokórczą w bólu nasze córy i syny,
    Niechaj się stos nasz pali.
Niech cała ludzkość będzie na krzywdy nasze głucha
    I niech wróg nas bezcześci,
Tylko nas zbaw, o Duchu, od proroków bez ducha,
    I od ludzi bez cześci!

W takim hymnie ludu stój,
Bo pieśń taka pójdzie górą
Nad krakowskich dusz naturą
Panująca, boży strój,
Taką pieśnią zmywaj plamy
I dąż, nad przesądów ramy,
Nad potwarzy wieniec z cierni,
Coraz wyżej w majestacie,
Coraz silniej, moi wierni,
Moją pieśnią stalcie męstwo,
Aż z mym duchem się spotkacie,
A spotkania plac — zwycięstwo!

FERDYNAND HOESICK.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

do str 60

Że była chwila, w której Kasprowicz pozostawał pod bardzo silnym wpływem Słowackiego, a zwłaszcza Beniowskiego, dowodzi między innemi także jego Amor vincens, który nawet nosi motto z Anhellego: „i pomogła mu młoda niewiasta, Ellenai." Poemat ten, początkowo drukowany w krakowskim „Świecie" Sarneckiego w r. 1892, a pisany swobodną oktawą, wyraźnie wzorowaną na Beniowskim, choć nie wspiera się na podłożu filozoficznem, obfituje w mnóstwo oktaw, które doskonale mogłyby figurować w powieściowym utworze Juljusza, tak wpadają w jego ton i manierę.

Wystarczy przytoczyć ich kilka dla przykładu:

Dano mu było przez łaskawe bogi
Zdolność, nad wszystkie porywające skarby,
Że mógł żywota nagie, ostre głogi
Przemieniać w róże Poezji i farby.
Ukrywać cudnemi pył ten, co się nogi
Naszej uczepia; umiał układać w karby
Kunsztownych zwrotek, pełnych zawiłej treści,
Nadmiar szarpiącej mu duszę boleści.

– – – – – – – – – –

Bo ciało jest na to, by umarło; to prosta
Rzecz to i zgoła dociekań nie warta,
Jakiekolwiek ludzie, gdy ich życie chłosta
Dziś, zamiast lekko puścić je do czarta,
Jakiekolwiek Manfred, Faust, Juan, Akosta,
I najzwyklejszy śmiertelnik (uparta
Taka w nas dusza) dziwnym chce sposobem
Mieć z życia rozkosz, co nie trąci grobem.

– – – – – – – – – –

Czasami maskę przybiera Bajazza
Śmieje się, ciało w dziwne tańca skręty,
Jakgdyby żadna nie dotknęła zaraza
Duszy mu biednej, jakby bój w nim wszystek
Oddał zwycięstwo w ręce Oromaza,

Symbolem świata, tak jakby go w pięści
Kastratów podłe łaskotało plemię,
Wśród lepkich nerwów, i w rozkosznym Haremie.

Lecz przyjaciele oko mieli baczne
Pozór spostrzegli w tem, co on podawał
Za prawdę prostą; widzieli opaczne
Linje, przy których prostości obstawał,
I na gorączkę wesołości znaczne,
Rzekli: to wielki post, a nie Karnawał,
A jeśli gody, to [illegible] gody
Co ma Kalwarię za kryniczne wody.

I nad tym bytem, co się w walce łamie,
Jako łza z liści odarta łodyga,
Pod biczem wiatru, nad bytem, co znamię
Widocznych cierpień na swych barkach dźwiga,
A każdym ruchem, każdym czynem kłamie,
Zdjęta litością wiernych druhów liga
Z słów mu życzliwych taką radę splecie:
„Niech się zakocha! Zbawienie w kobiecie!”

– – – – – – – – – –

Jakto? nad wszystko, co duch czysty spłodził
I co się stało dziejem niezmiernym,
Hasłem pokoleń, które szatan wodził
Po ciemnych jarach, a które na świecie
Pragnął wyjść przestwór, gdzie się duch narodził,
Gdzie nagość ... w całej pełni ...,
Ma-ż być ... symbol słabości,
Kobieta, wytwór Adamowej kości?!

Ona, co z raju wygnała człowieka,
Pierworodnego grzechu praprzyczyna,
To martwe morze, przed którem ucieka
Ptak, by nie przyszła nań śmierci godzina,
Ona, gdy dusza w rozpacz się obleka
Gdy ją do ziemi bez litości zgina

Ten zła i dobra straszny przejściach,
Może jej zgotować raj i rozpaczach?!

Grzechem jej miłości i zgubą i spodleniem
Ludzkiej natury, powiązaniem skrzydeł,
Gdy chcą nas wznieść ponad ziemskim cieniem,
Klatką i kojcem, okiem mocnych sideł,
Które zastawia Belzebub, ze drżeniem
Patrzący na to, jeżeli z wydzideł
Piekła duch ludzki wydostać się pragnie,
By nie utonąć w beznadziejnem bagnie...

Świat się, lecz rada przyjaźni żywiołu
Rozpętanego tajną mista siłę...
Jak ołów, co pośród jeziornego dołu
Niezłomny widzi dla siebie mogiłę,
Wielka się rozpacz, aby z nim pospołu
Zginąć, tak on też od bólu opite
Serce w miłościach z ziemskim topił śmiechem,
Które Rozpaczą były, albo Grzechem...

A oto naraz: wyrywa się psałterz!
Wszystkie muzyczne dające instrumenta,
Harfę i cymbał! niechaj w nie uderzy
Miryjam boska, tryumfem przejęta,
Gdy wróg pognębion u jej stopy leży!
Niech i ust Dawida pieśni porywa święta!
Bo oto naraz, o przedziwne dziwy!
Ożył na nowo ten, co był nieżywy...

— — — — — — — —

Szedł z apostoła bożego pokorą
Lecz i z odwagą pańskiego wysłańca,
Żadnej nie ustrzegłszy przeciwieństw zaporą,
Jak Dant, w sam środek piekielnego tańca.

Niech krzepi ciało, uzmacniai duszę chorą, [duszę chorą]
Rozpraszai zmroki blaskami kaganica,
Szedł pośród ciemi ludów, wrogów zgraj, [zgrai]
A z nim szła zawsze wierna Ellenai. [Ellenai]

Tak! Ellenai!... Argument rozumu
Żaden nie starczy, ~~[illegible]~~ by przyczynę zbadać,
Dlaczego człowiek, który pośród tłumu [pośród]
Stworzeń królewskiem śmiele berłem władał,
Niczem własnym jest od tego tłumu
Wiatru, co powiał, Bóg wie skąd, że lada-ć [Bóg wie skąd] [lada-ć]
Pyłek na drodze, lotny i bez treści, [lotny]
Cały los jego w swojem łonie mieści.

Na śmierć był skazan... Szafot już gotowy
Piął się ku ~~[illegible]~~ wiedny, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ze skazańca szumem,
Kroczył ku niemu, nie podnosząc głowy,
Ubrany stał w apatyi marmurem... [apatyi]
A oto jemu, co rzucał wyzwy
Jad na kobiecą w [illegible] [illegible],
Szaman-przypadek w ostatniej godzinie [Szaman-przypadek]
Święty w kobiecie przywiódł wybawczynię.

— — — — — —

O Ellenai! uczuł on, że w wielkiej [uczuł on]
Duchów wędrówce, ongi, przed wiekami [Duchów] [ongi]
Nim był w masie ziemią, a kropelki [ziemią]
Wielkie morskiemi stały się falami,
Duch dobra, Jam un z woli Rodzicielki,
Z rąk Praharmonii władnącej bytami, [Praharmonji] [bytami]
Los jego raz zgubił, aby iść, jak w grobie,
Dokąd jeszcze nie odnalazł w Tobie!...

dalej z Melan str 60

„Siła fatalna" poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Chrześniak i wychowaniec Kościelskiego, Jan Kasprowicz, choć stosunkowo najmniej uległ „sile fatalnej" autora Balladyny, mimo to nie zdołał być zupełnym wyjątkiem w tej zadziwiającej regule. Przedewszystkiem pociągała go w Słowackim jego demokratyczność, jego kult dla „ducha wiecznego rewolucyonisty"; a zresztą, jak tu nie uwielbiać poety, który

Przekleństwem żegnał grób Agamemnona
I zasłuchany w ostry brzęk łańcuchów,
Szedł w odblask zorzy, co, jak krew czerwona
Wciąż się zapala z ogni wielkich duchów,
A gaśnie tylko dla zjadaczy chleba,
Którym promienia bożego nie trzeba.

Przejęty uwielbieniem dla Słowackiego, jako poety-Tytana, jako twórcy Króla Ducha, Kasprowicz ma specyalny sentyment dla niego, jako smutnego, osamotnionego wygnańca, który

czasem, idąc po tym wielkim torze
W dal, w którą rzucał posiewy wyzwoleń,
Od łez serdecznych wstrzymać się nie może
Nad pokosami zwalonych pokoleń;
Zasłania oczy, cierpieniami blady
I z strun płaczące dobywa kaskady.

A czasem, płynąc — rozbitek tułaczy —
Po własnych losów wzdętym oceanie,
Jak człek najlichszy, zajęknie z rozpaczy,
Że jego kościom ojczyzny nie stanie,
Że duch, ten Śwityn walk i mąk i znoju
Na obcej ziemi nie znajdzie spokoju.

Ostatnia strofa jest aluzyą do: Smutno mi, Boże! a że ten najrzewniejszy wiersz Słowackiego nie pozostał bez wpływu na natchnienie Kasprowicza, za tem dobitnie przemawia jego liryczny fragment p. t. Nie żałuję, najwyraźniej wzorowany na piątej strofie Juljuszowego Hymnu: „Żem często dumał nad mogiłą ludzi, Żem prawie nie znał rodzinnego domu“ i t. d., i t. d.

Spac

Żem młodo rzucił próg rodzinnej chaty
I biegł za słońcem, które złudne snuje
Pasma za sobą; żem darmo zapłaty
Szukał za trudy tam, gdzie zblakłe kwiaty,
Nie żałuję.

Spac

Żem między ludzi poszedł, tam, gdzie dźwięki
Młodzieńczej pieśni dzika rozpacz psuje;
Żem ścisk zobaczył wychudzonej ręki
I łzy w źrenicach, żem usłyszał jęki,
Nie żałuję.

Że mi podano gorycz do wypicia,
Co jadem swoim zdrój miłości truje,
Żem śród czarnego nie znalazł pokrycia
Złocistych cacek i jasnych farb życia,
Nie żałuję.
— — — — — — — — — —
Żem, jak mogilny krzyż, co skier nie ciska,
Choć go przechodzień gorąco całuje,
Że, kiedy stoję u nieszczęść urwiska,
Żadna boleści łza z ócz mi nie tryska,
Nie żałuję.

Jak Słowacki, tak i Kasprowicz jest namiętnym demokratą, a jako taki, gdy pisał swoje pogardliwe Więc cóż? zwrócone do

naszej arystokracyi, uderzył w te same struny, w które w zakończeniu piątej pieśni Beniowskiego uderzył pokrzywdzony Słowacki, gdy pytał swych antagonistów: „Gdzież to wy idziecie? Jaka wam świeci, gdzie? portowa wieża?... Znam wasze porty i wybrzeża!“ i t. d.

Więc cóż? milczycie? Znam wasze milczenie!
Potajemnymi nas szepty przeklniecie:
Dziś zachodzące waszych słońc promienie,
Co niegdyś krwawo błyskały po świecie,
Rozgłośnej pieśni ze statuy Memnona
Już nie wywabią. Zamarło wam tchnienie,
Zamarło życie śród zwiędłego łona
I wasza lutnia kona... kona... kona...

A jak Słowacki, atakując emigracyjnych Litwinów, godził przedewszystkiem w najpotężniejszego z nich, Mickiewicza, tak Kasprowicz, złorzecząc dzisiejszej arystokracyi, odmawia jej nawet prawa do powoływania się na autorytet Krasińskiego, choć go ona uważa za swego, za swoją chlubę!

Dawniej, tak! dawniej, ten wasz wieszcz zbolały,
Owiany czasów minionych pomrokiem,
Patrząc, jak łamią waszych gór się skały
Od błyskawicznych piorunów, potokiem
Łez z swego serca zalewał pożary,
I płakał, płakał, tonął we łzach cały
Nad grobowiskiem tej sławy prastarej,
Która dziś poszła między sny i mary...

Cokolwiek da się powiedzieć o tym wierszu, jedno w nim pozostanie charakterystycznem, że poeta, kreśląc obraz, apoteozujący Krasińskiego, opisuje go w sposób, zapożyczony od Słowackiego. Jeszcze jeden efektowny przykład „siły fatalnej“ poezyi Juliusza!

X.

A zupełnie to samo przydarzyło się i Kazimierzowi Tetmajerowi, który swój słynny wiersz na uczczenie Mickiewicza, jako wieszcza narodowego, napisał w formie, naśladującej wiersz Słowackiego Do autora Trzech psalmów.

Że Tetmajer ze wszystkich poetów polskich najbardziej umiłował Słowackiego, tego dowiódł zaraz swem pierwszem młodocianem wystąpieniem na niwie poezyi, mianowicie poematem p. t. Illa, napisanym poetyczną prozą Anhellego, a tak do złudzenia naśladującym styl i ton tego utworu, że ma się wrażenie, jakby to były jakieś nieznane rozdziały Anhellego.

Oto n. p. Rozdział II. tego poematu tem bardziej zasługujący na zacytowanie, iż Illa, wydrukowana w akademickiem Ziarnie w roku 1886, a następnie wydana „nakładem autora“ w bardzo niewielkiej liczbie egzemplarzy, dzisiaj należy już do rzadkości bibliograficznych.

Życie płynęło Gryfowi na wyspie cicho i w pracy. Wraz z niewolnikami króla uprawiał mu pole i znosił ryby i owoce.

Z początku patrzyli na niego wyspiarze nieufnie, ale potem, widząc, że spokojny jest i w pracy gorliwy, a do pomocy drugim skory, poczęli zbliżać się ku niemu i sam król wyszczególniał go nad innych niewolników.

Często chodził Gryf na polowanie z synem królewskim, a gdy raz ocalił go od kłów ranionej pantery, wyniósł go za to król do wolnych, t. j. tych, którzy mieli grunt własny.

Pole jego rozciągało się nad morzem, grającem w słońcu barwami szmaragdów i szafirów; nieraz wieczorem po skończonej robocie siadał Gryf na brzegu i patrząc na morskie fale szumiące, zamyślał się o Ojczyźnie, która była daleko.

Tamtędy wracała zawsze o zachodzie słonecznym Illa z nadbrzeżnych łąk, gdzie pasła trzody królewskie. Dotąd nie mówili nigdy ze sobą, choć młody Polak długo patrzał za dziewicą, gdy odchodziła smukła, jak palma zielona.

Raz jednak Illa, widząc go smutnie zamyślonego na brzegu morskim, przystąpiła ku niemu i lekko trącając w ramię, zapytała, o czem myśli? Wtedy Gryf odrzekł jej, że o Ojczyźnie.

Usiadła więc przy nim, odesławszy trzody ze służebnemi pachołkami, i prosiła, aby jej opowiadał o swojej ziemi rodzinnej, której ona nie miała.

Więc Gryf opowiadał jej o bojach, poświęceniach, mękach swych braci i o upadku; a oczy Illi zaperliły się łzami współczucia i rzekła: „Żal mi braci twych, bo byli mężni i nieszczęśliwi, ale czemuście upadli?“

Smutno wtenczas zrobiło się Polakowi, że musi opowiadać czystej dziewicy o pysze, chciwości, samolubstwie, nieufności wzajemnej i zdradach swych rodaków. A Illa, słuchając, pochyliła złotą głowę na łono i rzekła: „Samiście winni upadkowi waszemu“.

Wtedy ozwał się Gryf: „Czyż godzi się potępiać cały naród, dlatego, że część jego była zła? Ci, co walczyli z wiarą w zwycięstwo, wznieśli się wyżej, niż nizko zdołali upaść ci, co zwątpili“.

Zamyśliła się dziewica i rzekła cicho: „Gdybym takiego spotkała, pokochałabym go, bo nieszczęśliwy i szlachetny. Czy wasi dobrzy wszyscy śpią na orężu w mogiłach“.

Gryf odrzekł: „Nie. Część tych, co walczyli, opuściła Ojczyznę i powędrowała w świat, aby nie popaść w niewolę: a nie zabijali się w rozpaczy, albowiem ufają, że wrócą i wzniosą sztandar swobody. Część przykutą została do taczek sybirskich, a inni wreszcie zostali wygnani na zawsze; a jam jest jeden z tych“.

Naówczas Illa pochyliła się ku niemu, pocałowała go w czoło smutne i tęskne i rzekła: „Kocham cię, boś nieszczęśliwy. W przyszłość patrzeć nie mogę, ale mi jakieś duchy szepcą, że miłością bratnią i wiarą w siebie powstaniecie. Więc kochaj i wierz“.

Zadumał się smutnie Gryf, albowiem w jego Ojczyźnie tych haseł nie znano.

Wtedy dziewica, chcąc spędzić chmurę smutku z czoła Polaka, spytała: „Powiedz mi, czy twoja Ojczyzna zawsze nieszczęśliwą była?“

Natenczas Gryf opowiedział jej o sławie i czynach Chrobrego, Batorego i Sobieskiego; Illa słuchała zapatrzona na morza sine zwierciadło i rzekła, że wielkimi byli ojce Gryfa.

A gdy opowiedział jej o Kościuszce, zapłakała łzami, tak, jak płaczą lilie w rankach majowych uperlone rosą, nad losem jego; a gdy opowiedział jej o Pułaskim Kazimierzu, zabiło jej serce do jasnego rycerza.

On zaś zwiesił głowę na piersi i rzekł: „To byli jedni z ostatnich“.

I płakała nad tułaczami z pod chorągwi Napoleona, co ginęli gdzieś w piaskach Egiptu i w stepach moskiewskich,

i w wąwozach Hiszpanii; i nad tymi, co ponosili męki w kopalniach Sybiru.

A Gryfowi opowiadającemu robiło się coraz smutniej w sercu; kiedy spojrzał na łany pszeniczne, przypomniały mu się pola złote od kłosów jego rodzinnej wioski, jej bory ciemne i łąki zielone, i góry sine w chmurach usrebrzone śniegiem.

Przypomniały mu się słońca polskiego zachody, w których się granitowe Tatry czerwieniły, i dźwięk dzwonu, co w jego wiosce ludzi na Anioł Pański zwoływał, i tęskno mu było do Ojczyzny. Daleko była jego ziemia rodzinna, jego dworek z modrzewia, w którym go matka i ojciec na krwawy bój wysyłając błogosławili, i było mu tęskno do nich.

A była to właśnie pora, kiedy się w Polsce poczyna ziemia wiosną zielenić i majowe deszcze perły na różach i liliach wieszają; mnóstwo więc jaskółek leciało z południa ku północy.

Gryf wskazawszy je Illi, jak leciały ponad szybą morza szmaragdową gromadami, rzekł: „Patrz, one lecą do mej Ojczyzny. Wrócą do swych gniazd pod strzechami słomianemi i pod dachami dworów i kościołów; a ja czy ujrzę kiedy lipy, co dwór mój ocieniały?

Nacóżem walczył i cierpiał, na cóż opuściłem Ojczyznę? Nie zwyciężyłem wrogów, a umrę daleko od Polski, między obcymi! Zaprawdę lepiej mi było zginąć na polu walki, albo w odmętach morskich!“

Nic smętniejszego zaś, jak zakończenie Illi, w której reminiscencye z Anhellego występują jeszcze wyraźniej. Co pewne jednak, to, że ta bohaterska śmierć Gryfa niczem nie ustępuje śmierci Anhellego, a roli, jaką przytem gra Illa, mająca w sobie wiele z Ellenai, — może jej sama Eloe pozazdrościć.

Gdy widzenie zniknęło, ocknął się Gryf: lud miotał na niego przekleństwa i groził mu śmiercią, więc wygnaniec wyrwał najbliższemu wojownikowi oszczep z ręki i w samego siebie w piersi pchnął z rozpaczy. Już nie miał gdzie żyć i po co.

Wtedy Illa rzekła: „Ustąpcie i uszanujcie powagę śmierci“. Więc lud cofnął się i opuścił miejsce, na którem leżał umierający.

Klęknęła naówczas dziewica nad Gryfem, a z za szaty jej wysuwał się srebrny medalion, około którego był napis polski; ranny przycisnął go do ust i rzekł cicho: „Umieram daleko od mojej ziemi, lecz córka jej jest przy mnie. Przebacz mi za braci moich; upadłem, alem kochał Polskę“.

Skonał. Illa złożyła dłonie i modlić się poczęła: „Boże, przebacz mu, bo wiele kochał i cierpiał. Przebacz mu, przez krew bohaterów, co zlewała pola jego Ojczyzny i przez katusze męczenników jego narodu. A jeśli ciało jego nie spocznie w trumnie z polskiego drzewa, pozwól, aby dusza jego ujrzała łany i góry rodzinne, których ja, Polka, nigdy nie ujrzę“.

W tej chwili ukazał się modlącej się dziewicy anioł życia, promienny, w blasku jaśniejszym, niż słońca purpura, i rzekł: „Modlitwa twoja go zbawiła“.

I wywołał duszę z ciała Gryfa, białą i czystą. A właśnie podówczas odlatywały już na północ jaskółki; więc przyłączyła się do nich i z wieńcem ptaków poleciała ujrzeć raz jeszcze Ojczyznę.

Anioł przemówił wtedy do Illi: „Żeś kochała i wierzyła, nie umrzesz, ale zaświecisz na niebie gwiazdą na dzień Polski.“

I uczuła dziewica woń róż i lilij, i ciało jej rozwiało się w mgle, a duch jej zajaśniał nad szafirowem sklepieniem gwiazdą różaną i złotą nadziei.

Zwłoki Gryfa pochowali wyspiarze w grobie, wykopanym pod palmy cieniem; a niedługo przyniósł wiatr z północy nasienie dębu polskiego i posiał go nad grobowcem przy palmie.

I rosły te dwa drzewa przy sobie, jakoby wspomnienia Gryfa i Illi.

Poemat zaś, jaki o nich napisał Tetmajer, choć go autor nie wcielił do zbiorowego wydania swych poezyj (a znalazłoby się dlań jeszcze miejsce w Melancholii), pozostanie w literaturze, jako najpiękniejszy okaz wpływu Anhellego na przyszłego autora Qui amant.

Już to wogóle, jeżeli chodzi o umiejętność pisania stylem Anhellego, Tetmajer celuje pod tym względem. Najpiękniejsze i najrzewniejsze „poezye prozą“, składające się na cykl p. t. Melancholija, pisane są tą anhelliczną manierą. Dość wymienić Wspomnienie, Sąd, Miłość, Szczęście, Żórawie.

Wobec tego przejęcia się stylem Słowackiego, nie dziw, iż i jego Smutno mi, Boże! nie mogło nie pobudzić Tetmajera (jak tylu innych poetów przed nim i po nim) do naśladowania. Jakoż w drugiej seryi jego poezyj jest między preludyami jedno, które z Hymnem Juliusza — a także i z Trenami Kochanowskiego — w niewątpliwym pozostaje związku.

Smutno mi, Boże! Ty, co tam w błękitach,
Jeśliś jest, jesteś... Smutno mi bezdennie.
Dusza ma, zda się, w grobowcowych płytach
Śni sen straszliwy o życia Gehennie,
I w jakąś martwą omdlałość wtrącona,
Zamiera zwolna ciągle, choć nie kona.

Smutno mi, Boże! Oto już nic zgoła
Nie może we mnie obudzić wesela;
Coraz mi zimniej krew płynie do czoła,
Serce się we mnie zwęgla i spopiela;
Zamierającej duszy nic nie nęci,
Oprócz spocznienia, oprócz niepamięci.

W tejże drugiej seryi poezyj Tetmajera znajduje się prześliczny List Hanusi, pisany oktawą, w narzeczu góralskiem, wzorowany na słynnym liście panny Anieli z Beniowskiego, co również trzeba powiedzieć i o dwóch następnych listach tejże Hanusi, które, choć pod względem rzewności i uczucia nic a nic nie ustępują pierwszemu, to przecież mimo to nie przestają być naśladownictwem pierwowzoru z Beniowskiego.

Nieco odmiennie przedstawia się sprawa wiersza Tetmajera o Beatrix Cenci. Jest to rzewny monolog pięknej Rzymianki w więzieniu, jakby pożegnanie z życiem, z którem jej rozstać się nie przychodzi łatwo. Jakkolwiek na tym wierszu odbił się niewątpliwie wpływ La jeune captive Cheniera, to z drugiej strony można być pewnym, iż jest to dośpiewanie motywu z tragedyi Słowackiego o Beatrix Cenci, bez której możeby Tetmajerowi nie przyszedł pomysł do tego utworu. Rzewność, cechująca ten monolog uwięzionej i czekającej na stracenie Beatrix, bardzo

iest pokrewną „ostatniej obronie Rzymianki" w scenie sądu z tragedyi Juliusza.

Jeśli o rzewność chodzi, którą tak jest przesiąknięty w pierwszym rzędzie poemat W Szwajcaryi, to i Tetmajer nie potrafił się oprzeć jej urokowi. Dowodem jego wspaniały erotyk Qui amant, któremu za tło, obok Tatr, również służy jezioro genewskie, a który napisany takim samym jedenastozgłoskowym wierszem, jak W Szwajcaryi, nietylko jako całość, jest w tym samym rodzaju, ale nawet posiada cały szereg strof i obrazów, uderzająco przypominających poemat Słowackiego.

Oto n. p. początek rozdziału, wyraźnie wzorowany na scenie przed kaplicą Tella: „pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów, stoi cichości pełna i kolorów Tella Kaplica..."

Wśród ciemnych borów jest kapliczka z drewna,
Mała kapliczka w podgórskiej ustroni.
Tam, jak cudowna z legendy królewna,
Przyszła, uklękła i śliczną twarz w dłoni
Ukryła, klęcząc. Było rano. Świeże
Srebrzyły rosy gałęzie i trawę;
Daleko góry błyszczały, jak wieże,
W szafirze nieba ciemne i złotawe.
— — — — — — — — — — —
Ona, ze skronią na dłoniach klęcząca,
Duszą wzniesiona w niezmierne niebiosy,
Wydała mi się snem, widzeniem, zjawą.
I nigdy tego rana nie zapomnę,
Tych gór w przestworzu świecących złotawo,
Jak piramidy i gmachy ogromne,
I jej klęczącej, i tej świeżej rosy.

Ostatnie zdanie dziwnie przypomina następujący dwuwiersz u Słowackiego:

I tak mię budzą, zalanego łzami,
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.

Inny rozdział w Qui amant zaczyna się tak:

Byliśmy razem w kamiennej dolinie,
Gdzie się piętrami ścieżka w górę winie,
Wbiegając wężem na ścięte urwisko,
. . . .
Na urwiska brzegu...
. . . .

Patrząc jej w oczy, przewiodłem Ją, w ręku
Czując Ją całą, pełną zaufania,
A razem pełną niewieściego lęku,
Tam czułem serce Jej przy sobie blisko,
Serce przy sercu...

Czytając ten opis, trudno nie pomyśleć o scenie W Szwajcaryi, gdzie poetę

raz ów anioł uprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty;

a jednocześnie przypomina się scena pod kaskadą, gdzie bohater poematu ośmielił się pocałować ukochaną

I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.

Wogóle dałoby się wymienić cały szereg erotyków Tetmajera, przy których czytaniu chcąc nie chcąc myśli się o różnych ustępach z szwajcarskich trenów Słowackiego. Oto n. p. Sonet, niewątpliwie osnuty na motywie: „pójdziemy razem na śniegu korony...“

Pójdziemy razem na gięte przełęcze
Obłękitnionych gór nad morską tonią;
Pójdziemy słuchać, jak w oddali dzwonią
Fale, od skał się rozbryzgując w tęcze.

Pójdziemy patrzeć, jak się na pajęcze,
Lotne mgieł łodzie blaski słońca kłonią
I za okrętów białym żaglem gonią
Za ciemne morskich rubieży obręcze.

Pójdziemy patrzeć, kędy śród lazuru
Marzącej wody Capri się promieni
Błyszczącą ścianą skalistego muru...

Serca nam usną, a dusze zatoną
W jakiejś niezmiernej, świetlanej przestrzeni,
W słonecznych omdleń ciszę nieskończoną. [1])

---

[1]) Dałoby się napisać całe studyum o wpływie tej cudownej strofy z poematu Słowackiego na młode pokolenie poetów w Polsce. Prawie niema tomu poezyj, gdzie to „pójdziemy razem“ nie obiło się mniej lub więcej wyraźnem echem.

Istnieje piękny wiersz Tetmajera Na cześć Adama Asnyka, napisany na jubileusz El...y'ego w r. 1896, a w wierszu tym, sławiącym zasługi autora Pygmaliona, może najwymowniejsze strofy zawierają wyrażenia — nawet w cudzysłów ujęte — z poezyj Słowackiego.

Więc „niechaj żywi nie tracą nadziei“,
Wołasz, i trwogi precz odpędzą chłód!
Niech w epok zmiennie wieczyście kolei,
Jaki czas niesie, podejmują trud!
I naprzód idziesz, syn i spadkobierca
Ogromnej duszy i wielkiego serca.

Taki n. p. jest wiersz Józefa Jedlicza, którego początek brzmi, jak następuje:

Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne;
Pójdę pod białe, słońcem roześmiane chaty,
Gdzie śnią urokiem ziela wybujałe grzędy,
Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy
Mąci szałem radości ptactwa huf skrzydlaty,
Tam w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony...
i t. d., i t. d.

Albo następujący erotyk Zygmunta Różyckiego, czyż to nie waryacye na temat z tejże samej strofy Słowackiego, z tą różnicą jedynie, iż tu zamiast: „pójdziemy razem“ jest: „powiodę Ciebie“.

Kędy opary nad łąkami wstaną
I gdy miesięczne blaski się rozzłocą,
Powiodę Ciebie nad toń zwierciadlaną...
. . . .
Gdzieś nad wikliny senne i nad łozy
Powiodę Ciebie smutną, taką bladą;
Pacierz nam szeptać będą ciche brzozy,
Sypiąc swych liści srebrzystą kaskadą.

Pójdziemy wielką otuleni ciszą,
Wsłuchani w rzewne północne peany,
Tam, gdzie półsenne złote gwiazdy wiszą.
. . . .
Księżyc przed nami srebrną drogę rzuci,
Będą nas żegnać pieśnią wonne kwiaty,
A my przejrzystą, lekką mgłą osnuci
Będziemy płynąć w czarowne zaświaty.

Temu tłumowi, tym „zjadaczom chleba“,
Ty, kołysany przez piór orlich szum,
Gdzieś, z pod słońcami huczącego nieba,
Nigdyś nie krzyknął pogardliwie: tłum!
Aniś się z gniewem odwrócił od cieśni
Dusz i serc tłumu, „królewski syn pieśni“.

Gorący wielbiciel Słowackiego, nie mógł Tetmajer pozostać w tyle, gdy w roku 1899 wypadła 50-ta rocznica śmierci Juliusza, a że czasy to były smutne, czasy „bezdennej ciemni, goryczy serc i złamania dusz“, więc i pean Tetmajera, podniośle nastrojony, wypadł bardzo beznadziejnie.

Najpiękniej wypadła strofa, naśladująca modlitwę z wiersza Do Autora Trzech psalmów, a nawet i pod względem formy bardzo zbliżona do niej:

W goryczy naszych serc, w goryczy naszych dusz
Ta się modlitwa poczyna:
Poeto! ręce twe na nasze głowy włóż
W Imię Bożego Syna.
Na Chrystusową twarz źrenice nasze zwróć,
Na Jego cichą twarz...

Poczem następowała krótka zwrotka, która, o ile to dotycze naszych poetów, równa się prośbie wysłuchanej.

Poeto męztwa i dumnej godności,
Poeto Wyżyn ducha i Piękności:
Z purpurowego płaszcza Twojej chwały
Daj nam strzęp jeden, jeden strzępek mały:
Każdy pierś swoją w tę legię ubierze
I będziem Twego legionu rycerze...

Pragnieniu temu stało się zadość (co właśnie jest przedmiotem niniejszej rozprawy): albowiem prawie wszyscy poeci polscy w mniejszym lub większym stopniu korzystali „z purpurowego płaszcza“ Słowackiego chwały, a obdarowani przezeń różnymi z płaszcza tego strzępkami, chętnie piersi swe tą „legią honorową“ przystroili, tak, iż wszyscy prawie bez wyjątku legionu jego rycerzami mogą się nazwać. W każdym razie Tetmajerowi dostał się wielki krzyż komandorski tej legii.

Że autor cudnego Listu Hanusi przejęty jest Beniowskim, o tem świadczy przedewszystkiem jego świetny poemacik oktawą pour passer le temps, którego oktawy pod żadnym względem nie są gorsze, ani mniej błyskotliwe, od swych poprzedniczek w fajerwerkowym poemacie Słowackiego. List zaś, jaki tam pisze poeta Henryk do pani Ireny Kufke, swej dawnej ukochanej, nietylko nie jest mniej rzewnym od listu panny Anieli do Beniowskiego, ale go nawet przewyższa swym bezbrzeżnym smutkiem. Nadto są w tej wierszowanej nowelli, pisanej krwią i łzami, takie oktawy, które nawet miękkiemi wyrażeniami przypominają niektóre ustępy w Beniowskim. Tak n. p. w jednej oktawie pieśni II., po słynnem tfu! na wiadomość o zamążpójściu swej lubej, powiada Słowacki:

To mię cokolwiek zmięszało, nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem...

Właśnie taki sam smutny wypadek zdarzył się bohaterowi poemaciku Tetmajera, bo i on, choć śmiertelnie zakochany w pięknej Irenie, dowiedział się któregoś dnia, nie na piramidzie wprawdzie, ale w Warszawie, że jego ukochana tfu! za mąż idzie! A gdy wreszcie została żoną bogatego piwowara,

Po tym wypadku on zerwał ze światem
I cały chłopom oddał się u siebie..

. . . .

To go zmięszało tak, że horoskopów
Już nie pytając żadnych, co mu radzą:
Wyrzekł się swojskich panien, sztuk i chłopów,
Okno idei zasmarował sadzą,
Jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
Jeszcze raz spojrzał, jak kartofle sadzą,
I z swem ojczystem rozstawszy się polem,
Zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Jest w Beniowskim słynna oktawa o krytyce, igrająca różnymi inicyałami krytyków emigracyjnych:

Imię krytyki? nie, krytyków! A! tak!
Któż z nich ma imię? Z., K. S., K. E., K....
Mówią, iż Młodą Polskę pisze baba,
Ale ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że Jezuita...

W podobny sposób rozprawił się raz w specyalnym wierszu Tetmajer, gdy nie wszyscy krytycy należycie ocenili „drugą seryę“ jego poezyj.

Ta książka krwią pisana jest,
Krwią, co się burzy władzy boskiej,
Tragiczny nad nią zrobił gest
W Przeglądzie Polskim pan Tarnowski.
. . . .
Pan K. R. Z., gdy w Prawdzie raz
Do Ady Negri się zabiera,
Przy tej okazyi zbeształ was:
Liryków w guście Tetmajera,
Tych mistrzów formy, którym dam
W salonach uwielbienie starczy...
. . . .
„Którym jest obcy świata trud
I z wszelkich idej skwitowali.“
. . . .
Ja zaś odpowiem, pragnąc się,
Choć późno, bronić od napaści:
Co komu starczy, a co nie,
Wieść o tem wyżej nosa waści,
A z czego kto skwitował, lub
I nie skwitował, K. R. Zecie,
Wprzód trzy dni się po nosie dłub,
Zanim ogłosisz to w gazecie.

Jak daleko sięga wpływ Słowackiego na Tetmajera, najłatwiej przekona się każdy, kto uważnie przeczyta dwa jego fragmenty dramatyczne: 1) Wizyę Okrętu, w której dyalog prozą pomiędzy Księdzem a Maryą aż do złudzenia naśladuje nastrojowy ton rozmów Salomei z Horsztyńskim[1]; i 2) Męża-poetę, w której

[1]) Podobnie nastrojone są niektóre rozmowy w nowelli Tetmajera o Księdzu Piotrze, przy którego czytaniu raz po raz przychodzi na myśl Horsztyński Słowackiego. Jak Słowacki, tak i Tetmajer przetłumaczył pierwszą pieśń Iliady i parę fragmentów z następnych pieśni. Jak Słowacki, tak i Tetmajer napisał dramat o Zawiszy Czarnym.

to wdzięcznej bluetce scenicznej, napisanej świetnym wierszem. dyalog toczy się zupełnie na sposób Nowej Dejaniry (Niepoprawnych), przez cały czas utrzymując się w tonie rozmów Fantazego z Idalią.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zygmunt Kaczkowski
i jego czasy.

(Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych).

(Ciąg dalszy.)

VIII.

(Z. Kaczkowski w sferach publicystycznych, politycznych i dyplomatycznych. — Stosunki z Ministrem Stanu hr. Belcredim. — Nominacya hr. Agenora Gołuchowskiego powtórnie Namiestnikiem Galicyi. — Pertraktacye w tej sprawie i warunki. — Kwestya Marszałkowska. — Pamiętniki ks. Leona Sapiehy. — Misye dyplomatyczne Kaczkowskiego. — Wydawnictwo „Morgenpost". — Chwile zniechęcenia. — Plany publicystyczne. — Zamiar wydawania dziennika polskiego w Wiedniu. — Znaczenie Kaczkowskiego na polu dziennikarskiem. — Listy jego w tej sprawie do Smarzewskiego, pełne goryczy. — Krytyka literatury współczesnej. — Ciepła wzmianka o zmarłym Szajnosze. — Przedsiębiorstwa przemysłowe. — Naprężone stosunki z ks. Adamem Sapiehą. — Pozycya materyalna Kaczkowskiego. — „Banque des Provinces". — Zamiar kupienia dóbr ziemskich w Galicyi. — Ponowne zabiegi o mandat poselski i ponowne niepowodzenie. — Rozgoryczenie z tego powodu. — Nienawiść do „Stańczyków". — Zjadliwe zdanie o Galicyi. — Usposobienie sfer demokratycznych dla Kaczkowskiego. — Jego złudzenia w tym względzie. — „Teka Nieczui". — Pamflet ten nie wywołuje wrażenia. — Powrót do Paryża. — Finansowe i przemysłowe spekulacye. — Widzenie się z Namiestnikiem Zaleskim w Paryżu. — Projekt amortyzacyi Listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — Zygmunt Sarnecki o Kaczkowskim.)

Rozszerzając ciągle swoją działalność publicystyczną, nawiązawszy stosunki ze wszystkimi niemal wielkimi organami opinii publicznej w Europie, zbliżył się tem samem Kaczkowski do sfer politycznych i dyplomatycznych i umiał sobie tam pozyskać nietylko głos, lecz i wpływy. Zręczności pod tym względem nikt mu chyba odmówić nie może.

Wpływy te wzmogły się zwłaszcza od chwili, gdy na czele Rządu austryackiego stanął Ryszard hr. Belcredi (1865—1867).

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Jeszcze w daleko wyższym stopniu da się powiedzieć o pięknym dramacie Lucyana Rydla: Na marne, od pierwszej do ostatniej sceny napisanym wierszem i stylem Nowej Dejaniry, tak dalece, iż trudno przypuścić, by autor czynił to nieświadomie: raczej nabiera się pewności, iż w tym wypadku zależało mu poprostu na tem, by naśladować język i cały sposób mówienia bohaterów Słowackiego. Albowiem niepodobna iść dalej w posługiwaniu się cudzą manierą.

Dla przykładu wystarczy przytoczyć opowiadanie Majora:

To była nasza młodość! Z moim bratem,
a Jani dziadkiem, w Żytomierzu byłem
w szkołach... Żytomierz! Ojcowie pijarzy!
Mój Boże! pamięć, jak rak: chodzi tyłem...
Gdybyś ty wiedział, ile drogich twarzy
pamięcią widzę, gdy w te lata patrzę!
A ich imiona? zarastają w ziele
i chwast, a czas je za lat parę zatrze
na grobach. „Razem młodzi przyjaciele!“

Dyabła tam razem! po szerokim świecie
poszli w rozsypkę i mijały lata.
i coraz częściej czytałem w gazecie:
„Umarł!“
Lecz młodzież z nas była skrzydlata!...
Pamiętam, byłem wówczas w retoryce...
Tak, w retoryce byłem... Jaś w syntaksie...
Wtem wieść buchnęła, wieść jak błyskawica
nagła, ogromna: Belweder! I jak się
tam było uczyć? ślęczeć w gramatyce,
czy w jeometryi, albo się w Maronie
ćwiczyć? o Troi czytać i Ajaksie?...
Jeśli już o czem, to o Maratonie
lub Termopilach! Wszak ojcowie sami
żyli w gorączce: codzień na mszy rannej
Ksiądz Rektor trochę drżącemi wargami
mówił litanię do Najświętszej Panny,
choć nam nie gadał, na intencyę czyją...
Długie miesiące tak trwało. Aż wreszcie
przyszli! Grzmią trąby i bębny marsz biją:
cała brygada! Co za radość w mieście,
a cóż dopiero u nas! W pół godziny
konwikt był pusty, bo nawet z infimy
wszyscy pobiegli: ot, takie chłopczyny!
„Z czem przychodzicie?“ „Służyć przychodzimy.“
„Wy? Do konwiktu! Cóż po was, pędraki?!“
Nic nie pomogło; aż starszych pobrali
w rekruty. Ciężył karabin, lecz taki
byłem szczęśliwy i dumny!

Zaczarowane koło Rydla, rodzajem fantazyi najbardziej przypominające Balladynę, pod względem formy wiersza uderzająco podobne jest do Snu srebrnego Salomei, czem zresztą — jeśli o wiersz idzie — odznaczają się i Jeńcy, których bohaterowie zupełnie mówią językiem bohaterów Księdza Marka Słowackiego.

Artur Oppman, choć przedewszystkiem jest poetą Starej Warszawy, również niejeden raz Słowackiemu zawdzięczał swe natchnienie. Wśród jego erotyków nie brak takich, na których mniej lub więcej wyraźnie dałby się wykazać wpływ lirycznych ustępów Beniowskiego lub W Szwajcaryi, a lubo ten wpływ czasem potrafi się skryć dość głęboko, to jednak czasami ujawnia się bardzo przejrzyście, przykładem poemacik erotyczny p. t. Kwiat paproci, opiewający sielankową miłość poety do jakiejś panienki z okienka, a w którym rozdział II. nie jest niczem innem, tylko

Że i Beniowski swemi ariostycznemi oktawami wywarł swój czar na Rydla, dowodem ogłoszony wkrótce po śmierci autora ~~[illegible]~~ Na ławce jego wiersz z roku 1893, gdy to młodociany poeta, wówczas student uniwersytetu, musiał dla dogodzenia ojcu uczyć się prawów, a ~~[illegible]~~ dusza rwała mu się do poezji. To też ~~[illegible]~~ dusząc się wśród [illegible], patrząc na rosnącą w podwórzu akację, taki dał poetyczny wyraz:

Biedna akacyo! znam ja wszystkie twe tęsknoty
Za słońcem; wiem, że na dzień ledwie przez chwil parę
Kąpiesz chude ramiona w jego świetle złotem,
Wiem, że tu smutna rośniesz, jak gdyby za karę,
I za to ciebie lubię, że zielone sploty
Swych drobnych liści kładziesz na te mury szare,
Co cię duszą; że zdławić nie zdołał cię siny
Dym, którym dookoła buchają kominy.

Czas mija, a tu myśli moje się rozprysły
Na wszystkie strony świata i jak dym gdzieś giną.
Przedemną leży kodeks. O ty, wiedzy ścisłej
Dekrecie, zbudowana misternie maszyno,
Która (jak mój) niesforne i mgliste umysły,
Za fantastyczną marzeń goniące krainą,
Przerabiasz w głowy trzeźwe, i ku życia prozie
Na paragrafów swoich wiedziesz je powrozie.

Kodeksie! jabym pragnął, jeżeli potrafię,
Przejąć się tobą; w twojej konsekwencyi karby
Ująć myśl mą swywolną, w każdym paragrafie
Znaleść głęboko skryte twej mądrości skarby,
I zamknąć się w teoryach twoich jakby w szafie,
Aby ni dźwięk, ni zapach, ni kształty, ni farby
Nie wywierały na mnie swych zwodniczych czarów:
Barwą lub dźwiękiem myśleć — to waryacki narów.

Mea culpa! wyznaję, że każda rzecz, która
Ująć się nie da w dźwięki, kształty i kolory,
Jest mi niezrozumiała; taka snadź natura
Mego umysłu. To też z Goethem do tej pory
Myślałem, że wszelaka teorya jest bura;
Lecz idąc w adwokaty lub w prokuratory
Zerwać należy z Goethem, Szekspirem i Dantem,
Zato mieć język cięty i być szczwanym frantem.

Mea culpa! wyznaję, że dotąd w Hamlecie
Widziałem wielkich myśli wiele; więcej prawie,
Niż we wszystkich kodeksach, jakie są na świecie;
Żem się bardziej we Fauście kochał, niż w ustawie,
Że to, co w Dziadach Konrad (recte Gustaw) plecie,
Wprawia mnie zawsze w jakiś dziwny sen na jawie,
Dusza mi się otwiera, serce we mnie tłucze
Jak młotem; lecz przy prawie tego się oduczę.

Mea culpa! Ze wstydem przyznaję niestety,
Że wolałbym przez okno patrzeć na podworzec,
Jak przed chwilą, niż zgarniać do grubej kalety
Za jaką brudną sprawę grosza cały korzec,
Że wolę patrzeć w oczy przystojnej kobiety,
Niż nad jakim biedakiem karę śmierci orzec,
I o głodzie w mieszkaniu spać nieopalonem,
Niżeli być Dogberrym lub Brid-Oisonem.

Wyznałem. ›Oto grzechy mojego żywota!‹
Ale odtąd poprawię się i całkiem zmienię.
Głupstwo poezya! Człowiek szarpie się i miota,
Denerwuje się, chudnie, puste ma kieszenie.
Artyści, literaci, to goła hołota;
Byle radca lub sędzia większe ma znaczenie.
Poco duszą wzlatywać gdzieś tam do aniołów?
Czyliż nie stokroć lepszy za karyerę połów?

Precz zatem poetyczne zachcianki i chętki!
Zbyt wysoko — bo zwykle na poddasza — wiodą.
Lepiej wędkę zarzucę, może do mej wędki
Fortuny rybka złota przypłynie wraz z wodą.
Póki się radcą nie jest, trzeba kark mieć giętki,
Lecz i radcą zostanę, grubym, łysym: Młodą
Wezmę żonę, i urlop dostawszy na wiosnę
Do wód pojadę, wiersze układać miłosne. 1)

---

1) Wiersz ten ogłosił d. 30 kwietnia 1918 r. w „Czasie" Tadeusz Estreicher.

nych jest dobre; szwankuje tylko dostawa am
nicyi, gdyż prawie wszystkie fabryki, pracują
dla armii, zostały po wybuchu rewolucyi al
zamknięte, albo rozgromione. Wprawdzie centra
na Rada ustanowiła państwowy monopol wyr
bu broni i amunicyi, ale to rozporządzenie n
mogło wejść w życie dla braku funduszów i s
technicznych.

Jakie jednak bezpośrednie zadania ma prze
sobą armia rewolucyjna która przecież nie po
powstaje, aby pozostać bezczynną? Jeśli ma br
nić całości Rosyi przed zewnętrznym wrogiem
wewnętrznym rozkładem, to pod tym względe
położenie jest wprost fatalne. Rosya rozpada s
na szereg republik, bardzo luźno z sobą połącz
nych, a traktat brzeski nie uchroni jej przed dalszem
bardzo znacznemi terytoryalnemi stratami.

Interwencya wojsk niemieckich w Finland
zadała cios stanowczy tamtejszym bolszewikom
którzy ze względów taktycznych i partyjny
chcieli utrzymać jedność kraju z Rosyą. Po zdobyc
Helsingforsu i Tamerforsu, które nawiasem m
wiąc, przyszło nie łatwo, południowa Finlandy
została uwolniona od przemocy maksymalistó
i znajduje się dziś w posiadaniu t. zw. biał
gwardyi i Niemców. Jest to jednak dopiero pocz
tek; cele niemieckiej interwencyi sięgają znaczn

wirtuozowską waryacyą na temat: „pójdziemy razem na śniegu korony“.

Pójdź ze mną razem na szczyty gór,
Pójdź ze mną razem w doliny stok,
Pójdź ze mną razem za płaszcze chmur,
Pójdź ze mną razem, gdzie wiedzie wzrok!

Pójdź ze mną razem w potworny świat,
Dyszący gniewem i falą krwi;
Pójdź ze mną razem w bieli swych szat
Na nieskończone męczeństwa dni.
. . . .

Nie tak bijącym w oczy, ale niemniej niewątpliwym jest wpływ Pogrzebu kapitana Słowackiego na Pogrzeb poety Oppmana; bo jakkolwiek Słowacki co innego pragnął uwydatnić w swym wierszu, mianowicie rozdzierający ból patryotyczny na widok tragedyi bohatera-emigranta, a Or-ot nie wychodził po za zakres tragedyi jednostki, to jednak obraz i tu i tam jest ten sam, a prawie można być pewnym, iż gdyby nie przejmujący wiersz Słowackiego, autor Starego Miasta możeby tak nie odczuł smutku, jaki towarzyszył temu pogrzebowi poety-samobójcy. Co nie ulega wątpliwości, iż oba wiersze mają wiele cech pokrewnych, a nawet zaczynają się podobnie.

Pogrzeb kapitana zaczyna się obrazem wynoszonej ze szpitala trumny:

Wzięliśmy biedną trumnę ze szpitala,
Do żebraczego mieli rzucić dołu...

Pogrzeb poety zaczyna się podobnym obrazem, z tą różnicą jedynie, iż u Słowackiego wynoszą trumnę ze szpitala, a u Oppmana z domu, co nie przeszkadza jednak, że patos, z jakiem poeta opisuje tę chwilę, niewątpliwie jest natchniony patetycznością wiersza Słowackiego.

I wzięli trumnę, w kwietnych wiankach całą,
Z izby, gdzie krwawe rozgrało się starcie.
I wzięli trumnę, w której cicho spało
To, co robactwu idzie na pożarcie.
I wzięli trumnę, nie dziewiczo-białą,
Ale mówiącą hardo i otwarcie,
Że kryje serce szlachetne i dumne:
Trumnę bez krzyża, samobójcy trumnę.

I nie w kramarskiej wynieśli ją pysze:
Majestat grobu miała w sobie ona,
I szła za trumną w jakąś wielką ciszę
Dziwnie uboga i osamotniona.
I nie druhowie, ani towarzysze,
Ale najemne niosły ją ramiona;
I taki smutek od niej wiał bezmierny...
On jeden został umarłemu wierny.
. . . .

Są również wiersze Oppmana, w których nietrudno dosłyszeć oddalone echo Hymnu Słowackiego: Smutno mi, Boże! Do tej kategoryi da się zaliczyć choćby następujący wierszyk:

Smutno mi... widzę ptaki, wyrzucone z gniazda,
Widzę kwiaty, co kwitną, by zwiędnąć przedwcześnie;
Smutno mi... na błękitach nie lśni żadna gwiazda;
A świat nurza się w mroku i zamiera we śnie.

Smutno mi... widzę usta, które pragną śpiewać,
A pieśniom z tych ust drżących nie wolno wypłynąć:
Smutno mi... wiecznie tęsknić, wiecznie łzy wylewać
I nie módz młodych skrzydeł do lotu rozwinąć!...

Z tych samych uczuć zrodziła się rzewna Modlitwa, w której tęsknota i smutek wiele mają wspólnego z tęsknym nastrojem Słowackiego na morzu, gdy pisał swoje Smutno mi, Boże!.

Gdy ginę, życia strudzony wojną,
Jako rozbitek na falach morza,
Daj strapionemu przystań spokojną,
O. Matko Boża!

Gdy schnę z tęsknoty [1], jak liche zielsko,
Zamiast w błękitne rwać się przestworza,
Daj mi miłości rosę anielską,
O, Matko Boża!

Gdy przyjdzie straszna próby godzina
I może będę iść na bezdroża,
Daj mi widzenie mąk Twego Syna,
O, Matko Boża!

---

[1] Słowacki W Szwajcaryi powiada: Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Gdy w roku 1840 ~~przy~~ sprowadzono z wyspy Św. Heleny zwłoki Napoleona, które następnie w sposób niezwykle uroczysty złożono w majestatycznym grobowcu pod kopułą Kościoła Inwalidów, Słowacki napisał płomienny wiersz *Na sprowadzenie prochów Napoleona*. W 80 lat później, w maju r. 1921, gdy w ~~Warsz~~ wolnej Warszawie obchodzono setną rocznicę śmierci Bonapartego, „Tygodnik Ilustrowany" wydał specjalny numer, w całości Kultowi Napoleona w Polsce poświęcony. ~~z przedr. Or-Ota~~ ~~...~~

W numerze tym, między innymi, znalazł się następujący wiersz Or-Ota, ~~wiersz~~ przedziwnie na ~~to~~ patetyczny ton ~~wiersza Słowackiego~~ wspomnianego wiersza Słowackiego nastrojony, wiersz p.t. *W setną rocznicę śmierci Napoleona*, znakomicie malujący uczucie wyzwolonej Polski do Francji zwycięskiej.

Francjo wielka, zwycięska i dumna!
Francjo, laurem stojąca na czele!
To nie twoja, o Francjo, ta trumna
W Inwalidów samotnym kościele.
To niechybny grom twego pałasza,
To jest trumna i twoja i nasza!

Jeśli srebrnych tam orłów nie było,
Czuwających z złotemi na straży,
To nad wielką, jak świat ten, mogiłą

Duch narodu się waży
Duch narodu mojego się waży
chorągwie
I w chorągwie uderzył łopoce;
I przeczekał tak długie twe noce.

Francjo! Francjo! Gdy z świata ołtarza
Na Golgockiem rozpięli nas drzewie,
W piersi Polaka z tej drużyny Cesarza
Jest Bóg wolnych w stu bitew ulewie!
I nie było takiego [illegible]ika,
Gdzie nasz oręż przy twoim nie błyska.

Sto lat z nami orły, orły twe złote
I tyś szła w serce naszych stolicy:
Patryotyczną w tę szarą kapotę,
I czekali pioruna źrenicy.
Co, jak niegdyś, świat [illegible]
wichry
I na wichry go ciśnie: garść błota!

tumu
A dziś, Francjo, wnijdź z nami do tłumu,
Gdzie nad drżeniem tyranów sztandary;
Znów ci dzwonią z dzikiego
Znów ci dzwonią z dzikiego ich szumu
tryumfu fanfary
Nieśmiertelne tryumfu fanfary
I znów zdarte szaleją łachmany,
Obarczywszy nasz wiek [illegible].

Połóż z nami twe serce na grobie,
Górne serce w rytm Boga bijące,
Jemu
Boś ty, wierna i Jemu i sobie,
Zapaliła znów ludom twe słońce!

I przyłożymy do trumny swe usta...
Ale dzisiaj ta trumna jest pusta!

Tyś wstał z grobu, Cesarzu! Cesarzu!
Rozwaliłeś trumniane granity
I z krwi chylisz na mogił ołtarzu,
Gdzie już żołnierz za Francję zabity;
I obchodzisz twej ziemi boiska,
Co, gdzie stąpnąć, jak serce, krwią tryska.

Tyś wstał z grobu, Cesarzu umarły,
W duchu Francji powrotnie wcielony,
I narodów się tłumy otwarły!
Nad zwalone w proch berła i trony,
Sto lat spała twa szpada w tym grobie,
A dziś znowu jesteśmy przy tobie.

A jeżeli duch ludzki jest ptakiem,
Co się w słońce, jak orzeł, wydziera,
To, Cesarzu, dziś Francuz z Polakiem
Znowu legię z twej ręki odbiera,
By świat dźwignąć tak górnie, tak dumnie,
Jak ten stary, co u twojej śpi trumnie!

Okazuje się stąd, iż „siła fatalna" poezji Słowackiego i na twórczości Or-ota niejednokrotnie wycisnęła bardzo widocznie swe piętno.

Gdy mdleje serce w nocnej żałobie,
A tak daleko poranna zorza,
Daj mi tę zorzę, choć w śnie, choć w grobie,
O, Matko Boża!

Czytając erotyk Oppmana p. t. W rozłące, od pierwszej chwili ma się wrażenie, że zkądciś zna się melodyę tego wiersza, że nie pierwszy raz słyszy się te żałosne tony. I niebawem przypomina się Rozłączenie Słowackiego, napisane pod wpływem rozłąki z Maryą Wodzińską, a uderzająco podobne do tej smętniejszej nieco, ale nie tak namiętnej, jak pierwowzór, Rozłąki.

Na jedną chwilę błysłaś mi, jedyna,
Jak złota gwiazda na pochmurnem niebie,
A oto znowu utraciłem ciebie,
I znowu losy serce me przeklina.

Przeklina losy, co, niemiłosierne,
Wciąż krwawią nigdy niezgojoną ranę
I dzielą serca i duchy zbratane,
Te serca dumne i te duchy wierne.

Bo wiem, że duch twój zawsze memu wierny,
Bo wiem, że serce twe dumne, jak moje;
Na twarzy nosisz nieczułości zbroję,
Ale twą piersią targa ból niezmierny.[1])

. . . .

Nieraz wspomnienia duszę twoją smucą,
Wspomnienia wiosny, strojnej w kwiecia tyle:
Chcesz je odepchnąć... znikają na chwilę...
Nie wierz odlotom wspomnień... one wrócą...

Znikłaś!... Lecz chociaż wokół pustka głucha,
Choć znów me słonko w chmurach się schowało[2]),
Jednak cię widzę tak świętą, tak białą,
Widzę cię zawsze okiem mego ducha.

. . . .

---

[1]) U Słowackiego:
Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie zamknięta,
Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska..
. . . .
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać.
. . . .

[2]) U Słowackiego:
A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy...

Okazuje się tedy, iż „siła fatalna“ poezyi Słowackiego i na twórczości Or-ota nieraz wycisnęła swe niezawodne piętno.

XIII.

Uległ także i Jerzy Żuławski, zwłaszcza w swych Stancach o pieśni, pisanych nietylko oktawą na wzór Beniowskiego, ale i hołdujących tej samej kapryśnej Muzie, w której Słowacki okazał się tak niedoścignionym.

Już pierwsza oktawa tych Stanc pisana jest z myślą o Słowackim:

Pieśń mię nie nęci, która tylko jęczy,
Gdzie śpiewak własne tylko śpiewa bóle,
W której ogromne serce nie zadźwięczy,
Ni sią odezwą wielkie Duchy-Króle;
A jeśli błyśnie czasem rąbkiem tęczy,
To zaraz gaśnie w tej rzeczułki mule,
Z której wybłysła, jak brama barwista,
Ale daleka i zimna i mglista.

Ale nietylko w tej pierwszej oktawie przytomnym jest Słowacki ze swą poezyą: oktawy VII. do X., mówiące o zamarciu pieśni wśród „znikczemniałego epigonów plemienia“, oparte są na obrazie z Lilli Wenedy.

Oto są harfy naszych mistrzów stare,
Harfy pomarłych Derwidów zaklęte,
Na których oni swą miłość i wiarę
Śpiewając, w boje prowadzili święte,
I wielką, krwawą spełniając ofiarę,
Na stosach ludy palili wyrżnięte;
Lub kładąc palce na Zabitej [1] włosy,
Wielkie, bolesne dobywali głosy...

Lecz któż dziś ruszy harf tych święte łona?
Pył już wiekowy przysiadł brzmiące struny:
Pieśń, co z nich brzmiała, w echa kędyś kona...
Dziś już na stosy nie lecą pioruny [2],

---

[1] Lilli Wenedy, a właściwie Polski.
[2] Jak w ostatniej scenie Lilli Wenedy.

Ani rycerzy grześć będzie natchniona
Wróżka [1], pisząca na kamieniach runy
Sławy, i ojca klnąca, że u wroga
Zostawił harfę, a w niej ludu Boga.

O! są te harfy, jak cedrowe trumny,
A pieśń, jak mumja, śpi w nich i śni może...
Może się pieśni z granitu kolumny
Marzą i ranne po nad niemi zorze,
I okrzyk jakiś ogromny i dumny,
Wywołujący słońce na przestworze
Niebios, i ziemia ze snu się budząca...
Takie sny może pieśń ma w harfie brzmiąca.

„Lecz kto ją zbudzi? Kto jej powstać każe?“ Kto tego dokaże po Ujejskim i Asnyku, z których pierwszy „wołał głosem Jeremiasza“, a drugi „na grobach śnił“. Poeci, którzy nastąpili po nich, nie wierzący w moc poezyi, a głoszący jej zgon, nie są siłą twórczą, oni tej uśpionej pieśni nie zbudzą. Rola ta musi przypaść najmłodszemu pokoleniu poetów, do którego właśnie zaliczał się wraz z innymi Żuławski. A gdy mu przyszło nawoływać „do pieśni, do czynu“, wówczas w LXXV. i LXXVI. oktawie znów do tego użył obrazu, zapożyczonego z Lilli Wenedy.

My jak Wenedów odrodzone plemię
Na bój ostatni w piorunowej nocy
Wstaniem, by podłe jarzma zrzucić brzemię;
Lecz pieśń nam jedna może dodać mocy,
Nad miedź silniejsza, wzruszająca ziemię
Potęgą, którą władali prorocy;
I cała walka na nic się nie przyda,
Jeśli nie zabrzmi święta pieśń Derwida!

Ale nasz Derwid, to nie gołąb siwy,
Któremu z głowy włos odarły gromy;
To nie na kosach córki nieszczęśliwy
Starzec, grający śmierci, niewidomy:
Nasz Derwid w wieńcu płomienistej grzywy
Słonecznem okiem patrzący w ogromy
Światów, a z czołem, tonącem w błękicie;
Pieśń jego będzie nie na śmierć, lecz życie!

Tak zapatrując się na życiodajną rolę poezyi w naszem życiu narodowem, Żuławski zwalczał te kierunki poezyi, które tchnęły

[1] Roza Weneda.

82

pesymizmem i zwątpieniem; to też gdy Tetmajer napisał wiersz p. t. Kwestya polska, a w tym wierszu wypowiedział przekonanie, że

wszelka nadzieja zawiodła,
Wszystkie się wiary okazały niczem,
Mocy nie miały w sobie żadne godła
I wszystko było marzeniem zwodniczem,

Żuławski, oburzony takim beznadziejnym poglądem, napisał pełną zapału Odpowiedź, w której jak Słowacki odpowiadający Krasińskiemu, użył — w bardzo fortunny sposób — wypróbowanej do podobnych polemik poetyckich formy wiersza Do autora Trzech psalmów:

Więc nadzieja, mówisz, zgasła?
Więc przebrzmiały wszystkie hasła,
I rozpaczy już jedynie
Trzeba nam się oddać ninie?
Nie tak, bracie, nie! pieśniarzu!
Póki płoną na ołtarzu
Całopalnych ofiar dymy,
Póki mowy dźwięk rodzimy
Strojny w gwiazdy, strojny w rymy,
Ogniem wzdyma piersi wieszcze,
Póki ducha lśnią sztandary:
Nam nie wolno zbywać wiary,
Polska nie zginęła jeszcze!

To nie mrzonką, nie marzeniem:
To jest prawdą, to spełnieniem
Dziejów, co się wiecznem kołem
Toczą ziemskim tym padołem,
I dowodzą, że nie zmarła
Pierś, co pieśni jeszcze sieje,
Z której przemoc nie wydarła
Słów ojczystych, ni nadzieje!

W co więc wierzyć? ty się pytasz?!
O, mój bracie, czy nie czytasz
W pieśniach własnych mocy ducha,
Co z pod więzów, z pod obucha
Jeszcze wstaje, błyszczy jeszcze,
Jeszcze tęcze ma i słońca,
Natchnień ognie, proroctw dreszcze?
To nadzieja i obrońca!

Nasza mowa, to jest arka:
My wypłyniem w niej z powodzi,
A gdy fala spadnie szparka,
Kiedy wolność się narodzi
I jak tęcza po błękicie
Wszystkim ludom wraz zaświeci
Nad chmurami tych stuleci,
W strupieszałej ziemi życie
Zadrga nowe, uścisk bratni
Złączy ludy zawsze, wszędzie:
To ja-ć mówię, że nie będzie
Naród polski tam ostatni!
. . . .
Jeno pieśni nam potrzeba,
Coby rodem była z nieba!

O kulcie, którym Żuławski zawsze był przejęty dla Słowackiego, wymownie świadczyły także i jego cenne studya literackie, poświęcone autorowi Beniowskiego.

Jaki dlań kult żywi Władysław Bukowiński, o tem przekonywa chociażby tylko jego wiersz p. t. W mym pokoju, zaczynający się od takiego wyznania:

W mym pokoiku, na wsi głuchej,
Wisi portret Słowackiego,
Bo od dziecka czcić przywykłem
Jego pieśni, Ducha jego.

W mym pokoju, tuż przy łóżku,
Półkę sporą umieszczono,
Na niej rzędem stoi w zgodzie
Ulubionych wieszczów grono.

Więc wyciągnąć tylko rękę,
I zachwyca się wnet dusza
Oktawami Beniowskiego...

Że te „oktawy Beniowskiego“ wywierały zawsze wpływ fascynujący, na to nie brak dowodów w różnych zbiórkach jego poezyj, gdzie oktaw à la Beniowski spotyka się wcale sporą liczbę. Tak n. p. Nowy zeszyt zaraz na pierwszem miejscu przynosi efektowny Fragment oktawą, zupełnie w stylu dygresyj lirycznych z Beniowskiego:

Mógłbym się w blaski odziać księżycowe
I gwiazdy złote wziąć za swe pochodnie,

I miejsca zwiedzać te straszne, grobowe,
I odkopywać z mogił ojców zbrodnie,
Albo przeszłości w laury wieńczyć głowę,
Gdyby wołano, że czynię wyrodnie...
Mógłbym w noc ciemną po cmentarzach błądzić
I tych, co byli już w mogiłach, sądzić.

O, bo nie myślcie, widząc na mej twarzy
Bladość marmuru, i cichość, i chłody,
Że tam gdzieś wewnątrz nic się już nie żarzy,
Żem jest jak jeleń bojaźliwy, młody,
Co po za siebie spojrzeć się nie waży. .
O nie! Ja chodzę na te w gruzach grody,
I każdy kamień do rąk własnych biorę
I ważę, kładąc na swe serce chore.

. . . .

Więc na cmentarze w północną godzinę
Szedłbym i, dążąc romantyków śladem,
Z mogił bym larwy wywoływał sine
W oponach krwawych, o obliczu bladem...
Każda za swoją jęczałaby winę,
Każdaby z gadów nosiła diadem,
O przebaczenie wciąż błagała nieba
I wciąż słyszała: „Jeszcze cierpieć trzeba!“

Mógłbym się w szatę przyodziać epiczną
I, niby Homer, śpiewać epopeję,
Strofom nadałbym formę daktyliczną,
Przy końcu wierszy umieszczał trocheje,
Słuchaczów ciżbę zgromadziwszy liczną,
Takbym rozpoczął: „Śpiewam smutne dzieje
Zburzonych świątyń, zapadłych cmentarzy,
Natchnieniem Muza niechaj mnie obdarzy!“

Mógłbym... Lecz wszystko to już formy stare,
A takich pieśni nikt dzisiaj nie słucha,
Więc, nim przebrzmiałoby strof śpiewnych parę,
Wkoło żywego już nie miałbym ducha.
Pragnąc goryczy tej odwrócić czarę,
Dopóki pora, choć nadzieja krucha,
Cofnę się z drogi i wejdę na inną:
Powieść wam prawić zacznę.. mniej dziecinną.

„Oktawą Beniowskiego“ również pisane jest serdeczne Pożegnanie Warszawy, przyczem godzi się podkreślić, iż Bukowiński tą kunsztowną formą włada po mistrzowsku, wcale nie gorzej od swego uwielbianego mistrza.

Do jakiego stopnia Bukowiński potrafi się przejąć stylem Słowackiego, tego dał jedyny w swoim rodzaju dowód w swym poemaciku miłosnym, p.t. W noc majową, który nie-tylko zaopatrzył w motto ze Szwajcarskiego romansu Julijusza:

I byłem jak ci, co się we śnie boją [śnie boja],
Bo jużem kochał, i już była moją...

ale go nadto tak nastroił na ton melancholijny wa-giornej idylli W Szwajcarji, że trudno ~~w [illegible] [illegible]~~ podobnem naśladownictwie iść dalej.

Jest to ~~[illegible]~~ przejęta historja [historja] miłosna, odkreślona tak samym wierszem 11-zgłoskowym, jak utwór [utwór] Słowackiego, i podzielona na 17 takich samych krótkich ustępów, jak W Szwajcarji, zawierającej ich 21, ~~[illegible]~~, a więc tylko o 4 więcej. A jak u [jak u] Julijusza pierwsza zwrotka jest rodzajem żałosnego przedśpiewu [przedśpiewem], w którym [którego] bohater [bohater], ~~[illegible]~~ smutnie wspomnieniem zwracając się ku niepowrotnej przeszłości, „usycha [usycha] z żalu, omdlewa z tęsknoty" i marzy o wydostaniu się z tego życia, za nie-bieskie szranki [szranki], a więc o śmierci; tak samo ~~bohater~~ ~~Bukowińskiego~~ w pierwszej zwrotce ~~[illegible]~~ „Obrazka" Bukowińskiego powiada bohater [bohater] o sobie:

Czasem już pustkę straszną widzę wkoło,
I żal zmarszczkami fałduje mi czoło,
I tylko pragnę spoczynku mogiły...

Jak u Słowackiego, tak i u Bukowińskiego, zaraz w drugim rozdziale następuje opowieść o przeżyciach dziecięcia: tylko że tam stało się to pod Kaskadą, „gdzie Aar wody błyskotnemi spada", w słonecznym ranku, podczas gdy tu tłem jest romantyczny park w noc księżycową.

Dziś wam powiedzieć już nie mogę prawie,
Czy sen to tylko, czym widział na jawie
Noc cichą, wonną, uroczą, majową,
Jak zeszła na świat w złotych gwiazd koronie,
A księżyc w pełni świecił nad jej głową,
A kwiecie swoje złożyły jej skronie.
Miała urocze niebiańskie oblicze,
Co w zachwyt wprawia duszę śmiertelnika,
I miała szmery srebrnych fal strumyka,
I wiała z ust otwartych słowicze,
I gwiazd miljonem świeciły jej szaty,
A szła, tak cicha i lekka, jak kwiaty.

— — — — — — — — —

W taką noc wonną, nową, majową,
Sam [raz] się przechadzałem w parku z mą Królową.
Na mem ramieniu wsparła ramię swoje,
I rozmarzeni byliśmy oboje,
I zasłuchani w rozmowy [rozmowy] słowicze,
I zapatrzeni w cienie tajemnicze...
I pewien byłem, że mojej Królewnie
Słowików [roje] roje śpiewają tak rzewnie,
Że dla niej księżyc zapala się blady,
Dla niej na niebie płoną gwiazd miryady, [mirjady]
Dla niej na ziemi kwitnie barwne kwiecie,
Że dla niej wszystko dzieje się na świecie!

I kiedy snułem [marzeń] marzeń wątek złoty,
[Ona] Ona, jak czasem nadziemskie istoty,
W mych oczach wciąż się piękniejszą stawała,
Kształtniej powabna, i [cicha] cicha, i biała,
Z czarnych jej oczu takie [blaski] blaski biły,
Że [mieć by] mieć trzeba coś z nadludzkiej siły,
Aby [się] się oprzeć [czarom] czarom jej spojrzenia.
Dziwnej tęsknoty wszystkie jej westchnienia,
Dziwnej śpiewności nabrały jej słowa...

4,

~~Dziwnej i pierwsi natrafiły jej słowa;~~
Stała, niby noc majowej Królowa,
I wszystkie gwiazdy patrzyły się na nią,
Wiły za swoją uważając ją panią.

Że raz on pierwszy widział w niej swoją Królowę, więc nagle „do głowy ~~przyszła mu~~ myśl mu przyszła pusta"

Przy świętojańskich natapać robaczków
Co lśniły wszędy na trawie wśród krzaczków

i przyozdobić ~~[illegible]~~ niemi, jak świetlistą koroną, główkę swej lubej. A gdy to nasypał na jej czoło,

Ona tak cudną była w tej koronie,
Że gotów byłem wołać, iż ją tronie;
Wydało mi się, że z nieba anieli
Zeszli i podeszli do nas cicho, chcieli,
Aby ją porwać, unieść w kraj daleki,
Aby ją ze mną połączyć na wieki

— — — — — — — — —

Potem... nie pomnę, co mówiłem do niej;
Wiem, że widziałem, iż twarz jej się płoni,
Policzki w cudne zamieniając róże;

Że jak brylanty lśnią jej oczy duże.
Nagle, jak małe wykrzyknęła się dziecię,
I rwać poczęła w trawie jakieś kwiecie,
I rwać poczęła listki z kwiecia tego,

wypełnia tak samo, jak zakochana „pani” ze Słowac-
kiego Stokrotek.

Więc ja zapytałem zdziwiony: „Dlaczego?”
„Nic, nic!” odrzekła, „Może... pan się dowie”,
I coś tak cicho szeptała kwiatkowi,
Żem słyszeć z tego nie mógł ani trochę,
Przy czem raz: „kocha”, to znów: „nie kocha”.

Poczułem wtedy, że głowa mi płonie,
Że krew przepięknej krainy w mojem łonie,
Że mi jest razem i strasznie, i błogo!
I że mi ona już nad wszystko drogą!
Więc pochyliłem się nad uszkiem białem,
I, że ją kocham, tak cicho szeptałem,
Że nie słyszała nawet róża biała,
Która tuż koło szeptów zazdrośnie słuchała;
Że przy niej nawet nie słyszało kwiecie,

I jedna żywa istota na świecie,
A ona [ona], wiedząc, iż śnię sen uroczy,
Pobladła lekko i spuściła oczy.[1]

I szła przed dziką, zadumana, cicha,
Jak lilja, smutkiem wabiąca kielicha,
Wtem zatrzymała się znowu na drodze,
Pytając trwożnie, czy ja jej nie zwodzę [zwiodę]?

\- - - - - - - -

Ah! czy ja zwodzę? Ją [Ja] drogą, kochaną?
Za karą, Dziecka nadałem [Dziecka nadałem] jej miano.

Lecz nie robiła sobie [sobie] wiele z kary.
I szliśmy dalej, a około park stary
Szumiał poważnie tysiącznymi [tysiącznemi] głosy...
~~A gwiazd miliardami świeciły niebiosy,~~
~~Słowiki śpiewem [illegible] czy [illegible]~~.
~~I [illegible]~~

W ~~końcu~~, idąc tak wolno „między drzewy", wyznali
sobie wzaj. miłości.

p [I szliśmy dalej, wciąż dalej przed siebie.
A lepiej by nam nie mogło być w niebie

---

1) U Słowackiego: Powiew miłości owiał mię uroczy. [uroczy] (spoc
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy [oczy] (spoc)

I nie wiem dobrze, jak się ~~wszystko~~ to już stało,
Ale jej rękę całowałem białą,
I że ją kocham, wciąż mówiłem do niej
I skroń jej czułem tuż przy mojej skroni,
I czułem dobrze, jak jej biło serce,
I nie wiem, ale w tej naszej rozterce
Byłbym swe życie chętnie oddał w dani
Za jedno słówko mej uroczej Pani
Byłbym się stokroć do grobu położył,
I, na jej rozkaz, żyjąc razy ożył!

Że Bukowiński, kreśląc ten poemat, wciąż miał na myśli W Szwajcarji Słowackiego, dowodzi następująca strofa jego idylli, gdzie ~~[illegible]~~ zakochany bohater czyni najwyraźniejsze aluzje do tego Juljuszowego utworu:

„Nie było w krąg alpejskich widoków,
Ona nie wyszła z mgły, ani z obłoków,

1.) Jul. Słowackiego W Szwajcarji:

...nie wiem dotąd, jak się wszystko stało.
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych ~~piersiach~~ białą,
Sercem bijącą, wylęknioną w oczach...

Ni z barwnej tęczy, ni z płatków piany.
Nie było jezior, szaletów, kaskady...
Lecz na łączce lśniły gwiazd miriady.
W parku słowiki śpiewały dookoła,
Szumiały brzozy, lipy i kasztany
I ona ze mną szła, z twarzą anioła!

Że jednak nic na tym świecie trwać nie może wiecznie, więc i ta miłość dobiegła swego końca, i kochankowie, tak szczęśliwi i zakochani w ową noc majową, rozeszli się każde w swoją stronę: kochanków Słowackiego rozdzieliła śmierć, kochanków Bukowińskiego rozdzieliło życie...

Czy jest jakiś psychologiczny związek pomiędzy tym przemówieniem ~~Bukowińskiego~~ o Nocy majowej a wierszem lirycznym p.t. Nie odejdź, trudno orzec; ale co nie ulega wątpliwości, że między tym wierszem Bukowińskiego a Rozłączeniem Słowackiego, napisanem po rozstaniu z Maryą Wodzińską, istnieje niezmiernie bliskie pokrewieństwo formy i nastroju. Na dowód wystarczy przytoczyć choćby dwie następujące strofy:

Wiecznie jestem przy tobie, bliski czy daleki;
Oddalona czy bliska, wiecznie jesteś ze mną;
Z twem imieniem się budzę, zamykam powieki,
W snach twoich wiecznie widzę główkę twoją ciemną.

Twój obraz w mojej duszy bez ustanku gości:
Rano chmurę rozpędza z nad mojego czoła,
Wieczorem z ust dobywa wyraz miłości,
I wszystkie barwy tęczy roztacza dokoła.

- - - - - - - - - -

Ach, przy tobie jutrzenka nawet się rumieni,
Ziemia cała przecudnych barw setki przywdziewa,
Słońce więcej wydaje świetlistych promieni,
A w duszy nagle głosem archaniołów śpiewa.

Lecz bez ciebie, czem życie? Męczarnią bez końca,
Goryczą i konaniem, i pustką grobową,
Bez nadziei promienia, odrobiny słońca,
Pustką, jakiej określić nie potrafi słowo.

- - - - - - - - - -

Więc nie odchodź ode mnie, mój aniele złoty,
Bo na samą myśl o tem gorzko mi i ciemno,

Bo na samą myśl o tem umieram z tęsknoty,
Pusto, strasznie i ciężko we mnie i przedemną.

Hymn Słowackiego o zachodzie słońca na morzu także oddziałał na jeden z liryków Bukowińskiego, mianowicie na jego erotyk p.t. Myślę o tobie. Bo jak tam „Smutno mi, Boże!" zaczyna i kończy pierwszą strofę, podobnie tutaj czyni to, jako stały refren, „Myślę o tobie." Rzecz różni się tylko pierwszym obrazem, ile że u Słowackiego hymn zaczyna się od opisu zachodu słońca, podczas gdy Bukowiński kreśli w pierwszej strofie słońca tego wschód.

Myślę o tobie...
Codziennie, gdy słońce na niebios lazurze
Z za widnokręgu złotą skroń wynurza,
I ze snu budzi zapłakane róże,
I operlone rosą złoci wzgórza,
Całemu światu promień ku tobie...
Myślę o tobie!

Myślę o tobie,
Gdy lazur ciemne zasępiają chmury.

Z obłoków strugi spływają deszczowe,
Zdala huk gromów dochodzi ponury; [gromowy dochodzi ponury]
A słońce w chmurach złotą kryje głowę [chmurnych]
I ziemię w smutnej zostawia żałobie...
Myślę o tobie.

Jak Słowacki, na widok przelatujących na niebie [żurawiów,] ~~[illegible]~~, które znał kiedyś na polskim ugorze, przeciwstawia smutnej i beznadziejnej teraźniejszości jasną i promienną przeszłość, bezpowrotnie minioną, podobnie i Bukowiński czyni to w następujących strofach swego tęsknego erotyku: [erotyku]

Myślę o tobie,
Patrząc na niebo przykryte gwiazdami,
Słuchając szeptów tajemniczych ziemi...
Ach, w takie noce myśmy nieraz sami,
We dwoje, wraz szeptali dziećmi!
Dzisiaj sam błądzę o północnej dobie,
Myśląc o tobie.

A jak Słowacki, w jednej strofie swego hymnu, myśli o swym smutnym i „niespokojnym" grobie, nie wiedząc, gdzie

się w mogiłę położy; Ach sam i autor poezyi Z

marzeń i życia, ~~myśląc o swej kochance, nie może~~

~~się oprzeć~~ wspominając swą mleczarkę, nie może

się oprzeć ulubionej myśli o śmierci, ~~i zimnym gro~~

Myśląc o tobie

Wiosną i latem, w każdej roku porze,
We dnie i w nocy, o każdej godzinie,
I tylko w duchu smucę się i tworzę,
I tak me życie samotnie przeminie,
Aż wreszcie smutny w zimnym legnę grobie
Z myślą o tobie...

dalej z druku (85)

Poznałem atoli, którą Bułhakowski naśladuje najchętniej i z największem powodzeniem

W. 85 –

Wędrowiec wieczny na szlakach żywota
Znowu cię żegnam dzisiaj, o Warszawo!
Zanim nad tobą błyśnie zorza złota,
Zanim wschód smugą zapłoni się krwawą.
Znów za mną twoje zatrzasną się wrota
I klucz we wrotach warknie głucho, rdzawo,
Niby zgrzytliwe pożegnanie trumny,
Które nad grobem słyszy orszak tłumny.

A choć za nami nie zostają groby
I da Bóg trumien nie będzie przed nami,
Trudno się z tobą rozstać bez żałoby,
Trudno rozstania chwil nie zrosić łzami...
Ach! bo na świecie nie ma syna, coby
Choć go nieznana przyszłość nęci, mami,
Łzy nie uronił na zmarszczone ręce
Matki, łkającej w pożegnania męce.

Ty zaś, Warszawo, przez lat wiele matką
Byłaś mi, matką, która syny garnie,
A choć u stóp twoich płakałem nierzadko,
To nie przez ciebie, lecz przez twe męczarnie,
Przez łzy, co lica twe zorały siatką,
Przez krew tę, którą wciąż broczysz... bezkarnie,
Przez pohańbienie twe i te niedolę,
Której z nas każdy ma stygmat na czole.

Alpejskie szczyty witają mnie zdala
I czarem nęcą południowe morza.
Znów, zda się, szumi Adryatyku fala,
Nad Akropolem znów śmieje się zorza,
Znów okręt morskie odmęty przewala,
Śródziemnomorskich fal prując przestworza,
I piramidy kłaniają się dumnie,
Z czterdziestu wieków wyżyn patrząc ku mnie.

F

wstawka z rkps. do str 85 (1-12)

Poematem atoli, który Bukowiński naśladuje najchętniej i z największem powodzeniem, kontynuując niejako wątek, zadzierżgnięty przez Słowackiego, jest Podróż na Wschód. Zarzucano to nawet Bukowińskiemu, że w naśladowaniu tem idzie za daleko, że zbyt niewolniczo trzyma się niedoścignionego wzoru, że przez to na szwank naraża swą oryginalność; ale to go nie powstrzymało od kroczenia po tej drodze, a nawet w poemacie Echa, opisującym podróż do Egiptu, natchnęło do kilku dowcipnych strof na temat krytyki, wytykającej mu ten poetycki grzech.

Ach! wiem, że kiedyś przez te wody
Do tegoż portu, tejże ziemi
Egipskiej, płynął Juljusz młody
I sekstynami czarownemi
Pisał, być może, Podróż wschodnią,
Której wpływ ma być moją zbrodnią.

Tę zbrodnię biorę na swe bary.
Niech tam! Wyznaję dziś otwarcie,
Że wielbię pieśni jego czary,
Żem zakochany w każdej karcie,
Na którą, niby Atalanty
Jabłka, siał złoto i brylanty.

Choć z drugiej strony wspomnieć muszę,
Że strofy me to serca spowiedź,
Że w nich wam własną daję duszę...
Twierdzisz inaczej? proszę. dowiedź,
Lub szczerze powiem ci, kolego,
Żeś, jako krytyk, do niczego.

Słowacki... Jego wielbicieli
Krąg z każdym rokiem dzisiaj wzrasta...
Lecz nim pieśń jego wyanieli
Zjadaczów chleba, mięsa, ciasta,
Niejeden Tretiak tam, w Ojczyźnie,
Na tęcze jego błotem bryźnie.

I niejeden poeta też, zahypnotyzowany pięknością poezyi Słowackiego, będzie pisał wiersze à la Słowacki, z czego mu potem krytycy, zawsze doszukujący się dziury na całem, będą czynili wyrzuty. Ponieważ i Bukowiński wie coś o tem, więc nie omieszkał zareagować na to w Pieśni II. swych Ech, które właściwiej powinny nosić tytuł: Podróż do Egiptu.

Krytykom pozostawię
Zasługę wszystkich odszukania
Wzorów, co na mnie wpływ wywarły
W poezyi żywej lub umarłej.

To ich rzemiosło i zadanie
W utworach nowych widzieć zawsze
Pomysłów cudzych zmartwychwstanie
Lub, gdy wyroki są łaskawsze,
Uległość wpływom wieszczów dawnych,
Wielbionych, czczonych, wielkich, sławnych.

Lecz cóż my winni, że fatalność
Żyć nam kazała w takim czasie,
Gdy rzadki ptak-oryginalność,
Gdy poprzedników legion ma się,
Z któremi w formie lub pomyśle
Każdy się spotka, mówiąc ściśle.

Choć oni wobec nas olbrzymy,
Lecz uczuć wspólnych mamy wiele;
Do celów ich i my dążymy.
I my się modlim w ich kościele,
I z nas niejeden pióro macza
W sercu: ojcostwo czas wyznacza.

Ach! czytelniku, źle cię wiodę,
We mgle nam zginął cel podróży,
Spróbujmy jednak zawrzeć zgodę,
I niech się czoło twe rozchmurzy,
Znów, niby ptaki dwa, pomkniemy,
Wymowny jeden, drugi niemy!

Na błędną drogę swoją wrócę,
Choć znów Arystarch warknie który,
Że, pisząc, grzeszę przeciw sztuce,
Że wiersze moje, istne wióry,
W najlepszym razie są, o zgrozo!
Zwyczajną tylko, nędzną prozą...

Przybywszy do Egiptu, jeszcze i tu nie zapomina Bukowiński, że kraj ten zwiedzał w swoim czasie Słowacki, że nietylko opisał Odwiedziny piramid i miał specyalną Rozmowę z piramidami, ale nawet „na piramidzie“ tfu! otrzymał listowną wiadomość o swej kochance szwajcarskiej, że za mąż idzie! Wiele tu zmieniło się od tego czasu, a dzisiejszy podróżny, kiedy z Kairu wybiera się na piramidy, inaczej odbywa tę drogę. Przekonał się o tem naocznie Bukowiński, czemu taki w VII. pieśni swych Ech dał wyraz:

Kiedy przed laty — dość już dawno —
Autor Kordyana, Balladyny
Odbywał na wschód podróż sławną,
I swe piramid odwiedziny
Opiewał w cudnej natchnień chwili;
Nie tak, jak dzisiaj, ludzie żyli.

I przez pustynię do piramid
Inaczej podróż odbywano.

Dziś elektryczność i dynamit
Zwiastują dziejom nowe rano,
Zmieniając szybko wygląd świata:
Dla romantyków wielka strata!

Dziś nie osiołek hyży, płowy,
Jak łódź przez piaski ze mną płynie,
Lecz elektryczny tramway nowy,
Który kulturę na pustynię
Zawozi dziesięć razy co dnia.
Wobec poezyi jest to zbrodnia.

Oprócz Ech, w których całym nastroju, bo nietylko w formie sekstyny, wciąż słyszy się echa Podróży na Wschód, napisał Bukowiński jeszcze jeden poemat sekstyną, wiernie naśladującą sekstyny pomienionego poematu Słowackiego, mianowicie „poemat liryczny“ p. t. Na greckiej fali. Jest to opis romansowej podróży po Grecyi z kochanką, zdaje się spotkaną w drodze; bo w Salaminie — jeżeli wierzyć poematowi — wypadło poecie rozstać się z nią na zawsze. Co nie ulega wątpliwości, że w utworze tym, bardzo wartościowym pod względem poetyckim, egzaltowany i płomienny erotyzm przeplata doznawane wrażenia podróżnicze, i że o ile pierwszy niewątpliwie przypomina Słowackiego W Szwajcaryi (pomimo formy sekstyny), o tyle drugie najwyraźniej i bez żadnej ceremonji wzorują się na jego Podróży na Wschód.

Wypływając razem z ukochaną z Salonik, poeta — a raczej bohater poematu — rozumuje tak samo, jak kochanek Słowackiego, gdy tłumaczył kochance, że

jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,

i łatwo pogodzą się z tą myślą, z tem ich tajemniczem zniknięciem. Tak samo w poemacie Bukowińshiego; w chwili, gdy statek ma odbić od brzegu, gdy „z kajut na pokład wybiega kto żywy“, by raz jeszcze pożegnać spojrzeniem „bliskich garstkę drogą“,

my na brzegu nie mamy nikogo.

Tem lepiej! Cały świat niesiemy z sobą...
Choćbyśmy nigdy nie wrócili z drogi
Niczyjej duszy nie zmroczym żałobą.

Jak za kochankami W Szwajcaryi, gdy pływali po jeziorze genewskiem, za ich łódką ciągnęły „rybek korowody“ i gołębie, podobnie i tu, Na greckiej fali, gdy okręt unosi szczęśliwych zakochanych

Tylko gromadka śnieżnych mew swawolna,
Jakgdyby w pogoń wyrusza za nami
I za okrętem, jak chorągiew biała,
Ciągnie, na pokład wpadając bez mała.

Lecz już i one wydążyć nie mogą.
Żałosnym krzykiem żegnają nasz statek,
Jakby nam słały w mrok, przed długą drogą,
Jakieś lamenty sióstr, kochanek, matek.
Zniknęły. Tylko jedna z mew, uparta,
Czuwa nad nami wciąż, jak wierna warta.

Patrząc tak na nią wśród powietrznej sieci,
Gdy, niby gwiazda, blask rzucała z góry,
Myślałem, że to duch twój biały leci,
Przecudne ciała rzuciwszy marmury,
I że wnet, kształty przybrawszy anioła,
I mnie w powietrzny taki lot powoła.

Bohater Słowackiego opowiada o swoich dniach szczęścia z ukochaną:

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
I nic nie wiem, czy tam była łódź pod nami.

Podobne chwile szczęścia i upojenia, w dali od ludzi, przeżywają kochankowie Na greckiej fali, płynąc w stronę Aten.

Błękitna fala ciemne bierze tony,
Gnieniegdzie tylko srebrna błyśnie smuga,
Za nami przestwór morza niezmierzony
. . . .
Dokoła cisza otacza nas głucha,
Niebo, jak wielka świątynia miłości,
Kopułę skrzącą roztacza nad nami,
Płyniemy razem, zakochani, sami.

Ach! w takiej chwili próżnych słów nie trzeba!
Patrz! Na powierzchnię morza granatową
Brylanty lecą z płonącego nieba,
By się w twych oczach zapalać na nowo,
Gdzie już głąb morska zawarła swe tonie...
Te oczy cudne daj!... te usta... dłonie...

Bohater W Szwajcaryi, zachwycony widokiem swej kochanki na tle jeziora, powiada wniebowzięty:

Była jeziora błękitnego panią,
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią.
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody
I wyrzucały się aż do niej z wody,
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była, jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi.

Podobny obraz szczęścia nad błękitami wód kreśli bohater Podkowińskiego, przyczem nietylko operuje pokrewnymi obrazami, ale i wyrażeń czasem używa tych samych. Niedość bowiem, że go kochanka

jak fali królowa i pani
Na chwilę krótką wyrwała z otchłani,

z otchłani samotności i smutku; ale nadto, gdy tak płynęli po greckiem morzu, towarzyszył im... orszak delfinów.

Za lśniącą w słońcu złotych skał plejadą
Coś zmąciło nagle wód błękity.
Ach! To delfinów igrających stado,
Jak komet hufiec, strąconych z orbity,
Goniąc się, kłębiąc wśród piany odmętu,
W wesołych pląsach zmierza do okrętu.

Srebrne zjawisko, honorową wartę
Tworząc, chwil kilka przed okrętem goni,
Aż wreszcie na bok przez statek odparte,
Nim w lazurowej ukryło się toni,
Jeszcze raz błysło srebrnemi piersiami,
Jakby mu było żal rozstać się z nami.

Patrząc na ciebie w tym dziwnym orszaku,
Stałem przez chwilę z podziwienia niemy,
Zdawało mi się, mój złocisty ptaku,
Że te delfiny, widząc, jak płyniemy,
Umyślnie spadły z brylantową rosą
I pozdrowienie od fal tobie niosą.

Jak W Szwajcaryi raz „przed Tella kościołem“ bohaterka „pierwsza na kamień wyskoczyła płocha“, podobnie i w tym

poemacie Bukowińskiego urocza towarzyszka podróży, gdy okręt w pirejskiej przystani przybił do lądu,

Na brzeg, spłoniona w cudownej podzięce,
S k o c z y ł a lekko, niby młoda sarna.

Bohater W S z w a j c a r y i, po utracie swej lubej, „kiedy się myślą w przeszłości zagłębia, nie wie, jak sobie jej postać malować“, i siedząc w blaskach miesięcznych, zasłuchany w szum fontanny, myśli tylko o tem, że „gdy pierwsze g w i a z d y na niebie zaświecą“, księżyc wywabi mu duszę z ciała, ażeby uleciała w przestwory niebieskie, a tam połączyła się z ukochaną. Podobnych uczuć, po rozłączeniu się ze swą „rusałką“, doznaje bohater Bukowińskiego, z tą różnicą jedynie, iż kochanek Słowackiego, rozmyślając o niedawno przeżytych dniach szczęścia, patrzy na „lecące po niebie łabędzie“, podczas kiedy podróżnik Selima, stojąc smutny po odjeździe ukochanej, „nad Salaminy falą“ nie łabędzie, lecz „tanecznice mewy wzrokiem goni“.

Cisza dokoła. Znikło słońce moje
I w duszy pusto, ciężko, jak po skonie,
A fala bóle najcięższe kojąca,
Wabiąc w głąb modrą, o stopy me trąca...

I ma się wrażenie, że autor o mało co nie powiedział do tej greckiej fali: „Falo, niewierna falo, a tak wierna!“ Bądź co bądź, ostatnie strofy poematu, wyrażające tęsknotę za utraconą kochanką, nieraz potrącają o te same struny, których melancholijny dźwięk zna się z ostatnich strof W S z w a j c a r y i.

Godziny szczęścia mkną, jak wartkie fale,
Lecz w niepamięci nie wpadają morze;
Wspomnienia o nich wracać będą stale
I nieraz, nieraz, o wieczornej porze,
Gdy rozłączeni będziemy i sami,
O serca nasze bić będą skrzydłami.

Twój obraz zarył się głęboko w duszy...
I ty mojego nie wyrwiesz z pamięci
. . . .
Na księżycowym promieniu, w róż woni,
Spływać do ciebie będę w nocnej ciszy,
Wspomnienie w przyszłość za tobą pogoni
I znowu duch twój cichy szept usłyszy,
Którym cię będę pozdrawiał w noc ciemną...
. . . .

W końcu dusze ich, spotkawszy się gdzieś w przestworzach niebieskich, „w gwiazdę się wspólną na wieki połączą“.

Ale choć upojony miłością i szczęściem i przeżywanemi wrażeniami wśród ruin Akropolu, kochanek Bukowińskiego, a w tym wypadku sam poeta, nie zapomina, że na te ruiny przed laty poglądał i Słowacki. Przypomina mu go pomnik Byrona, oglądany „w parku zieleni“ przy świetle księżyca; a że myśląc o Byronie, mimowoli myśli się i o Słowackim, więc to przypomnienie natchnęło Bukowińskiemu następujące strofy:

Od dni najpierwszych mej chmurnej młodości
Czciłem cię, wielki poeto Albionu,
Samotny piewco dumy i wolności,
Duchu szlachetny i smutny do skonu!
A choć niejedna życia światłość zgasła,
Płoną mi dotąd, jak gwiazdy, twe hasła.

Więc w tę miesięczną noc na greckiej ziemi
Przed twym posągiem, wykutym w marmurze,
Staję i rzucam rękoma drżącemi
Do stóp twych dzikie Akropolu róże.
Duch mój, zbłąkany, jak ptak, w życia matni,
Składa ci dzisiaj może hołd ostatni.

Lecz jeszcze jeden cień wielki i święty
Przeleciał cicho w gwiazd i tęcz koronie;
W oczach mu płoną natchnienia dyamenty,
I cały niby duch światłości, płonie,
Z Hellady właśnie na północ daleką
Wraca, wpatrzony w wielkie trumny wieko.

Tyżeś to, krain fantastycznych panie,
Królu melodyi, barw, tęcz i promieni!
Wędrujesz cicho po gwiaździstym łanie,
Co w brylantowych blaskach skrzy się, mieni,
I — zda się — słyszę w podniebnym przestworze
Twą nieśmiertelną pieśń: „Smutno mi, Boże!“

Twą nieśmiertelną skargę-pieśń znów słyszę,
Która z mych oczu zawsze łzy wyciska.
Ach! I mnie odejść czas w tę srebrną ciszę,
I mnie otwiera się mogiła bliska...
Najgłębsze struny duszy pieśń potrąca,
Z oczu się stacza znowu łza gorąca...

Do jakiego stopnia Bukowiński umie utrafiać w ironizujący ton *Podróży na Wschód*, niech zaświadczy parę strof z jego

listu do Stefana Żeromskiego Z nad brzegów Nilu. Gdyby niepewne pojęcia nowoczesne, czytelnik łatwo mógłby mieć złudzenie, że to jakieś mniej znane fragmenty z poematu Słowackiego:

Są ciernie w życiu, jest i kwiecie,
Ach! często bywa nie najgorzej..
Sprzykrzywszy sobie marne krecie
Istnienie, jakie wiodą chorzy,
Skąpałem się w pustyni pyle,
Dotarłszy aż do świątyń Phylae

Cudowna podróż! Ze mną razem
Biegła błękitna Nilu wstęga
W girlandzie palm. A drogowskazem,
Który do chmur nieledwie sięga,
Był zrazu grób Cheopsa, potem
Daszur, Sakkara w słońcu złotem.

O zawartości zmarłych pola,
Koło „schodowej“ piramidy,
Powiedzą wam, gdy wiedzieć wola,
Baedeker albo inne g i d y,
Dla rymu biorę ze słownika
Ten wyraz, zamiast p r z e w o d n i k a.

Do Abydosu i Dendery
Prowadzić chciałbym was czemprędzej,
Lub do stubarwnych Teb, gdzie cztery
Doby w tęczowej marzeń przędzy
Spędziłem, groby i pylony
Świątyń zwiedzając zachwycony.

. . . .

Ach! wiem, że mniej praktycznie czynię,
Pieszcząc oczyma palm korony,
Lub biegnąc wzrokiem hen, w pustynię,
Przez którą wielbłąd objuczony,
Brnąc w piasku, tonąc w morzu ciszy,
Prowadzi szereg towarzyszy.

Lecz już podobno w praktyczności
Nieprędko nas wykształci życie,
Do cnoty tej mój duch nie rości
Pretensyi, za co los sowicie
Karze go rzędem dekonfitur...
Ha! Trudno... „*Sic ad astra itur*“

Mknie smok żelazny. Jak stalowe
Dwa węże, szyny za nim gonią,
Zda się, przechylić tylko głowę

94.

I głaskałbyś ich grzbiety dłonią,
Nie chcąc dopuścić tej pieszczoty,
Sypią ci w oczy piasek złoty.

Nic to, to tylko Nilu czary
I smukłych palm zielone gaje
Przez złote widzisz okulary,
I złotym świat ci się wydaje,
A wkoło na nim same cudy...
. . . .

Cokolwiek da się powiedzieć o tym stopniu naśladownictwa, jedno zeń wynika logicznie, to wielki kult Bukowińskiego dla Słowackiego, prawie bezgraniczny. [1]

[1]) Pisząc ten rozdział o poezyach Wład. Bukowińskiego, nie miałem możności korzystania z jego pierwszego tomu p. t. Z marzeń i życia, w którym niewątpliwie muszą znajdować się wiersze w rodzaju Słowackiego. Niestety, książki tej nie mogłem nigdzie znaleźć w Krakowie. Nie posiada jej nawet Biblioteka Jagiellońska.

Już to wogóle nie może być mowy w tem studyum o wyczerpaniu tego przedmiotu. Nawet nie mam ambicyi w tym kierunku.

FERDYNAND HOESICK.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

XV.

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Jeśli idzie o kult dla twórcy Beniowskiego, to żywił go w niemniejszej mierze i Stanisław Wyspiański, z tą różnicą jedynie, że tragiczna dusza autora Wesela najbardziej lgnęła do tragicznych dzieł Słowackiego, do Króla Ducha i Lilli Wenedy.

O wpływie Lilli Wenedy na twórczość Wyspiańskiego, zdaje się, nie pisano dotychczas. A jednak wpływ ten najwidoczniej odbił się w utworze, po którym spodziewaćby się tego należało najmniej, bo... w Weselu! Czemże bowiem jest cały symbol Złotego Rogu, zgubionego przez Jaśka, jeżeli nie tem samem, czem symbol zgubionej przez Derwida harfy? O tem zaś, czem jest harfa Derwida, wyraźnie mówi Rosa Weneda:

Ojciec mój na tronie złotym stoi
Ze swą harfą, jak ze słońcem czerwonem.
Każdy harfy ton, jak rycerz w zbroi
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch głos każdy leci
I obala z rumaków rycerzy.
Ile strun, tyle wężów wybieży
Z harfy ojca, i oczyma zaświeci
I skrzydłami ognistemi okręci
Wojsko Lecha.

Taka była czarowna moc harfy Derwida. To też, gdy zjawił się bez niej, co odrazu równało się przegranej walce Wenedów z Lechitami, Rosa Weneda wita pełna grozy: „Bez harfy przyszedłeś!“.

O! bogdaj mię piorun,
Bo ty bez harfy przyszedłeś, o królu!
I dziś upadniesz na stos... bez królestwa!

Bo harfa, to było zwycięstwo!

Gdy w Weselu, w słynnej scenie, gdzie Jasiek wpada bez złotego rogu, zgubionego gdzieś u rozstajnych dróg, Chochoł mówi do niego cierpko:

Miałeś chamie złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór...
Ostał ci się ino sznur,

to jest poprostu przetransponowanie na ludową nutę tragicznego motywu powyższej sceny z Lilli Wenedy.

Jak dalece Wyspiański był pod urokiem tej „sofoklesowej“ tragedyi Słowackiego, dowodzi jego Wyzwolenie, gdzie przecież w jednej z najpiękniejszych scen, a stanowczo najpoetyczniejszej, występuje Lilla Weneda we własnej osobie, jako harfiarka, i grając na harfie, „przychodzi śpiewać na zgliszcze“, a jest symbolem poezyi żalu, tęsknoty i zwątpienia.

Na tych strunach nanizanych
Serce moje gram;
Śmiej się do mych lic rumianych,
Duszę twoją znam.

Dusza w tobie się żaliła,
Spostrzegłam ją raz,
Na rozstaju w źródle piła,
Kędy ołtarz-głaz.

U ołtarzam służką była,
Wróżyłam ci wiek.
Dusza twoja w źródle piła
Zapomniany lek.

Hej, wy struny moje złote
Grajcie szumny gaj;
Włosy moje w harfę splotę,
Harfo, duszę graj!

Wprawdzie Wyspiański przeczył temu stanowczo, żeby jego Rapsody o Bolesławie Śmiałym i Kazimierzu Wielkim można nazwać „dalszym ciągiem Króla Ducha", bo z poematem tym tylko formę oktawy miały wspólną, a były poetyckiem uzupełnieniem witraży do katedry na Wawelu; ale mimo to nie da się zaprzeczyć, iż te rapsody, nietylko formę, ale i ton mają najwyraźniej pokrewny z Królem Duchem Słowackiego, iż rapsod o Bolesławie Śmiałym zaczyna się od epizodu, którym kończy się niedokończony rapsod o Bolesławie Śmiałym w Królu Duchu, że we wszystkich rapsodach Wyspiańskiego, bo i w Piaście, i w Henryku Pobożnym, tak samo, jak w poemacie Słowackiego, przemawiają widma królewskie, że każdy z tych duchów — jak w Królu Duchu — sam opowiada swoją historyę. Jednem słowem, czytając te patetyczne rapsody Wyspiańskiego, od pierwszego do ostatniego wiersza, ma się niczem niezachwiane wrażenie, że niezależnie od formy oktawy (dalekiej od doskonałości [illegible] oktawy u Słowackiego, bo chropowatej i często nieregularnej), jest to po prostu naśladowanie Króla Ducha, trochę zmodernizowane, bardzo miejscami — jeśli tak wyrazić się wolno — secesyjne, ale naśladowanie chwilami potężne w locie poetyckim (choć krępowanym formą oktawy), ale chwilami także i nieudolne, ciężkie, bez natchnienia.

Że występująca w Legionie Wyspiańskiego Makryna Mieczysławska zupełnie jest pojętą w duchu Słowackiego Rozmowy z Matką Makryną, to się rozumie samo przez się. Nawet dowodzić tego nie potrzeba. [1])

Zdaniem złośliwego autora Czyśca Słowackiego, nawet w Weselu widoczny jest wpływ dramatów Słowackiego, nietylko w formie wiersza, podobnej do Snu srebrnego Salomei, ale i w poszczególnych postaciach kobiecych. Tylko, że — zdaniem tegoż krytyka — wiersz w Weselu tylko liczbą zgłosek przypomina wiersz Snu srebrnego Salomei, bo jako wiersz, jako forma, nie wytrzymuje krytyki, co w pomienionym pamflecie (równie złośliwym, jak dowcipnym) wyrażonem zostało w następujący sposób à la Beniowski:

Sam Bóg wie tylko, jak mi było trudno
Do tej pokuty, co mi dał, przywyknąć:
Iść co dnia drogą tych wierszy paskudną,
Przeczytać ich tysiące i nie syknąć!

[1]) W nieznanym fragmencie Nocy Listopadowej, ogłoszonym w Przeglądzie Powszechnym, występuje Słowacki (między publicznością) w otoczeniu Satyrów.

A co się tycze różnych postaci kobiecych w Weselu, wzorowanych na heroinach Słowackiego, to biedny Juliusz, skazany w czyśćcu na czytanie dramatów Wyspiańskiego, tak sobie urzewnia przy lekturze Wesela (wierszem i stylem Snu srebrnego Salomei):

Dzieciątko me najmilejsze
W sercu ojca wypieszczone,
Jego ręką w czar strojone!
Tęcze swoje najświetniejsze
Snuł on koło waszej głowy,
Dźwięki, co miał najrzewniejsze,
Kładł w wasze serca i mowy,
Lillo, Salomeo, Dyano!
Tak mi was sponiewierano,
Że was takie... tak udają!
Waszą mowę przedrzeźniają!

To też „duma z ojcowską miłością“ poi się w nim „gorżką żałością“. Inne ustępy Wesela wydają się autorowi Czyśca naśladowaniem długich tyrad Sawy:

Niby to Pafnucy, niby Sawa:
Jego długie bezładne gadania
Widocznie wzięte z ich opowiadania.

„Zły przykład dałem — powiada sam, dręczony w czyścu. Słowacki, — przyjął się; a dobry nie!“ Poczem tak dalej, stylem Snu srebrnego Salomei, wywodzi biedny Juliusz:

Tem, żem darów tych nadużył,
Ja w tych darach rozkochany,
Ja fantazyą kołysany
W tęczach widziałem marzenia
Samą istotę tworzenia.
Unoszony gdzieś pod nieba
Mych wrażeń lotnym powiewem,
Czarowany własnym śpiewem,
Jam zapomniał, że potrzeba
Swoich myśli panem być;
Jak wieszcz, lecz i jak mąż żyć!
Swoimi darami rządzić,
Nie im dać nad sobą rząd,
Dziś, kiedy się umiem sądzić,
Wiem, że to był wielki błąd,

Bo zły przykład wydał plon:
Bo się mnożą ze wszech stron
Moich natchnień kopie blade:
Za siłę mają przesadę,
Dziwactwo zamiast twórczości,
Ciemność zamiast głębokości.
A co zowią swej poezyi życiem,
To jest mych wad nadużyciem.

W dowcipnej rozmowie z Mickiewiczem, na zapytanie wieszcza Dziadów, jak się tu czuje „w tej czyścowej drodze", tak mu się skarży Słowacki:

Bolałem, wiesz, bardzo,
Kiedym myślał, że mną gardzą,
Lecz teraz po ciała śmierci
Źle pojętą admiracyą,
Źle robioną imitacyą
Z moich kwiatów pyłki barw
Kilka dźwięków z moich arf
Porwał jakiś wiatr złośliwy:
Rzucił gdzieś w jałowe piaski
Rzucił w jakiś moczar nizki,
I z kwiatów wyrosły pokrzywy,
A z dźwięków zostały wrzaski
Lub zostały z dźwięków piski,
Echo donosi do mnie przeraźliwy
Wrzask i pisk, zawsze fałszywy.

W ten sposób stwierdziwszy niezaprzeczony fakt, iż poezya polska, nie zawsze szczęśliwie poszła śladami Juliusza, uległa jego „sile fatalnej", stwierdza autor Czyśca Słowackiego równocześnie, iż ta poezya nie poszła ani torem, wytkniętym przez Mickiewicza, ani tembardziej śladami Krasińskiego. Naturalnie, iż wypowiadając to zdanie, dowcipny satyryk czyni to z ironią, przyczem znowu używa formy wiersza Słowackiego.

W apostrofie do Mickiewicza przemawia wierszem Do autora Trzech psalmów:

Czy ty myślisz, ty zuchwały,
Że świeci jasność twej chwały,
Że te twoje Wallenrody,
Tadeusze, Dziady, Ody,
Farysy, Improwizacye
I inne elukubracye
Ludzi dość, jak dawniej, zwodzą
I za poezyę uchodzą?

. . . .

Apostrofa do Krasińskiego, równie dowcipna, znów nosi cechy tego samego stylu: „A ty drugi — wołają Erynnje — siedź mi cicho.

Czas zbyt długi
Uchodziłeś za coś w świecie,
Lecz ten czas się skończył przecie!
Że tam kiedyś twe androny
Te psalmy, te Irydiony
Miały jakiś sukces marny,
A twój lichy wiersz niezdarny
Za coś kiedyś miały osły,
To ci rogi tak urosły,
Że mnie odpowiadać śmiesz?
Usłysz-że, kiedy nie wiesz,
Że ciebie już niema zgoła,
Nie istniejesz, nicość woła
Cię do siebie, i w nicości
Uschną resztki twych istności.

Są to naturalnie wolne żarty, ale ponieważ w każdym żarcie zawsze jest część prawdy, więc i w tym wypadku jedno zasługuje na podkreślenie, iż nawet jeden z najznakomitszych krytyków polskich (bo właśnie takim jest bezimienny autor *Czyśca Słowackiego*) stwierdził niedwuznacznie,[1] że z trzech wielkich romantyków polskich, nie Mickiewicz, nie Krasiński, lecz tylko Słowacki stworzył szkołę w poezyi polskiej, zwłaszcza, gdy idzie o t. zw. Młodą Polskę.

XIV.

Nie odnosi się to jedynie do fenomenalnie utalentowanego Kazimierza Laskowskiego, który — jeszcze należycie nie doceniony przez krytykę — miał dziwną zdolność naśladowania wszystkich stylów poetyckich, począwszy od stylu Mickiewicza, Lenartowicza i Asnyka, a skończywszy na Gomulickim, Tetmajerze i Wyspiańskim (którego *Wesele* znakomicie sparodyował w swym *Pogrzebie*). Oczywiście, iż Słowacki nie mógł stanowić wyjątku w tej regule; przeciwnie, istnieje mnóstwo wierszy Laskowskiego, znakomicie naśladujących różne utwory Juljusza.

Takim jest n. p. „list otwarty" *Do „Pana Brzeżan"* o browarze w Brzeżanach, list satyryczny, o którym dostateczne wyobrażenie da choćby ta jedna strofa:

---

1) Autorem Czyśca Słowackiego był Stanisław Tarnowski, jak to wiem od niego samego, i na co mam dowód w jednym z jego listów do mnie.

101
75

„Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy“.
Tak o Brzeżanach pisał J. Słowacki.
A dziś zapewne w wielkiej tajemnicy
Przed tobą (rozkaz wydał Totumfacki),
Dziś resztę herbów nad zamczyskiem skrobią
I tam, gdzie hetman śnił, tam... piwo robią!

Mistrz formy wogóle, Laskowski nie cofa się przed żadną, a jeśli idzie o oktawy à la Beniowski, albo o sekstyny à la Podróż na Wschód, to żongluje niemi, jak skończony wirtuoz. Oto n. p., jak pisze oktawą, wzorowaną naturalnie na kapryśnościach Beniowskiego:

Śmiać mi się nie chce, a płakać nie mogę:
Nie robię bowiem z uczuć karykatur,
Ale gdy zewsząd zabiega mi drogę
Tyle w frazesie wyszkolonych natur,
Gdy byle żaba dziś podstawia nogę,
Gdy zresztą... zresztą *tertium non datur!*
I ja, gdy taka najwidoczniej era,
Spróbuję sobie zagrać bohatera!

To niezbyt trudne. Za żonglerskie kule
Weź lud, ludowych kilka przymiotników,
Jego pragnienia, zamiary i bóle,
Wyczute z różnych *ad hoc* podręczników;
Potem, westchnąwszy o rękach w namule,
Depcz po grobowcach starych mogilników
I plwaj na wszystko, co za grobów miedzą...
Umarli przecież nic nie odpowiedzą!

Tylko pamiętaj, byś po każdem słowie,
Które na przeszłość śliną jadu bryźnie,
Czy słuchaczami będą młodziankowie,
Czy rzesza starców o srebrnej siwiźnie,
Bracia w Chrystusie, czy bracia w Jehowie,
Z wielkim patosem głosił o Ojczyźnie!
Bo u nas — każdy bezstronny to przyzna —
Na wszelki sposób mówi się: Ojczyzna!

. . . .

Tylko tam w dali, gdzie nie sięgnąć rymem,
W tem, owem „niegdyś“ pod wieków pomroką,
Za niegasnącym słońca baldachimem
Bardzo daleko i bardzo wysoko,
Za gwiazd zorzami, za obłocznym dymem,
Gdzie tylko duchom Pan otwiera oko:
Tam takie echa szlochają tułacze,
Iż serce czuje, że to... Polska... płacze!

A przecież Laskowski, jak Słowacki, śmiało może powiedzieć o sobie:

Sam się rym do mnie miłośnie nagina:
Oktawa pieści, kocha mię sekstyna;

więc i w stylu Grobu Agamemnona nie było mu trudno napisać kilkanaście sekstyn na temat Demokratycznych wrażeń.

„Niech fantastycznie...“
Chciałem w ślad Juliusza
Iść, wołać echem w grocie dobidycznej,
Ale, czy nadto schłopiała mi dusza,
Czy nastrój mamy tak demokratyczny:
Ledwiem marzeniem objął grecki lazur,
„Psiakrew!“ zacząłem kląć, jak ślepy mazur!

To pierwsze słowo nad popiołów urną,
Gdzie się Atrydów przesuwają cienie,
Zbudziło jakąś jawę szarą, chmurną,
Innych grobowców wskazało kamienie
Równie wymownych — jeśli dusza pyta —
Jak te, gdzie czombry pachną, laur zakwita!

Więc do tych grobów, już nie greckim szlakiem,
Już nie w Arachny opowity płótna,
Leciałem, myśli rozpuściwszy ptakiem.
A każda była bardziej grobów smutna,
I bardziej cicha, i bardziej milcząca,
Niż te cmentarze, gdzie brzoza płacząca.

I dużo zeszło chwil w niemym pacierzu.
Zanim się myśli przystroiły w dźwięki;
A nikt mi przecie w szkieletów pancerzu
Nie stanął w poprzek, ani ujął ręki,
Gdym swoje dłonie na mogiłach łamał:
Płakać nie bronił nikt, bo płacz nie kłamał!

Było tak cicho i tak prawie ładnie
W tej ciszy, śpiącej w brzozowych warkoczach,
Że serce, jak ten liść, zanim opadnie,
Czuło łzę każdą, urodzoną w oczach,
Czuło, że upaść ma, goryczą słone,
Duchem z za mogił, jak wiatrem, strącone.

. . . .

A właśnie słońce szło... I jęło świtać
Nad moją głową i nad mogił piaskiem,
I srebrne rosy w złote sieci chwytać
I srebrną ciszę wyzłacać rozbrzaskiem,
Żem czuł przed sobą dwie świecące bryły:
Wschodzące słońce żywe i mogiły!

I nie wiedziałem, która z nich widzeniem?
Bo mię obleciał lęk i płomień wstydów,
Że w tej rosświetli jeden byłem cieniem,
Ja jeden, także potomek Atrydów,
Co również mieli na mieczach kochanie,
Jak tamci, śpiący w pragreckim kurhanie!

O stare groby! Jeżeli wam dano
Powiedzieć sercu, gdy zwątpieniem bije,
Co tam ze starem słońcem pogrzebano,
A co się z nowem odrodzi i żyje:
Toście powinny wszystkie wstać na połać
Iść i co nowe zorze wieszczbą wołać!

Na wzór słynnego listu panny Anieli do Beniowskiego napisał także Laskowski prześliczny, pełen sentymentu List znaleziony, list, pod którym, dalibóg, sama panienka z Anielinek podpisaćby się mogła, pomimo, że nie jest ujęty w formę oktawy.

Piszesz do mnie, bym zapomnieć chciała,
Skoroś inną pojął w życia drogę...
Jabym dla cię duszę wypłakała!
Ale... powiedz, w jakim ukryć grobie,
Jakim serce przywalić kamieniem,
Aby pamięć nie biegła ku tobie,
By się z twojem nie spotkać wspomnieniem?
. . . .
Ale naucz, com zrobić powinna?
Ale naucz, ukaż taki kątek,
Gdziebym mogła się wyzbyć tęsknicy!
Do ostatniej ci oddam z pamiątek!
Do ostatniej łzy oddam z źrenicy,
Ale naucz... Oddam wszystkie kwiaty,
Choćby serce się miało zakrwawić...
I modlitwę będę słać w zaświaty,
I tej drugiej będę błogosławić.

Piszesz do mnie, bym zapomnieć chciała,
By cię dawnem wspomnieniem nie pętać...
Jabym dla cię duszę wypłakała,
Ale pozwól mi chociaż pamiętać...
. . . .

104

Ale pozwól wspólne serca bicia
Chociaż w mojem aż do śmierci nosić?
Ale pozwól... bo to nad me siły!
Bądź ostatniej prośbie litościwy...
Ale pozwól wierzyć do mogiły,
Żeś i ze mną był niegdyś szczęśliwy! 1) przypisek p. niżej

Ale nietylko list panny Anieli pobudził Laskowskiego do naśladownictwa: nawet wierszyk Słowackiego do Zosi Bobrówny odezwał się raz w poezyach El...a wdzięcznęm echem:

„Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi..."
Powtórzę dzisiaj, jak wielki poeta:
Bo każda piosnka, co bym złożył Zosi,
Nie taka będzie, jakbym chciał, i nie ta,
Ani wiązania całego nie powie....
Więc co po pieśniach, gdy mówią w połowie?

. . . .

Niechaj mię Zosia o wierszyk nie prosi...
Bo ja dla Zosi chciałbym wielkiej pieśni!
Dźwięków tak czystych, jak w serduszku Zosi,
Śpiewu, co wszystkie myśli ucieleśni,
Odleje w spiżów hejnał, w zaklęć słowie!
I nie utai nic, wszystko wypowie!

Gdy w roku 1899 obchodzono 50-tą rocznicę śmierci Słowackiego, Laskowski miał wątpliwości, czy mu się godzi stanąć przed trumną wieszcza, a zakłopotaniu temu dał wyraz w formie wiersza Do autora Trzech psalmów, doskonale utrafiając w jego ton.

Z czem mi stanąć u Twej trumny?
Gdybym zdobył się na męstwo
I zagrobne chciał zwycięstwo
Wieścić Tobie! prochu dumny!
Z czem mi stanąć? Z uwielbienien.
Ustrojonem w strofę składną?

. . . .

Jabym nie śmiał u Twej trumny
Giąć kolana z taką danią!
Jak ów z rozśpiewaną krtanią
Zimnych płaczków poczet szumny!
Co usłane oktawami
Po Beniowskich zasiadł gniazda
I chce wzlatać pod gwiazdami
W własnej pysze, jako gwiazda!

1) Listy dalsze, naśladujące list panny Anieli, ciągle pojawiają się w naszej poezyi, naturalnie, że w innej formie: jedne, jak list ks. Laskowskiego, starają się naśladować sentyment listu Anieli, inne znów starają się dorównać Beniowskiemu pod względem impertynenckiego tonu niektórych oktaw. Takim jest n.p. List młodego poety p. Jana Gelli, wydrukowany niedawno w „Maskach" z 1 maja 1918. Oto zacytujemy z niego ustęp:

I nie wiem nawet, czy nie szkoda czasu,
aby ci pisać o tem rymem grackim...
Takeś mi obca kulturą i rasą,
tak ci dalekie są sprawy Parnasu,
choć się w konwikcie kochałaś w—Słowackim!

Nie myśl, że boleść mówi przez me usta
od żądz spękane... Tyś jest „wiecznie inna!"—
Ach, inną tylko jest twoja rozpusta:
rafinowana bardziej i mniej gminna,
ale jednako bezduszna i pusta.

W dowód miłości głębokiej i żartkiej,
w dowód, jak czułe są twe sentymenty,
tobie dość jednej... kropkowanej... kartki...
W kropkach tkwią twoje miłosne pointy
i wyraz treści, w afekcie poczęty.

Powiesz zapewne, że to jest zbyt szczerem,
że uszanować winienem kobietę...
Trudno, nie byłem nigdy bohaterem,
wiem, czem zdobywał panie hofrat Goethe:
pewno nie swoim płaczącym Werterem.

Co w roztruhan po Anhelich
Ckliwych rymów sączy zdrój...
Jabym nie śmiał... Bo to kielich
Z Twego skarbca! Kielich Twój!
. . . .

Ponieważ forma wiersza Do autora Trzech psalmów jest jakby stworzoną do poetycznych polemik, a Laskowski nie miał najmniejszej trudności w jej naśladowaniu; więc gdy raz jakiś niepowołany krytyk wyrwał się, jak Filip z konopi, z twierdzeniem, że poezya właściwie świeci tylko fałszywym blaskiem, że w gruncie rzeczy wpływ jej na losy narodu jest żaden, i dlatego nie należy do niej przywiązywać znaczenia czynu, a zwłaszcza czynu patryotycznego, oburzony podobnym sądem autor Pogrzebu zaprotestował przeciwko temu ironicznie, a uczynił to znów w tonie wiersza Słowackiego:

Ty powiadasz, mój rozumny,
Że pieśń tylko próchnem świeci,
Że gdy z piersi w świat uleci,
Ustrojona w brzmień kolumny,
Wicher za nią ściera ślady,
Rwąc na strzępy liść wawrzynu;
Że tych dźwięków miesiąc blady
Nie ustąpi słońca-czynu!
Ty powiadasz, drwiącą twarzą,
Ukazując wieków pleśń,
Jakbyś pytał: „Niech mi wskażą,
Co i gdzie zdziałała pieśń?“
Ty się pytasz? Więc odpowiem!
Choć nie pójdę na kurhany,
Gdzie śpią dzwonne teorbany...
Dość mi żywych iść pogłowiem,
Między żeńców dość mi lud
I tam spytać cię na łanie:
Zabierz piosnki z chłopskiej „krtanie“,
Czem wyzłocisz znojny trud?

Nie! prawdziwy czyn, ten płodny,
Nie plwa harfom, które dzwonią,
Lecz stalową chyli skronią!
Bo on pieśni pierworodny!
Bo on wstaje, choć słoneczny,
Nie przed jutrznią, lecz po zorzy,
Kiedy pieśni dźwięk serdeczny
Już ścieżaje serc otworzy

I nie depce tych wawrzynów,
Co po matce wziął, jak syn!
Pieśń heroldem jest dla czynów,
Zaś akordem pieśni — czyn!
Ona idzie przodownicą,
Chociaż światłem błyszczy bledszem,
Lecz dla duszy jest powietrzem,
Lecz dla znoju jest krynicą!
Lecz wyzłaca każdy trud
Na ludzkości twardym łanie...
. . . .

Jak Ujejski, Wężyk, Norwid, Miron, Jankowski, Gliński i Tetmajer, podobnie i Laskowski nie zdołał się oprzeć pokusie, by nie napisać parafrazy rzewnego Hymnu Słowackiego o zachodzie słońca na morzu. I nietylko, że się ważył na ten eksperyment, ale uczynił to nawet aż dwa razy, a za którym razem lepiej, rzewniej, poetyczniej, to już niech sam czytelnik osądzi.

Oto pierwsza z tych „transkrypcyj“:

Smutno mi, Boże! Słyszę szept dzieciny...
„Ojcze nasz, mówi, który jesteś w niebie“,
„Święć się Twe Imię“ i „odpuść nam winy“,
Mówi do Ciebie...
Że już to dziecko o coś prosić może,
Smutno mi, Boże!

I ja chłopięciem przed srebrnym obłokiem,
Gdzie złoty trójkąt z białą gołębicą,
Klękałem niegdyś z rozmodlonem okiem,
Ufną źrenicą,
Że dziś, nie patrząc, jeno głowę korzę,
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże! Od Twojego nieba
Do mojej ziemi śnieżne płaty lecą
I po zagonach powszedniego chleba
Zamrozem świecą...
Że siejesz lodem, mając w skarbcu zorze,
Smutno mi, Boże!

I chociaż, stojąc pod Chrystusa Krzyżem,
Co w swe ramiona objął moje pola,
I ja z dziecięcym powtarzam paciérzem:
„Bądź Twoja wola“,
Gdy w samotności myśl u stóp Twych złożę,
Smutno mi, Boże!

Niemniej udaną i poetyczną jest druga „parafraza“, w formie erotyku:

Smutno mi, Boże! Dzieckiem o zaraniu,
Gdym pierwsze słońce ujrzał na błękicie,
Słyszałem piosnkę o wielkiem kochaniu
Na całe życie!
Dziś jednej zwrotki tej śpiewki nie złożę...
Smutno mi, Boże!

A jednak miałem ją całą przy duszy,
Chroniłem w piersiach i zbroiłem wolą,
Tylko przepadła gdzieś w życiowej głuszy,
Stłumiona dolą...
Że jej już serce odnaleźć nie może,
Smutno mi, Boże!

A takbym pragnął, jak wtedy dzieciną
Tą samą nutą napojone wargi
Nad mazowiecką ustrunić równiną
Bez żadnej skargi.
Że myśl już dawnej skiby nie wyorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, jak oracz nad płonnym zagonem,
Nad własnem sercem stoję zadumany,
Bom nie odpłacił spodziewanym plonem
Za chleb posiany.
Czekałem jutra, dziś się jutrem trwożę...
Smutno mi, Boże!

Czekałem jutra i tego kochania,
O którem piosnki podzwaniało echo...
Było i... przeszło bez mocy wytrwania
Pod moją strzechą...
Jeślim ja winien... do stóp Twych się korzę...
Smutno mi, Boże!

XV.

Podobnych „transkrypcyj“. „parafraz“ i „naśladowań“ Hymnu Słowackiego dałoby się w naszych czasopismach wynaleźć sporo, bo od śmierci autora Anhellego aż do chwili obecnej, w czasach pokoju, jak i podczas obecnej wojny światowej, nigdy

nie brakło w Polsce poetów, którym w przystępie minorowego nastroju, pod wpływem osobistych czy ogólnych smutków, wezbrane uczucie samo układało się w strofy, zaczynające się i kończące refrenem: Smutno mi, Boże!

Jedno z takich naśladowań, jedno z udatniejszych nawet, udało się odkryć prof. Wiktorowi Hahnowi w starym roczniku Tygodnika Wielkopolskiego z roku 1871[1]. Wiersz ten, którego autor, podpisujący się pseudonimem Wyklęty, otwarcie przyznaje się w przypisku do zależności od Słowackiego (co zresztą i bez tego odrazu każdemu czytelnikowi rzuciłoby się w oczy), rzeczywiście jest pełen uczucia, a pobrzmiewa echami wojny francusko-pruskiej, grzebiącej wiele nadziei polskich.

Oto kilka jego celniejszych strof:

Smutno mi, Boże! Dla mnie w sercach ludzi
Zbudziłeś miłość, jak ten świt różowy,
Myśl mą rozjaśnia i do czynów budzi
Bratniemy słowy;
Jednak gdy duszę dla braci otworzę —
Smutno mi, Boże!

. . . .

Wśród chrzęstu broni i jęków rozpaczy
Czyż się nie cofniem ztąd, dokądśmy przyszli?
Gdzież się obróci w tym tłumie siepaczy
Gladyator myśli?
Gdy do spraw świata me serce przyłożę —
Smutno mi, Boże!

Nad puste pola i zwalone grody
Wznosisz swe złote słońce, i pokoju
Tęczę rozwieszasz nad grobem swobody
Po krwawym boju!
Że w taki straszny dzień tak jasne zorze..
Smutno mi, Boże!

Marzyłem niegdyś o królestwie Twojem,
Wierzyłem w dzień Twój z Twą ojcowską władzą,
Myśląc, że ludy nie ogniem i bojem
Dzień ten sprowadzą!
Lecz wolność... tylko krwią zdobyć się może!
Smutno mi, Boże!

---

[1] Tygodnik Wielkopolski z dnia 23 grudnia 1871 r., Nr. 52.

W noc cichą, kiedy mrówczy tłum uśpiony,
Śniąc o Twem niebie, zapomniał o zgonie,
Gdy spojrzę w światów błądzące legiony
W bezmiaru tonie;
Gdy wspomnę, że i nad nami rozdroże —
Smutno mi, Boże!

Wszystko nam wziąłeś, co wziąć mogłeś, Panie!
Ale nie na to skarżą się me słowa,
Bo siła nasza znowu zmartwychwstanie
Wieczna i nowa;
Tylko, że na nią czekamy w pokorze —
Smutno mi, Boże!

Że zamiast pracą wywalczać uznanie
I własną siłą zdobywać sztandary,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Łzy i ofiary...
Że wciąż czekamy, aż nam ktoś pomoże —
Smutno mi, Boże!

Jedyny to wiersz polityczny, wzorowany na czysto lirycznym Hymnie Słowackiego.

Ale znalazł się i wiersz humorystyczny, jakby parodya Hymnu Słowackiego. Wydrukowany w akademickiem Ziarnie z r. 1886, a podpisany literami Z. Ł., p. t. Nudno mi, Boże! Jest to złośliwa satyra na kwietyzm i sybarytyzm naszej bogatej szlachty, prowadzącej życie egoistyczne i bezmyślne.

Oto kilka pierwszych strof z tego dowcipnego figliku:

Minęła młodość, jak przemija burza,
Znikła w przeszłości z dobrą w przyszłość wiarą,
I choć mnie bawi, przyjemnie odurza
Dobre cygaro;
Jednak powiadam przed Tobą w pokorze:
Nudno mi, Boże!

Choć mam w kieszeni dochód wielkiej wioski,
Choć mam do usług lokaja i... żonę;
Chociaż zabrały z sobą wszelkie troski
Lata minione;
Lecz jakoś życie już nęcić nie może —
Nudno mi, Boże!

Książek nie lubię, lecz czytam gazety,
I w każdej chwili nad czemś ubolewam;
Dziś gardzę nawet pięknością kobiety —
Cały dzień ziewam.

I co dnia szepczę o wieczornej porze:
Nudno mi, Boże!

Dawniej lubiłem karty, pohulanki,
Lecz dziś na widok ich opuszczam głowę,
Nawet znudziły bardziej, niż kochanki,
Damy kartowe,
I wyznam: jestem zawsze w złym humorze —
Nudno mi, Boże!

Kiedy ma żona narzeka na zdrowie,
Jedziem, zwiedzamy kraje, miasta różne,
Ale, niestety, w każdej mej rozmowie:
Z pustego w próżne,
I widzę wszystko dziś w ciemnym kolorze...
Nudno mi, Boże!

. . . .

W zupełnie innym rodzaju jest Hymn o zachodzie słońca na morzu, napisany w Nizzy w r. 1907 przez Wandę Zaleską, a ogłoszony w swoim czasie w lwowskim „Przeglądzie“ Ludwika Masłowskiego. Jest to wprawdzie „naśladowanie Słowackiego“, ale bezwarunkowo jest to wylew uczuć prawdziwie pięknej i poetycznej duszy. Sama Konopnicka mogłaby się pod tym wierszem podpisać z przyjemnością.

Kocham cię morze! Dla mnie twa głębina
Zaczarowany świat otwiera duszy,
Marzeniu skrzydła mew białych przypina,
Szumem bałwanów chmurne myśli głuszy —
Przed twym ogromem ja dzisiaj się korzę:
Kocham cię morze!...

Jako olbrzymia tafla lazurowa
Odbijasz w nurtach błękit niebios siny;
Gasnące słońce w twe fale się chowa,
Chwieją się gwiazdy na tle twej głębiny;
Cudneś! gdy ranne ozłocą się zorze:
Kocham cię morze!...

Dzisiaj widziałam srebrnopióre żagle,
Jak skrzydła ptaka nad tobą rozpięte...
Chwilę kołyszą się... a potem nagle
Lecą w przestrzenie okiem nieobjęte...
Gdybyż być łódką, co nurty twe porze!
Kocham cię morze!...

Wierszy podobnych, dowodzących, że polska liryka wojenna w swych błagalnych modłach do Boga niejednokrotnie odezwała się w rzewny ton Hymnu Słowackiego, dałoby się wskazać wcale znaczną ilość.

Oto n.p. rzewna modlitwa Marji Majchrowiczówny, którą w sierpniu 1915 roku przyniósł Krakowski „Głos Narodu" p.t. Od powietrza, głodu, ognia i wojny...

Od łun czerwonych, co krwawią nieb ja-
[sność,
i zboża plony niszczą na pól łanie,
co chat ubogich nędzną grabią własność,
wybaw nas, Panie!

Od tego widma, co gwiaździstą nocą
z dziecięcych oczek ciche płoszy spanie
i larwy wlecze, co się w krwi szamocą
wybaw nas, Panie!

Od onej strasznej, trwogę szlącej zjawy,
co głuszy Bożych Aniołów śpiewanie,
a za nią mgli się rój upiorów krwawy,
wybaw nas, Panie!

Od onej strasznej, nienazwanej męki,
którą głąb serca rozrania rozstanie,
co chłonie gorzkie łzy, bezsilne jęki —
wybaw nas, Panie!

Od tej dzikości, co zzwierzęca dusze
i wciąż oddala Narodów Świtanie,
ciemność w krąg ścieląc w burzy zawie-
[rusze,
wybaw nas, Panie!

Od mar ohydnych, co pracy trud znojny
niszczą i plony druzgocą na łanie,
I od powietrza, od ognia i wojny,
wybaw nas, Panie!

Pokrewnym patetycznym nastrojem odznacza się również

następujący wiersz, wydrukowany w marcu r. 1916 w „Kurjerze Lwowskim", a którego autor podpisał się literami „M. Rz.:

Tym, którzy smutni, że ścięte kwiaty
Nie wzniosą główek o jasnej zorzy
I płacząc gorzko tej kwietnej straty,
We łzach witają każdy dzień boży,
Daj wierzyć Panie, że z młodą wiosną
Znów się rozkwiecą życia dni szare
I w kwiaty owe, co z cierpień wzrosną
Wzmóż, Panie, wiarę!

Tym, którzy płaczą łzami cichemi,
Gdy zgaśnie w górze gwiazda płonąca,
Że anioł gniewny skrzydły białemi
Wszystką z szafiru światłość postrąca,
Daj wierzyć Panie, że na błękity
Znów wejdzie słońce, co spędzi marę
I w jutra nowe, jaśniejsze świty
Wzmóż, Panie, wiarę!

Tym, którzy tęsknią po jasnej tęczy,
Gdy się przed nimi za szczyty schowa,
Smutni, że w życiu nie błyśnie więcej
Taka świetlana smuga tęczowa,
Tym daj uwierzyć, że łuk Twój złoty
W tych łzach rozświecisz, co zmyją karę,
Że tęcze wstaną z łez ich tęsknoty,
Wzmóż, Panie, wiarę!

I tym, co trwożni, gdy toń jeziora
Zamąci burzą wichr rozszalały,
Że poszła cichość, co była wczora,
Że mewy białe w dal uleciały,
O, daj uwierzyć, kiedy się chmurzy,
Że gromy ciszysz swym cudów darem,
W ciszę, co wejdzie po onej burzy,
Wzmóż, Panie, wiarę!

I tym, co cierpią, że za Twą wolą
Umiłowani krwią pola roszą
I ran nie pomnąc własnych, że bolą
O ciche chwile dla tamtych proszą;
Daj wierzyć Panie, że przez ich męki
Ty ukochanym szczęścia dasz czarę
I w sprawiedliwość Twej mocnej ręki
Wzmóż, Panie, wiarę!

A tym, co giną na szarem polu,
Brocząc krwią własną śmiertelnej rany
I którzy w życia ostatnim bolu
Widzą w krwi kraj swój i w łzach skąpany;
O tym cierpiącym daj wierzyć Panie,
Żeś krwi ich szczodrą przyjął ofiarę
I w życie nowe, co przez ni[illegible]tanie
Wzmóż, Panie, wiarę!

M. Rz

~~[illegible] 1916 polskie legiony~~

~~it. d. str. 518 (114)~~

dalej z rękopisu do str. 113 (1-6)

Dod. 113. 1. 82

Że ten wpływ „siły fatalnej" poezji Słowackiego nie słabnie nawet w ostatnich czasach, dowodem Pieśń o Ojczyźnie Kornela Makuszyńskiego, wzorowana przeważnie na Beniowskim, a w której autor, wiedząc, ile jest winien, jako poeta, twórcy Króla Ducha, w ten sposób wyraża mu swój hołd (jako jednemu z „patronów oktawy") i uwielbienie:

A ty nasamprzód mi błogosław, lacki
Mistrzu nad mistrze, wśród wielkich—olbrzymie,
Umiłowany, jasny mój, Słowacki!
Sto się wulkanów w twoim pali rymie,
W twej strofie słońce ma swój warsztat tkacki
I nicią złotą twoje przędzie imię,
A w słów twych gąszczu, jakby w gąszczu drzewa,
Chmura słowików skryła się i śpiewa.

Dłonią rozbiłeś słońce na okruchy,
A każdy okruch stał się jedną zwrotką,
I rozkazałeś, by powietrzne duchy
Zleciały wszystkie, śpiewające słodko,
Z pól zbierać jasność, z kwiatów zbierać puchy
I wić poemat, alpejską szarotką
Przetkany czasem, jak gwiazdą, co błyska
Ponad kaskadą, lecącą z urwiska.

Pyszny, jak szatan, który walczył z Bogiem,
Wyszedłeś z nieba chmurny poza bramy,
By nowe niebo stworzyć tuż za progiem,
I nowe piekło z ludźmi twojej dramy;
Polaków w czyściec zagnałeś batogiem,
A sprawiedliwych powiodłeś w Sezamy,
Gdzie słów djamentem są wybite wrota,
A skarbca strzeże rymu żmija złota.

Kochanka twoja jedna jest: oktawa,
Złocistowłosa, jak grecka królewna,
Która jest czasem, jak anielska zjawa,
Jak srebrna cytra czasem tak jest śpiewna,
A nieraz nocą, jako Judyt krwawa,
Piorun zażegnie w oczach, gdy jest gniewna,
A nieraz, gdy się łez napoi zdradą,
Ma chrystusową twarz, niezmiernie bladą.

A czasem twarz ma znów luciferową,
Podobną gwieździe, co śmiertelnie błyska,
Czasem nad swoją księżyc niesie głową,
Co trupom w bagnach świecił uroczyska,
A nieraz w pysze z warg swych ciśnie słowo,
Co z hukiem leci, jak głaz z osypiska,
Że się na polskiem niebie słońce ściemnia,
Gwiazdy drżą w lęku i drży w trwodze ziemia.

A gdy na rymie, jak na Bucefale,
Heros po dolę swoją jedzie boski,
To jakby jechał po niebios powale
I przez gwiazd grudę pan August Beniowski,
Bo krew wytryska w ziemi, ogień w skale,
Koń brylantowe z kopyt miecie zgłoski,
A wśród tej djablej przez kurhany jazdy
Strofa się w miesiąc zmienia, rymy w gwiazdy.

Oktawa ogniów błyska się ukropem,
Rymów tak osiem gra, jak pieśń organna,
Kiedy tłum ludzki pod kościelnym stropem
Zakrzyknie Bogu polskiemu: hosanna!
A dźwięki lecą i lecą potopem,
Aże zdumieje się Najświętsza Panna
I Bóg zdumieje, słuchając tych wierszy,
Od dnia stworzenia chyba po raz pierwszy.

Rozumiał bowiem przedtem, że Polakom
Los zabrał wszystko, co był zabrać w stanie,
I kazał gniazda zburzyć im, jak ptakom,
A zapomniany anioł spał w kurhanie,
Co teraz chodzi ku gwiaździstym szlakom
I zrywa gwiazdy na niebieskim łanie,
Potem je w strofy, jakby w wieńce, wiąże,
Piękny, jak szatan,—rozrzutny, jak książę.

Kręgiem je ciska na wiślane wody,
A gdy jest smutny, plusku fali słucha,
A gdy jest mocen, śpiewa pieśń swobody,
Na włosach wichru gra, gdy noc jest głucha,
Albo zwołuje duchów chorowody,
Którym krew z serca ciepłą strugą bucha,
A wtedy naród w milczeniu przyklęka
I krwią się dawną jego krzepi męka.

Jakoż więc teraz w sercu się ośmielę,
Lepić me strofy z miałkiej ziemi gliny,
Po tym, co w słońcu je kuł, archaniele
I w gwiazd ogrodach swoje rwał wawrzyny?
Jedną mam tylko bladą skrę w popiele,
Więc jeśli on mi pomoże—jedyny,
Wtedy się jeszcze zmienię w wojny barda,
Bo choć zły rym mój, dusza we mnie harda

kartach historyi nowoczesnej Bułgaryi. Wstrzym
ły je opór Rosyi, może więcej jeszcze post
py sprzymierzeńców bułgarskich Serbów i Gr
ków, na terenie Macedonii. Okazało się, że d
Bułgaryi teatr walki tracki, na którym walczy
i okrywali się wawrzynami pod Kirk-Kilisse, p
Lule-Burgas, był terenem tylko pobocznym,

W PRACOWNI

CAR FERDYNAND I i BUŁGARZY.



Od kryzysu r. 1886 Bułgarya wyzwoliła się pod opieki Rosyi, zato pozostawała pod dyktaturą Stambułowa, człowieka o silnej ręce i wardych rządach.

Jemu zawdzięczał swój tron Ferdynand, ks. sko-koburski, który, będąc młodym oficerem armii austryacko-węgierskiej, został upatrzony rzez regentów (w tej liczbie i Stambułowa) na astępcę ks. Aleksandra Battenberskiego i jednoyślnie wybrany księciem przez „sobranje" (w lipu 1887 r.).

Stambułow, sam zachodnio-europejczyk, ogląał się w swych rządach na zewnątrz na pańtwa trójprzymierza, po części Anglię, zato na ewnątrz uprawiał ucisk na sposób wschodni i rześladowanie przeciwników politycznych (jak Karawełowa), posunięte aż do okrucieństwa.

Stąd, mimo postępów ekonomicznych i kulralnych, jakie Bułgarya pod jego rządami czyiła, osoba pierwszego ministra wkrótce stała się ienawistna nietylko rzeszom ludności, lecz i dla mego księcia Ferdynanda, któremu Stambułow arzucał swą wolę.

Ks. Ferdynand okazał się władcą ambitnym politykiem również w środkach niewybrednym. dy się przekonał o tem, że osoba Stambułowa ać ma na drodze do porozumienia nietylko większością narodu, ale i z mocarstwami zaranicznemi, protektorką Bułgaryi — Rosyą i wierzchniczką księcia—Portą Ottomańską, pozbył ę go bez wahania (w maju 1892 r.), oddając ietylko władzę w ręce jego przeciwników—ru-

W tym samym miesiącu (pod koniec r. 1918), gdy „Tygodnik illustrowany" ogłosił pierwsze oktawy Makuszyńskiego, ukazał się w „Świecie" fragment z poematu Hanny Zahorskiej o piekle polskiem współczesnem, poprzedzony objaśnieniem autorki, iż „Młody poemat ten opiewa, jak znany z poematu Słowackiego Piast Dantyszek hetman Leliwa oprowadza autora po współczesnem piekle polskiem, ukazując ojczyzny plamy i rany." ~~Fragment~~ Że zaś ~~fragm~~ ~~poemat nasz pisany jest ok. Dant., więc~~ ta nowa inkarnacja Piasta Dantyszka pisana jest oktawą, wyraźnie wzorowaną na oktawach Beniowskiego, więc podwójny w tym wypadku wpływ „siły fatalnej" poezji Słowackiego nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Oto kilka charakterystycznych oktaw z tego Piekła polskiego utalentowanej poetki:

I rzekł Leliwa: — Otoś widział pęta
Srogie, żelazne i rdzawe łańcuchy,
Lecz w nich narodu wola nieugięta
Przetrwa, jak bujne pędy czas posuchy.
I są łańcuchy złote: ich ponęta
Okuwa stokroć gorzej słabe duchy
I dla narodu są, jak kłos przegniły...
Wtedyśmy na wschód szli, jak do mogiły.

8.

Pośród miast obcych ciche tętno zdradza,
Że polskie serce tutaj drży i bije,
Chociaż je klątwa obczyzny zaczadza,
Chociaż już nie wie dobrze, zkąd jest, czyje.
Tu nie niewola, tu bogactwa władza
Wkłada swe mocne obroże na szyje.
Oto tam jeden przed murami huty
Siedzi, łańcuchem ze złota przykuty.

Czasem mu jeszcze Ojczyzna się marzy,
Wierzby jej krzywe, zroszone rozłogi,
Łza rozczulenia stoczy się po twarzy...
Och, te sinawe na borach sreżogi.
I słońce, co się jak monstrancja jarzy...
A tu dokoła żywioł taki wrogi...
Takby się zerwał, leciał w kraj ojczysty...
Lecz sto tysięcy — roczny dochód czysty?

Kto się bogaci, ten i kraj wzbogaca,
Mocny, och, mocny jest łańcuch ze złota...
Duch wyszedł z kraju, pieniądz tam nie wraca,
A tutaj życie sieć pajęczą mota,
Z rodzinnych skarbów wciąż się coś zatraca,
Bledniej serca płomieniste vota
I wciąż je grubszą pleśń i rdza powleka,
Czyniąc maszynę z żywego człowieka.

I już niejeden Matki się wypiera:
Ludzie tu dobrzy, a ten kraj nas żywi,
Niechże wraz z pracą i duszę zabiera,
Tu jest Ojczyzna, bo tuśmy szczęśliwi,
Tu jest szeroko, gotowa karjera,
Idziem, gdzie łatwiej i kogóż to zdziwi,
Że każdy z kraju takiego ucieka,
Gdzie ból i nędza czyha na człowieka.

Nagle na drodze wiodącej do miasta
W mgłach cień olbrzymi jakiś zamajaczył;
Cudna, w welonie żałobnym niewiasta...
Prócz nas, nie było, kto by ją zobaczył...
Wołała w przestrzeń: — Wróćcie, kraj urasta,
Czas, by wam wszelkie przewiny przebaczył.
Wróćcie! Kraj pusty, przeorany wojną,
Chce mieć drużynę w miecz i pługi zbrojną.

Rzućcie skarb, z obcej wyorany roli,
Rzućcie już obcy Babilon rozgwarny,

4.

84

Wróćcie z przestworów w cieśnię mej niedoli,
Dam wam trud ciężki i kęs chleba czarny.
Obceż wam piękno mojej aureoli?
Zmieńcie w świątynię ten dół mój cmentarny,
Niech się duch polski więcej nie poniża,
Hańbą największą: ucieczką z pod krzyża.

W tym samym czasie, gdy te ustawy drukowały się w Warszawie, umierał w Szwajcarji (w listopadzie 1918 r.) młody, ~~[illegible]~~ prawdziwy i z Bożej łaski poeta, Tadeusz Nalepiński; a gdy zajrzano do jego teki pośmiertnej, znaleziono w niej, obok całego szeregu poezyj filozoficznych, metafizycznych, także ~~[illegible] erot[illegible]~~ płomiennych, namiętnych erotyków, i wśród nich jeden, niewątpliwie najpiękniejszy ze wszystkich tych „ostatnich wierszy", w formie Listu do... ukochanej, ~~jest~~ pisany oktawą à la Beniowski, jest przepysznem naśladowaniem słynnego listu panny Anieli, z tą różnicą jedynie, że w poemacie Słowackiego list pisze zakochana w Zbigniewie dziewica, podczas gdy Nalepiński pisze zawrotny list zakochanego w „dziewczynie" młodzieńca, bodaj dekadenta. Oto znany list, wydrukowany w Krakowskich „Maskach":

5.

Że przyjdziesz do mnie — skąd, jak, wszystko jedno —
wierzyłem, czułem przez długie miesiące.
Nie tak o świcie krwawe gwiazdy bledną,
i nie tak rosa perli się na łące,
jak oto nagle duszę moją biedną
rozróżowiło, rozperliło słońce,
kiedy stanęłaś — nieśmiała i cicha —
kwiat, zasłuchany w sen swego kielicha.

Przyszłaś Ty do mnie, półsenna, niepewna,
lecz z duszą ufną, że kwiata nie skoszę.
Jakaś nas fala porwała rozlewna
i na tajemne poniosła rozkosze —
i pędzi z nami, to huczna, to śpiewna,
pieści, przeraża, i bawi potroszę...
Jak dwa rozbitki trzymając się w pół,
nie wiemy nic, na wątłem pędząc czółnie...

Rzeki, jeziora, czy morza?... Któż zgadnie,
jaka nam podróż sądzona, dziewczyno?....
Nurt nasz spieniony, nie wiemy, co na dnie,
bo czarodziejską płyniemy doliną,
kędy się tęcza, jak most wpoprzek kładnie,
a fale, szemrząc ponoszą nas, płyną —
I nikt — i nic — nas dwoje... Tylko gwiazdy,
świadcząc, zazdroszczą nam szalonej jazdy.

Nikt — nic — nas dwoje. Wie to jeden Allach,
kędy lecimy, gdzie się nasz lot skończy?
Napróżno wzrokiem czytać wyrok w falach,
napróżno myślą prąd prześcigać rączy —
jeszcze daremniej, w przeczuciach i żalach
dusze spowijać, jak w czarnej opończy —
Dziewczyno!.. Tobie to mówię!... Bo w mojej
duszy wyczytasz, że się fal nie boi.

I jeśli trwożnie i smutnie odpycha
dłoń ma gałązki i wybrzeżne ciernie —
wiedz, że nad Twego czuwam snem kielicha,
bom to zaprzysiągł i dopełniam wiernie,
bo wiem, że lżej Ci pierś przez sen oddycha,
bo wiem, że jawa gniecie Cię bezmiernie,
ilekroć czółno w strumyk wpada wązki...
...Dlatego trwożnie odpycham gałązki...

Lecz jeśli dojrzę w potępionej chwili,
że duszy Twojej jawa nie przeraża,
że oczy mówią: „bodajśmy wrócili" —
i kusić brzegiem pragną mnie, żeglarza —
o wiedz, nie jestem ptakiem, który kwili,
ani mię gniazdo zaciszne rozmarza...
Jeden mi los — czy z Tobą w nurtach zginąć,
jeden mi los — wolnemu w bezkres płynąć!...

I to Ci mówię: choćbyś mię rzuciła,
gdy, zapatrzony w dal, u steru zasnę,
choćby Cię jaka miłosierna siła
przeniosła z fal w domostwo dawne, ciasne -
tęsknota za mną będzie się sączyła
we wszystko, co Ci dawniej było własne
i tylko Twoje!... Bo jedne nam szały
na jednej fali prawdę zwiastowały...

Ja to wiem, droga!... Żal mi duszę targa,
nie, że Cię stracić w każdej chwili mogę,
lecz, że Ty błota nie widzisz, co szarga
w powrotnej drodze — i patrzysz w tę stronę!...
Więc mi się z ust serdeczna zrywa skarga,
bo nadaremnie chcę zażegnać trwogę,
i patrzę w gwiazdy, niespokojny, blady,
łódź odpychając od brzegu — od zdrady.

Błogosławiłem raz Tobie — i Ciebie.
Błogosławiłem... och, i nie tak dawno!...
Wierzyłem wówczas, jak w słońce na niebie,
jak w gwiazdę swoją, przewodnią i sławną,
co się żeglarzom zbłąkanym w potrzebie
jawi, wspaniała, dumna, że jest jawną!...
Oto się chwiejesz... czyżbyś była mylną?...
Jeśli tak — zgaśnij! Ja chcę kochać silną.

Kocham, i kochać nigdy nie przestanę
te, co mię w mroku prowadzą, jak brata,
poprzez jeziora i morza nieznane,
za oceany, hen za krańce świata...
Kocham te śmiałe i niepokalane,
żadna mi dla nich zbyt zuchwała strata —
ani tęsknotę za niemi odegnam.
Hojnie je kocham i czczę. Inne żegnam.

Gdy w Wersalu trwały się rokowania pokojowe, gdy w ~~Niemczech~~ republikańskich Niemczech Kanclerzem państwa był Scheidemann (dawny zecer), a ex-cesarz Wilhelm bawił na wygnaniu w Holandji, jedno z naszych pism humorystycznych zamieściło następujący Testament polityczny Wilhelma II., przesłany z Holandji na ręce Scheidemana. Jako dowcipna trawestacja Testamentu Słowackiego, jest to rzecz nie bez wartości literackiej.

Żyłem z wami, niszczyłem, rabowałem z wami,
nigdy mi żaden zbrodniarz nie był obojętny,
dziś was rzucam i do Holandji jadę z bogactwami,
a że mi tu dobrze było, jadę smętny.

Choć zostawiłem tutaj jednego dziedzica
dla mej korony i mego imienia —
uciekł mój Kronprinz jako błyskawica;
dziś „Kaiser" to dźwięk pusty, w przyszłe pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
żem na rabunkach spędził me cesarstwa lata.
Póki Hindenburg walczył, ja stałem na maszcie,
a gdy przegrał, nie chciałem już czekać na kata.

Ale kiedyś, o smętnych losach zadumany
mojej możnej dynastji, przyzna kto szlachetny,
że płaszcz ten, co mnie zdobił, był tak zrabowany,
jako berło, korona i jak mój tron świetny.

Niech moi jenerali w nocy się zgromadzą
i koaliantów wszystkich spalą w aloesie,
a potem niech koronę mi znowu oddadzą,
a Ludendorf niech mi berło i tron mój odniesie.

Niechaj wspólnicy moi siądą przy puharze
i zapiją wesoło swą dzisiejszą biedę:
jeśli bać się nie będę, to się im pokażę;
...gdybym nie mógł paszportu dostać, nie przyjadę...

Lecz zaklinam: dworacy, nie traćcie nadziei,
i przed narodem nieście mej sławy kaganiec,
a kiedy trzeba, na śmierć idźcie po kolei,
by na nowo tyranji mej usypać szaniec!

Co do mnie, zostawiam ogromne zapasy
żywności na mym zamku, którem zebrał w wojnę,
są tam tłuszcze, konserwy, mąka pierwszej klasy,
bo nad tem pracowałem cztery lata znojne.

Kto drugi „Mittelmächte" wygładzać się zgodzi —
jeść, a taką obojętność jak ja mieć dla świata?
być sternikiem żywnością napełnionej łodzi
i tak prędko uciekać, jak duch, gdy odlata?

Jednak została po mnie ta pamięć fatalna,
że trup Niemiec i Austrji Europę zdobi.
Kontrybucja was będzie gniotła namacalna,
aż was wszystkich, krzyżacy, w aniołów przerobi!

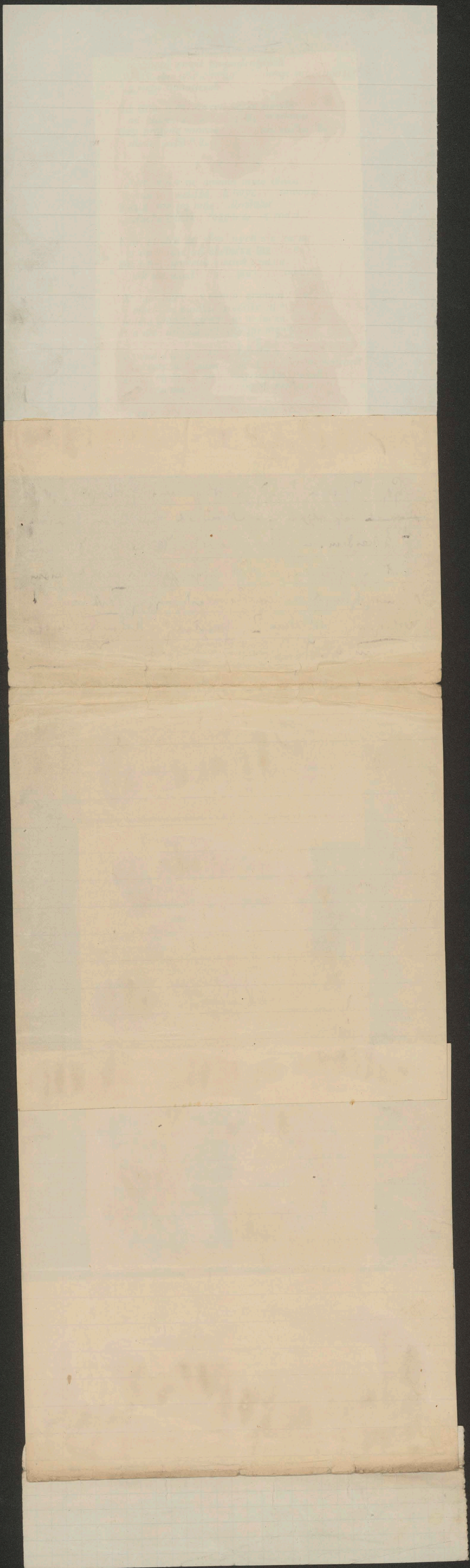
— — — — — — — — —

— — — — —

dalej z druku str 113

Nic to jednak [illegible] wpływ „siły fatalnej" Słowackiego na poezję polską drugiej połowy XIX i początku XX wieku.

~~1.) Gdy w listopadzie r. 1918 zdała się ostatecznie Galicja wolną od austrjackiej opieki, jedno z pism humorystycznych krakowskich wydało specjalny numer, poświęcony Austrji, [illegible], [illegible] ~~[illegible]~~ parafrazując Juljuszowe „pomarł narodów kat, i papież opłakał ~~[illegible]~~ [illegible] parlamentarzem ale [illegible] gotów! Świat: narodów kat i [illegible]!"~~



Żem często stała nad twoim obszarem,
Dumając długo w tęsknoty godzinę,
Tyś oczy swoim upoiło czarem,
Tak, że dziś z tobą już sercem w dal płynę...
Na senne fale myśl tęskną położę —
Kocham cię morze!..

Ty weź te myśli mojej biednej głowy,
Kołysz je, kołysz aż do ukojenia,
Niechaj niepomną już raz ludzkiej mowy,
Zatop je w słodką nieczułość milczenia;
Ja się tych myśli już sama dziś trwożę,
Kocham cię morze!

Kazano sercu iść w życie przebojem,
Stłumić jęk bólu na ustach powstały...
Więc gdy dzień każdy jest walką i znojem,
Gdy rwie się w pętach mój duch oszalały,
Zranione serce przed tobą otworzę —
Kocham cię morze!...

Na pierś twą, cicho dyszącą, w tęsknocie
Upadam, życiem zawiedzione dziecię...
Hen — tam... zachody rozśmiały się w złocie,
I Anioł Zmierzchów przeleciał po świecie...
Zdejm myślom moim gniotącą obrożę!...
Kocham cię morze!...[1]

Gdy w końcu wybuchła wielka wojna europejska, gdy cała ziemia polska od Lwowa po Wilno stała się głównem polem walk z Rossyą, gdy w skutek tego na kraj spadły tysiączne klęski, wydarł się z piersi młodej poetki z Mińska, Lili Małeckiej, następujący, rzeczywiście natchniony psalm, z błagalną prośbą o zmiłowanie.

Że się w pożarach rozgorzały strzechy,
I krwawa łuna świeci od płomienia,
Że znikąd nie ma rady i pociechy,
Ni wspomożenia...
Że się po ziemi krew rozlała w morze,
Zmiłuj się Boże!...

Że nie wiem, jakie że krwi będą plony,
I śmierć po ziemi niesie tylko zguby,
Żeś, Panie, krwawe powyznaczał zgony
I ciężkie próby...

---

[1] Przegląd z dnia 14 marca 1908 r.

Że dzisiaj rozpacz — to życia podłoże,
Zmiłuj się Boże!...

Że ziemia polska poorana w szmaty,
Zburzone miasta w gruzy i kamienie,
Że w popiół polskie obrócono chaty,
Zabrano mienie...
Że dzisiaj Polska — to śmiertelne łoże,
Zmiłuj się Boże!...

Że się po ziemi rozszlochała męka,
Zadana rana krwawi się i pali,
Że straszna zmora serca ludzkie nęka,
I w łzach się żali...
Że myśl człowieka wyszła na bezdroże,
Zmiłuj się Boże!...

Że nie wiem, gdzie jest Twoje zmiłowanie,
I kiedy wreszcie przyjdzie dzień po burzy,
Że się w błaganiu próżno korzę, Panie,
U Twych podnóży...
Że skarga biegnie z ust o każdej porze,
Zmiłuj się Boże!...

Że wzrosły w ziemię krzyże i mogiły,
I osłabiona dusza w nas się słania,
Że cierpieć więcej już nie mamy siły,
Ni wytrzymania...
Że ciężej, Panie, już nam być nie może!
Zmiłuj się Boże!...[1])

Gdy w roku 1916 polskie Legiony znalazły się w Warszawie, a nie spotkały się ze spodziewanym entuzyazmem, gdy Legioniści, w obec szerokotorowej oryentacyi większości społeczeństwa w Syrenim Grodzie, z każdym dniem coraz bardziej zaczęli tu czuć się nieswojo, — jeden z nich, z duszą poety, tak sformułował swój warszawski nastrój:

Smutno mi, Boże! Tyś mi tak łaskawie
Dozwolił oto w Legionów mundurze
Zabłysnąć sławą dostojną w Warszawie
W dziejową burzę...
Lecz choć marszrutę, menaż mam i łoże...
Smutno mi, Boże!

---

[1]) Wiersz ten, ogłoszony w jednem z pism polskich, wychodzących w Rossyi, przedrukował Kuryer Lwowski w r. 1915.

Gdy w roku 1916 polskie Legiony znalazły się w Warszawie i t.d.

I smętny chodzę z pochyloną głową,
Syty już rautów, a próżen ambicyi...
Ten biada: Lepiej wstąp pan do P. O. W.,
Ów: Do milicyi!
Że tak nikt ziomkom dogodzić nie może...
Smutno mi, Boże!

Jestem już prawie człowiek obłąkany
Po stu dyskusyach i przed stu drugiemi.
Przeciw mnie lecą neutralne barany
Stady całemi.
Że ich tak mnogo na polskim ugorze —
Smutno mi, Boże!

. . . .

Mówiłem wczoraj spotkanej syrenie:
„Czy chcesz koroną przystroić oblicze?“
„Idź precz — odrzekła, — puste masz kieszenie!
Ja — w rublach liczę.“
Nim się przed rublą wielkością ukorzę —
Smutno mi, Boże!

Na tęczę wystaw, którą tak ogromnie
Kupcy warszawscy w sklepach rozpostarli,
Będą bogacze, patrząc nieprzytomnie,
Z łaknienia marli...
Nim dni i myśli nowych wzejdą zorze —
Smutno mi, Boże!

Nie tu jednak kończy się wpływ „siły fatalnej“ Słowackiego na poezyę polską drugiej połowy XIX i początku XX wieku. Bo niedość, że ten wpływ tak widocznie odbił się na tak licznych utworach naszych poetów w ciągu ostatnich lat 60-ciu (a liczby tych utworów wcale w studyum tem nie wyczerpałem); ale nadto istnieje ogromne mnóstwo dzieł poetyckich, napisanych na cześć Słowackiego, dzieł, w których autor Anhellego jest sławiony, jako wieszcz narodowy, jako natchniony „syn królewski“, jako apostoł demokracyi, a czasem nawet i jako Król Duch wcielony.

Z utworów tych, między którymi nie brak i rzeczy pierwszorzędnych, ułożył w r. 1910 prof. Wiktor Hahn całą „antologię poetycką“ p. t. Juliusz Słowacki w poezyi polskiej. W ten sposób powstała książka *in 8⁰*, o 245 stronicach, zawierająca utwory *95-ciu* poetów polskich!

Podobnym kultem nie może się na Parnasie polskim poszczycić żaden z naszych wielkich poetów.

Jednem słowem, sprawdziła się dumna przepowiednia Juliusza, gdy w V. pieśni *Beniowskiego* przewidywał swój tryumf w przyszłości, gdy, nakłaniany do pójścia wspólną drogą, wolał iść własną, przekonany, że to jest kierunek, w którym pójdzie rozwój poezyi narodowej.

Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną!
Pójdę gdzieindziej! i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce, przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał!
Ja go powiodę, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie,
W me imię będzie krew i łzy wylewał,
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

Pisząc te dumne słowa, okazał się Słowacki jasnowidzącym, bo wszystko stało się dosłownie tak, jak to był przewidział w chwili natchnienia. Bo nietylko poetom dał „łabędzie głosy“, gdy opiewali miłość, a gdy pragnęli gromić, dawał im pioruny; ale gdy w roku 1863 naród „chciał płonąć“, on go, nie kto inny, „rozgrzewał“, w jego imię Polska wylewała krew i łzy. Rzeczywiście „lud poszedł za nim“.

A z ludem razem poszli i poeci, wszyscy prawie, jak jeden mąż! [1])

---

[1]) Niektórzy szli w tym względzie nawet tak daleko, iż Kazimierz Laskowski nie bez cienia słuszności zarzucił im nadmierne posługiwanie się natchnieniami Słowackiego i lękał się:

Abyś odczuł pod kamieniem,
Że cię kradli i dziś kradną!
Że natchnienie złotouste
Twojej schedy, dzisiaj łup,
Nicowany w dźwięki puste!

Ferdynand Hoesick.

(Dokończenie nastąpi.)

dla niego, jako dla poety i artysty, — jest też ze szkodą dla literatury pięknej. Bo jak z jednej strony nie sposób nie pochwalić podniosłości myśli szlachetnej, tak znów z drugiej nie można niewytykać jednostajności, przechodzącej w monotonność, a także zaniedbania się pewnego samego twórcy, który więcej wagi do treści przykładał, niźli baczył na to, że poezya jest sztuką, gdzie Piękno wielkie i czyste ma również swoje prawa.

STANISŁAW LAM.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

88

115

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Dokończenie)

XVI.

A to samo uczynili i najznakomitsi prozaicy, z Sienkiewiczem na czele! O wpływie, jaki Słowacki swą poezyą wywarł na polską prozę ostatniego 50-lecia, pięknie i głęboko pisze prof. Tretiak w swej znakomitej monografii o Słowackim: trudno w tej kwestyi powiedzieć więcej i lepiej. „Poezya Słowackiego — pisze Tretiak — była szkołą muzykalności i malowniczości języka dla nowszych poetów naszych od Asnyka do Wyspiańskiego, a i znakomitsi powieściopisarze nasi od Sienkiewicza do Żeromskiego wiele zawdzięczają tej szkole, jako koloryści. I jak poezya Kochanowskiego, przez trzy wieki nieprześcigniona, aż do czasów Mickiewicza była najwyższym, zbyt często, niestety, zaniedbywanym wzorem języka i wiersza polskiego, tak i poezya Słowackiego, ten „posąg, co błyska skrami“, „lśni, jak mozajka, śpiewa, jak słowiki“, będzie niewątpliwie na długie czasy dla piszących po polsku najwyższą artystyczną szkołą języka polskiego. Ale byłoby niesprawiedliwie dodatni wpływ poezyi ograniczać tylko do formy... Słowacki łudził się, gdy wierzył, że jego Genesis z Ducha

jest alfą i omegą świata, że od jej poznania i powszechnego uznania zależy zbawienie narodu i ludzkości; ale to, że jego fantazya chciała ogarnąć wszechświat, przeniknąć wszystkie tajniki przyrodzenia, odnaleźć się na wszystkich szczeblach rozwoju życia przyrody i widzieć w niej jedną rodzinę, dążącą do swego Ojca, źródła wiecznej miłości i prawdy: ten zamiar, ten wspaniały rozmach skrzydeł jego fantazyi, choć z Ikarowym miał spotkać się losem, rozszerzał jednak horyzonty naszej poezyi nieskończenie i otwierał przed nią nieznane dotychczas drogi. Ów zaś węzeł głębokiej sympatyi, który go wiązał z przyrodą, i dzięki któremu mógł on stać się nieporównanym tłumaczem jej piękności, oddziałał z ogromną siłą na pogłębienie poczucia natury u naszych poetów, a może więcej u nowelistów i powieściopisarzy z ostatniej ćwierci wieku. Nie wspominając innych, dość wymienić Sienkiewicza, Orzeszkową, Sieroszewskiego, Żeromskiego, aby uprzytomnić tę różnicę, jaka zachodzi w pojmowaniu natury między dawniejszem pokoleniem nowelistów naszych, któremu przewodniczyli Kraszewski i Korzeniowski, a nowszem, które się już kształciło pod wpływem poezyi Słowackiego.“

Najwidoczniej i najświetniej odbił się wpływ ten na twórczości Sienkiewicza. Wszystko bowiem, co Słowacki wprowadził nowego do języka i poezyi, autor Trylogii zużytkował w swej epickiej prozie. Szczególniej, gdy idzie o polszczyznę, o jej kolorystyczną barwność i zdolność suggestyjną. Pod tym względem był Sienkiewicz jednym z pierwszych, który się na tych artystycznych pięknościach i zaletach języka Słowackiego poznał i przejąć niemi potrafił. A że to sobie, olśniony poezyą Juliusza, uświadamiał doskonale, tego dał dowód w swej mowie przy odsłonięciu pomnika Słowackiego w Miłosławiu, w której przedewszystkiem na język poety położył nacisk. „Zdawać się mogło — mówił tam między innemi, — że po Mickiewiczu i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt nie potrafi jej przysporzyć. A jednak znalazł się poeta, który to uczynił... mianowicie Słowacki. Tak jest. On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających brylantów i obsypał i przyozdobił niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w nieznanym dotychczas przepychu, blasku i majestacie, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się

kolana ludu i chylą czoła, jak oni przed harfą Dawida. I oto część jego chwały, jego zasługi, jego wielkości. Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą się pytały ze zdumieniem i podziwem, jak zdołał i mógł to uczynić. A przecie uczynił! Zdołał, bo poezya w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko umarłym na nic skarby i klejnoty. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej, co się ma najdroższego, w ofierze; ta zaś królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna.“

Pierwszem pokoleniem, które obficie czerpało z tych skarbów poezyi Słowackiego, była właśnie generacya, do której należał Sienkiewicz, tym zaś, którego te skarby wzbogaciły najbardziej, był niewątpliwie autor Quo vadis.

Jak wcześnie Sienkiewicz był już pełen uwielbienia dla Słowackiego, a zarazem jak wcześnie był już pod wpływem autora Beniowskiego, dowodzi chociażby jego list do Konrada Dobrskiego, datowany d. 28 września 1865 r., a zawierający już taki ustęp z powodu pierwszych prób literackich: „Bijąc w to, że to jest pierwszy utwór młodocianego autora, powtórzę w takim razie za Słowackim: Krytykom, jak psom, rzucam parę kości... z Beniowskiego mądre słowa; ale trudno się czasem do nich zastosować, zresztą powiedzieć je może tylko ten, kto ma śmiałość wyrzec: Ja syn pieśni, syn królewski...“ We dwa lata potem (a w rok po wydaniu przez Małeckiego Pism pośmiertnych Juliusza) napisał Sienkiewicz, jako student Szkoły Głównej, poemat wierszem, którego wprawdzie nie dokończył nigdy, który jednak rozpoczynał się od następującej aluzyi do Beniowskiego i jej autora:

Sam nie wiem, jak mam weną poetycką władać,
Jak wiersze, strofy, zwrotki i rymy układać:
Czy, szanując pojęcia w sztuce prawidłowe,
Ubrać swe myśli w szaty trzynastozgłoskowe,
Czyli też, Słowackiego zachwycony sławą,
Porzucić heksametry, a pisać oktawą...

„Zachwycony sławą Słowackiego“ Sienkiewicz, przez całe życie był jego gorącym wielbicielem, o czem najłatwiej mogli przekonać się ci, co z nim mieli sposobność rozmawiać o literaturze, poetą bowiem, o którym zawsze mówił najchętniej (po za Szekspirem i Homerem), był Słowacki; utworami zaś, z których całe ustępy umiał cytować z pamięci, o których czynił różne cenne uwagi, były szczególniej Beniowski i Lilla Weneda. Wszyst-

kie chóry z Lilli Wenedy umiał na pamięć, a wiersz „błyskawicowych chmur rzygnęły płuca“ cytował zawsze, jako przykład, jak nawet wyraz wulgarny może się stać patetycznym, jeśli jest umiejętnie użyty przez poetę. Z postaci Lilli Wenedy najbardziej mu się podobała realistyczna figura Ślaza, którego wszystkie, nawet najdłuższe przemówienia, recytował z pamięci, a który niewątpliwie jest też praszczurem Rzędziana w Ogniem i mieczem, a poniekąd także i Zagłoby.

Pozatem były jeszcze dwa utwory Słowackiego, o których Sienkiewicz mówił często, z których raz po raz cytował ustępy lub poszczególne wyrażenia, to: W Szwajcaryi i Książę Niezłomny.

Utwory te nie pozostały też bez wpływu na twórczość Sienkiewicza: W Szwajcaryi na jego nowelę Przez stepy, a Książę Niezłomny na Niewolę tatarską. Pierwszym, który na to zwrócił w swoim czasie uwagę, był Tarnowski w swym rozbiorze nowel Sienkiewicza p. t. Z najnowszych powieści polskich, drukowanym w r. 1881 w Przeglądzie Polskim. W ocenie Niewoli tatarskiej pisze Tarnowski między innemi, co następuje: „Jego pan, znaczny jakiś Tatar, upodobał sobie jeńca, a miał córkę, ładną i dobrą Iłłę, która też łaskawem okiem na niego patrzała. Chciał mu ją dać za żonę, byle przyjął muzułmańską wiarę. Jeniec nie chce. Za tę krnąbrność i wzgardę mści się bisurman. Jak Książę Niezłomny, Kalderona, tak ten towarzysz pancerny pogrążony jest teraz w ostatniej nędzy i poniewierce. Sami towarzysze niedoli proszą go, żeby przez litość nad nimi udał, że wyznaje Proroka, i jego czasem różne opadają pokusy, ale trwa w wierności, pamiętny, że ojciec uczył go niegdyś: gnij się z bólu, ale się złamać nie daj!“ Nie ulega wątpliwości, że o wpływie Księcia Niezłomnego na Niewolę tatarską da się napisać osobne analityczne studyum. Niemniej wdzięcznym tematem do takiegoż studyum literackiego będzie niezaprzeczony wpływ na tę nowellę Sienkiewicza pieśni VIII, IX i X Beniowskiego, obejmujących misyę Beniowskiego na Krym z poselstwem do tatarskiego hana Gireja, gdzie Beniowski również dostaje się do niewoli tatarskiej, a gdzie tak samo, jak Imci pan Alexy Zdanoborski zyskuje miłość córki bogatego Tatara, on zyskuje sobie sympatyę syna hana Gireja, i dzięki temu zyskuje możność ucieczki. Przez czas jednak, gdy pozostawał w niewoli, tak samo, jak bohater nowelli Sienkiewicza, przechodził równie srogie katusze, jak Książę Niezłomny.

W mogiłce Szecha (był to grób ozdobny
Na górach, z białą kopułą glinianą)
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związano...

. . . .

Sam jeden leży na glinie i wzdycha,
Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?
Nad nim okropna zemsta...

. . . .

w tym grobowcu był katakumb drugi,
Gdzie krwią okryty i potem i pyłem,
Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi.

. . . .

Wszystko to da się odnieść i do bohatera Niewoli tatarskiej, zwłaszcza do rozdziału IV tej niezrównanej nowelli.

Ale i pewne szczegóły są tu i tam te same. Zarówno Beniowski, jak i pan Zdanoborski, najchętniej przechadzają się brzegami morza, a obaj też są świadkami iluminacyi w mieście tatarskiem, przy świetle miesięcznem. U Sienkiewicza czytamy: „Tatarowie, gdy noc zapadła, pozapalali owe wspomniane lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili... A było to w samą pełnię...“ W Beniowskim zaś

...miasto było w świateł roju
I różne wieńce nad niem, jak słoneczne
Wisiały, różne z tatarskiego łoju
Ramazanowe lampy i świąteczne
Z różnych szkieł różnie na niebie świecące,
Jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.

Bo minarety, co je w niebo niosły,
Tak były lekkie, jakby owe kwiaty
Bez łodyg żadnych i pni same rosły,
Albo latały; a tak był bogaty
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły
I odwracały się na bledsze światy,
Na morze, co swój włos, jak owca wełni,
I srebrem błyska, lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie
Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie
Tem milszy oczom, że był nie natrętny.

W rozdziale III Niewoli tatarskiej znajdujemy identycznie ten sam obraz. Oto, jak tam pisze Imci pan Zdanoborski,

Na co jednak Tarnowski – ani nikt dotychczas – nie zwrócił uwagi, to że na końcowym ustępie noweli Przez stepy odbił się w sposób uderzający Ojciec zadżumionych. Mianowicie opisana w nim przez Sienkiewicza w sposób mistrzowski śmierć Lilian, tak przejmująco opowiadana przez pozostałego przy życiu jej męża, uderzająco przypomina z poematu Słowackiego śmierć ukochanej córki, ~~nieszczęśliwego Araba~~ pięknej Hafte (Hafte), bardzo podobnie opowiedzianą, choć krócej znacznie, przez pozostałego przy życiu jej ~~nieszczęśliwego~~ ojca. Jak w poemacie Słowackiego nieszczęśliwy Arab ~~[illegible]~~ trzyma „na rękach” umierającą córkę, tak i bohater Sienkiewicza bierze umierającą Lilian „na ręce”, co w wyobraźni czytelnika tworzy ten sam obraz szalejącego z boleści mężczyzny z umierającym dziewczęciem na ręku. U Słowackiego umierająca Hafte, tuląc się do ojca, mówi: „Ratuj mię, ratuj, mój ojcze!” U Sienkiewicza zaś umierająca Lilian, tuląc się do męża, mówi: „Ratuj się sam, dla mnie już nie ma ratunku.” U Słowackiego powiada ojciec zadżumionych: „O boleści! trzy razy wieków przeżyłem [illegible]” i t.d.; U Sienkiewicza ten sam okrzyk wyrywa się ze zbolałej piersi mężowi Lilian: „A ja, o boleści! zostałem tylko” i t.d. U Słowackiego ojciec ~~wynosi~~ swe umierające dziecko „wynosi” na step pomiędzy wielbłądy; u

Sienkiewicza mai „wiesie" swój ciężar najdroższy na wóz Golgotę" i „wiezie ją dalej" na tym spalonym stepie.

Ale niepotrzeba nawet zestawiać poszczególnych wyrażeń i obrazów z poematu Słowackiego i nowelki Sienkiewicza, aby się o niewątpliwym wpływie pierwszego na drugie przekonać. Wystarczy zestawić te dwa opisy śmierci, a uderzające ich podobieństwo uderzy każdego, jako wprost rzucające się w oczy.

Ojciec zadżumionych ~~[illegible]~~ opowiada tak o śmierci Hafte:

Budzę się z krzykiem i wznoszę dziatwę
Płacz, wołam drżąco: „Hafte, moja Hafte!"
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu
Rzuciła mi się rączkami na szyję
~~Słyszę jej serce bijące przy sercu~~
I przekonałem się, że Hafte żyje,
Słyszę jej serce bijące przy sercu.
Ale nazajutrz gorzko przyszło uderzyć!
Córka!!!... Lecz naco [illegible]?
I to mi dziecko śmierci wydarta!
I ta mi córka na oczach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila,
Kiedy ją bóle targały ostatnie,
Wołała: Ratuj mnie, ratuj, mój ojcze!
I miała otwarte czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi aż serce rozdarło na ćwierci
A piękna była, jak anioł, po śmierci.

Pozwoli naturalnym ptakom nietoperzom
Strażnicy, pozwoli mi uzdrowić to ciało...

Bohater noweli Przez stepy stale opowiada o śmierci pięknej Lilian:

— Ale nie było nad nami wtedy miłosierdzia. Szóstego dnia rano ujrzałem na twarzy Lilian ogniste plamki: ręce miała rozpalone; idąc, oddychała głośno. Nagle, spojrzawszy na mnie błędnie, rzekła szybko, jakby się spiesząc w obawie, że utraci przytomność:

— Ralfie! zostaw mnie tu, ratuj się sam, dla mnie już niema ratunku!

Ścisnąłem zęby, bo mi się chciało wyć i bluźnić, i nie rzekłszy nic, wziąłem ją na ręce... ~~Ale jakiem się odprężył jak tak za mocno~~ Ogniste zygzaki zaczęły mi ~~składać~~ skakać przed oczyma w powietrzu i składać się w słowa: Who worshipped and served the creature more than the Creator?! Ale jakiem się odprężył, jak tak, za mocno nagiąłem się, i spoglądając w ~~niebiosa~~ niemiłosierne niebo, odpowiadałem całą duszą zbuntowaną:

— Ja! (1)

Tymczasem niosłem na moją Golgotę ten mój ciężar najdroższy, tę jedyną świętą, ukochaną moją męczennicę.

---

1. podobnie u Słowackiego ~~Derwisz~~ i ~~ojciec~~ ... Ojciec zadżumionych, gdy stojąc jak muezin z minaretu nie... szczęśliwemu ojcu wielkości Boga.

O! bądźcież mi pochwalony Allah...
Zaraza dzieci mi wytraca
I bierze synów z łona rodzicielki.
O, Allah, Allah, Allah, jesteś wielki!

przypisek

Nie wiem, skąd mi się wzięły siły. Stałem się nieczuły na głód, na upał, na zmęczenie; nie widziałem nic przed sobą: ani ludzi, ani spalonego stepu, tylko ją. W nocy stało się jeszcze gorzej. Traciła przytomność. Chwilami jęczała cicho: „Ralfie, wody!"

A ja, o boleści! miałem tylko solone mięso i suchary! W najwyższej rozpaczy rozprułem sobie nożem rękę, aby krwią własną zwilżyć jej usta, ale ona oprzytomniała nagle i, krzyknąwszy, wpadła w długie omdlenie, z którego myślałem, że już się nie ocuci. Przytuliłem ją do siebie, chciała coś mówić, ale gorączka mąciła jej myśli, więc mówiła tylko przez sen:

— Nie gniewaj się, Ralfie! ja jestem twoją żoną.

Niosłem ją dalej, myśląc, żem już i zgłupiał z boleści. Nad wieczorem dnia siódmego Sierra-Nevada ukazały się wreszcie na widnokręgu, a jednocześnie w zachodzie słońca światło mojego życia poczęło gasnąć także. Gdy zaczęła konać, położyłem ją na spalonej ziemi i sam klęknąłem przy niej. Oczy jej były jeszcze otwarte, błyszczące i utkwione we mnie. Na chwilę rozjaśniła się w niej myśl przytomna. Wyszeptała jeszcze:

— My dear, my husband! potem przebiegł ją dreszcz, strach wymalował się na twarzy i umarła.

Zerwałem sobie bandaże z głowy, straciłem przytomność i już nie pamiętam, co dalej było. Tak przez sen przypominam sobie ludzi, którzy zdjęli mnie i odebrali broń, później jakby kopali grób, a jeszcze później pochłonęła mnie otchłań i ciemność.

Ojciec [illegible] do Stambulskiego, opuszczając po trzech miesiącach El-Arisz, gdzie pochował żonę i wszystkie swoje dzieci, powiada:

I nie zostało wam nic oprócz Boga,
I tam wasz [illegible], a tamtędy droga!

Bo musiał przecie wracać na Liban, do swojego domu.

Gdzie tylko poślę (poślę przed sobą) przed sobą myśl białą,
Tam mi smutno, i wszędzie (wszystkie) mi jedno;
I wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę także tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łkanie...

Zwrócić też należy uwagę jeszcze i na to, że (że) kiedy bohater Sienkiewicza powiada, iż prosi Boga, by po śmierci „na owych stepach niebieskich odnalazł swoją niebieską", to jest w tem przekazanem wyrażeniu jakby echo pierwszej strofy opowieści bohatera szwajcarskiej idylli Słowackiego, nie wiedzącego, czemu dusza jego nie idzie „do aniołów" za zmarłą.

Czemu nie leci na niebieskie szranki
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

Natomiast jednak, na księgę wpływu Słowackiego [illegible]
[illegible] najsilniejszy itd z druku str 120

str. 120.

O, nie wiadoma ta miłość ukryta,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!

To samo uczucie nigdy przebrzmiałe powtórzyć o tobie moja piękna Lilian, który ~~[illegible]~~, wystawiwszy grób jej na spalonym stepie. Tak opowiada o swem dalszem ~~[illegible]~~ samotnem życiu.

Pojechałem później do zdrowia, wreszcie do Newady; step tam porósł na nowo wysoką trawą i zazielenił się bujnie, tak iż grobu jej nie mogłem nawet odszukać, i do dziś dnia nie wiem, gdzie leżą jej zwłoki święte. Czemu uczynił takiego Pan, że odwrócił od mnie oblicze swoje i zapomniał mnie na tej pustyni[1], nie wiem także. Gdyby mi choć na grobie jej wolno było czasem popłakać, ot, lżejsze byłoby mi życie. Co rok jeździłem do Newady i co rok szukam napróżno.

Dziś upłynęły już od tych chwil strasznych lata całe. Nędzne wargi moje wyszeptały już wiersz: „Bądź wola Twoja!” Ale źle mi bez niej na świecie. Człowiek żyje i chodzi między ludźmi i uśmiecha się czasem, a stare samotne serce płacze tam, i kocha, i tęskni, i pamięta... Stary jestem i niedługo w inną, wieczystą podróż mi się wybierać, o to więc tylko Boga proszę, abym na onych stepach niebieskich odnalazł moją [illegible], [illegible] i nie rozstawał się z nią już nigdy...

Brzmi zakończenie ostatniej noweli Sienkiewicza jak jakby parafrazą w prozie melancholijnego zakończenia W Szwajcarii Słowackiego:

Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie.

[1] Słowa te czy nie są jakby wyrwane z pieśni Ojca zadżumionych?

z powodu handlu Tatarów krymskich z Germeńczykami i Wenecyanami: „Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni, łojem baranim napuściwszy i świeczki zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od owych świateł białych, różowych, zielonych i modrych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony!"

Podobnie ma się z wpływem W Szwajcaryi na Przez stepy. Tymczasem w r. 1881 tak w tej kwestyi pisał Tarnowski: „Są tu bardzo ładne sceny, miłosne oświadczenia i uniesienia na tle ślicznych opisów natury; ale czy to, czy eteryczność tej Lilian, która także była „jak z tęczy i z potoku piany", czy jej śmierć może i żal tego męża, który także czeka, aż dusza „stęskni się i wyjdzie ze mnie", nie więdzieć, czem przypomina to Słowackiego Szwajcaryę, a Szwajcarya, rozciągnięta na długą powieść i pisana prozą, pomimo bardzo ładnych ustępów, choć może tamtą przypomnieć, to na przypomnieniu tem stracić musi." [1]

Utworem jednak, na którym wpływ Słowackiego odbił się najsilniej, jest Trylogia Sienkiewicza, na co już w r. 1900 zwróciłem uwagę, zaznaczając, że „obrazowość Trylogii bardzo często ma w sobie coś z obrazowości Beniowskiego, zwłaszcza pośmiertnego, i Złotej Czaszki" [2]. W swoim pięknym odczycie O twórczości Sienkiewicza prof. Kallenbach szeroko rozwinął ten motyw, wykazując, ile figur, sytuacyj i pomysłów z Trylogii znajduje się, jakby w zarodku, w Beniowskim. I nietylko w Beniowskim! Bo nie należy zapominać, iż Słowacki, oprócz Mazepy z tak realistycznie pojętą figurą Jana Kazimierza, jest autorem dramatu o Janie Kazimierzu, w którego dochowanych fragmentach w scenie VI, występuje Jeremi Wiśniowiecki w oblężonym Zbarażu, a szlachcic Harmider, wzorowany na szekspirowskim Falstafie, niesłychanie zbliżony jest, jako typ, do Zagłoby.

---

[1] Gdym w r. 1900 w mych Szkicach i opowiadaniach zaznaczył ten wpływ W Szwajcaryi na Przez stepy, prof. Wiktor Hahn w Kwartalniku historycznym, w recenzyi mej książki, podał pogląd ten w wątpliwość, pisząc: „Trudno też dopatrzeć się w noweli Sienkiewicza Przez stepy wpływu poematu W Szwajcaryi..." (Kwart. hist. z r. 1900, str. 489).

[2] Prof. Hahn jednak w pomienionej recenzyi „nie widzi wpływu Beniowskiego i Złotej czaszki na Trylogię Sienkiewicza".

Słowacki też jest autorem Snu srebrnego Salomei, gdzie główny bohater Sawa ma wiele cech pokrewnych z dzikim Bohunem. W ogóle Słowacki jest autorem, który z upodobaniem malował życie kozaków ukraińskich, począwszy od Żmii, „hetmana niżowego“, i Dumy o Wacławie Rzewuskim, a skończywszy na Wacławie i Beniowskim, gdzie „ziemia stepów gładka, cicha“, a pełna wspomnień wojennych, tak ujmująco jest przedstawiona. To bowiem, co jest poetycznego w tradycyach kozacko-ukraińskich, we wspomnieniach Siczy, Dniepru, Czertomeliku, Baru etc., od Chmielnickiego aż do Sawy i Beniowskiego, a co stanowi poetyczne tło i pejzaż w Ogniem i mieczem, — to wszystko przez nikogo, aż do Sienkiewicza, nie zostało odmalowane plastyczniej, z większem życiem i zrozumieniem charakteru kozacko-tatarsko-ukraińskiego, jak przez Słowackiego w wymienionych utworach. A że to wszystko zapładniająco oddziałało na Sienkiewicza, jako autora Trylogii, na to aż nadto znajduje się dowodów w Ogniem i mieczem i Potopie, a także i w Panu Wołodyjowskim.

Jak w „rycerzu bez skazy“ Skrzetuskim nie brak rysów, odziedziczonych po Księciu Niezłomnym, tak niewątpliwie Janusz Radziwiłł ma wiele pokrewieństwa z Wacławem Słowackiego, a opis śmierci Radziwiłła ma w sobie wiele ze śmierci „grafa Wacława“. Ci dwaj „zdrajcy“ bardzo są do siebie podobni. A Kmicic, czy nie ma w sobie czegoś z Beniowskiego? W każdym razie jego zabiegi o Oleńkę mają wiele wspólnego z zabiegami Beniowskiego o pannę Anielę, jak w ogóle nie brak scen w Potopie między Kmicicem a Oleńką, które jakby się już znało z Anielinek.

A cóż dopiero powiedzieć o wielkiej scenie z pieśni XIII, gdy Beniowski, po całym szeregu przygód konfederackich, zbiedzony, obdarty, do żebraka raczej, niż do rycerza podobny, w końcu przyszedł pożegnać się z Anielą, czując się jej niegodny.

Beniowski stanął przed panną Anielą:
Lecz jak zmieniony, ach! w jakim żupanie!
Jak żebrak; łokcie podarte się bielą,
Guziki wiszą, buty... Boże, Panie!
Jak wieloryby, kiedy się ośmielą
Wyjrzeć nad morza błękitne otchłanie
I westchnąć. Taki... ach! czy moje usta
Wymówią... stanął nakształt drapichrusta!

Aniela zlękła się: bo nigdy w życiu
Nie wystawiała sobie bohatera
Kochanka w takiem okropnem rozbiciu
Majątku. A on, żałośny Kostyra
Stał przed nią, w strasznem bardzo nieutyciu,
Pół Don-Kiszota, a pół króla Leara,
Bowiem zupełnie był bez przytomności,
Jak Lir, a skórę miał tylko i kości...

. . . .

Otóż Beniowski mój powrócił z Wschodu
Właśnie, jak *veto* żywe, lecz obdarte
I biedne; doznał pierwszego zawodu,
Przewrócił tego świata pierwszą kartę
I przyszedł, jako nędzarz, do ogrodu
Pokazać serce, które więcej warte,
Niż to, co za nie dawali na świecie
Ci, co kupują serca na tandecie.

Mroczny, wstydliwy, z pochyloną głową
Po przywitaniach pierwszych rzekł: „Hrabianko!
Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,
Oddać pierścionek; żadną odtąd wzmianką
Nie będę trudził twych myśli; grobową
Ziemią zasypię oczy. Podolanko.
O, Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!
Daruj, że w takim stroju. takie słowa...“

Tu zaczął jąkać się, bo kawalerstwo
Żywe lękało się w nim jakiej wzgardy.
„Daruj, rzekł, dawne z twem sercem braterstwo,
Dawne twe łaski, a teraz los twardy
I moje, patrzaj, żebrackie żołnierstwo,
I różne życia mojego azardy,
Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza
Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza,

Gdy porównane w twojej myśli staną,
Może wycisną łzę, o moja Pani!
Bądź mi na wieki teraz pożegnaną,
A nie idź za mną, bo ja do otchłani
Idę.“ To mówiąc, twarz swą obłąkaną
Obracał wszędy, jakby go szatani
Ścigali, nawet nie dając pokoju
U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju,

W pasiece leśnej. A do niego ona,
Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki,
Bo słońcem była źrenica zatlona,
A rzęsy pełne pereł, jak promyki

Świeciły w koło; a głos z głębi łona
Wychodził cichy, lecz straszny i dziki.
„Co? rzekła, potoś przybył i mnie z domu
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,

Abym słyszała, ja, która tak wiszę
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,
Abym słyszała to, co teraz słyszę,
Że skała, z której ja lecę, upada?!
Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę
Przypomniał, ty wódz tego ludzi stada
Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty
Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty warty?

Powiedz, więc i ty na sercu kaleka?
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?
O trup ty! stójże odemnie zdaleka,
Bo ja się próchna i robaków boję.
Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję.
Jak nad przepaścią jaką, sama jedna
I opuszczona wiecznie, o, ja biedna!

Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca,
Siostra i matka razem, i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, tej bolesnej rany,
Którą mi dajesz w serce; bo ta sina,
Bo ta wychudła twarz i te łachmany,
Na które patrząc, strach mi głos ucina,
Są przecież ludzkie; a ty, jak szatany
Zimny, choć oczy twoje łzą zabiegą,
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Powiedz mi, zkąd ten blask i takiej dumy
Rys na twem czole? Co? Tyś przeciw Bogu
Wstał?...“

Cały sentyment wszystkich scen w Potopie między Kmicicem a Oleńką, zwłaszcza gdy Kmicic jest Babiniczem, zawarty jest w tej scenie między Anielą a Beniowskim, nie mówiąc już

o tem, że jak Oleńka zda się być rodzoną siostrą Anieli, tak „żywe kawalerstwo“ Beniowskiego uderzająco jest podobne do kawalerstwa Kmicica.

A to samo da się powiedzieć i o towarzyszach Kmicica, dziwnie podobnych do towarzyszów Beniowskiego. Gdy Beniowski, w tejże XIII. pieśni poematu, z omdlałą Anielą na ręku, każe swym ludziom schwytać księcia Lubora i Sybillę Dafnicką, zupełnie ma się wrażenie, że to jakaś przygoda w Wodoktach drużyny Kmicicowej, Beniowski — opowiada tam poeta — wnet poszedł do głowy

Po rozum i choć, zda się, nie wart grosza
Żebrak, postąpił, jak hetman niżowy,
Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;
Wystrzelił, a na strzał pistoletowy
Zbiegła się jakaś okropna wołosza
Różnego stroju, barwy, różnej broni
Ludzie, od których człek uczciwy stroni.

Ci wszysey, słuchać nauczeni gestu,
Poszli na wzgórze, i po krótkiej chwili
Brzęku, bo książę bronił się...
Jako rycerskie pozwalały czasy
Z parą tych jeńców żywych poszli w lasy.

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa,
Zda mi się, bardzo teraz jego ścieżka.
A przy Anieli sennej niańka Diwa
Płakała. Taka w tym kraju zamieszka
I taka była wtenczas nieszczęśliwa,
Krwią zamięszana różnych żądz lemieszka,
I taki rycerz mój, co po buzdygan
Idąc, zaczynać musiał jako cygan.

Zupełnie, jak w Potopie Sienkiewicza, gdzie również nie brąk sceny, że Oleńka „zwisła bezwładnie“ na ramieniu Kmicica (który ją wziął na ręce tak lekko, jak dziecko), która to scena wielce przypomina scenę, gdzie Aniela, od nadmiaru wzruszenia w czasie rozmowy z Beniowskim, mdleje mu w ramionach.

„Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy,
Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodzący boży,
Głowie, co na twej piersi się położy.

Ja... kiedy patrzę na świata pustkowie,
Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,
To czuję, że to jedyne wezgłowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem...
Tu na kamieniu tym żałosnej głowie
Pozwól poleżeć, reszta jest obłokiem,
Reszta jest niczem, ten świat, ziemia cała..."
Jękła, przegięła się wpół i omdlała.

Beniowski w trudnej bardzo pozyturze
Stał, bo ją trzymał wpół upadającą...

A jak Potop, tak samo nieraz i Ogniem i mieczem przychodzi przy czytaniu Beniowskiego na myśl. Gdy Słowacki, w ostatniej oktawie pieśni VIII. powiada:

Znów do krymskiego pójdę półostrowu
Rycerzy moich posadzić na strzemię
I nieść w pożarne Ukrainy łuny
Tych, którzy na mój głos powstali z truny...

to mimowoli przed oczyma staje obrazowość Ogniem i mieczem. Cóż dopiero, gdy się czyta następujące oktawy pieśni XI.:

Potem ze złotych słonecznych promieni
Rycerze jacyś konni i wysoko,
Jakby w powietrznym blasku zawieszeni,
Schodzili na dół; oblani posoką
Husarzów, zdaje się, lecących cieni.
Ale już widać: szlachta działa wloką,
Za nimi leksza druga złota chmura,
A nad nią szable, jak kłosy i pióra,

Lekkie i krzywe. Za tą znów gromadą
Widma czarniejsze na zwinnych rumakach,
Spisy i ciała swe na spisach kładą
I tak schyleni leżą na kulbakach;
Czasem Tatarów na stepach dojadą,
Strzelą i pierzchną, wiją się po krzakach,
Znowu się łączą... Ałłach dają nowy,
W którym sam El Džin szablą ściął dwie głowy,

podobnie. jak w Ogniem i mieczem pan Podbipięta ściął trzy głowy.

Tymczasem wozy Borejsza odmyka,
Na szlachtę czeka, rozsuwa kolaski:
Rzekłbyś, że widzisz dobrego ptasznika,
Który otworzył swoje samotrzaski.
Leci szarego chmura wojownika,
Turkocą działa, idą z szabel blaski,
Wpadają w tabor. Wódz nie przewodniczy;
Stanął przy bramie i rycerzy liczy.

Jak pasterz stary, gdy pastuszki wiodą
Bydło, nie idzie spocząć do piekarni,
Lecz przy oborze rozlicza się z trzodą:
Tak i wodzowie, gdy są gospodarni,
Wyśli od ludu sercem i urodą,
A jako żołnierz krwią i prochem czarni,
Nim pójdą w namiot, to wiedzą najpierwsi,
Ile kul padło w sztandar, ile w piersi.

Przed wodzem szlachta przepędza zwycięska,
El Dżin przeleciał, jak wiatr, z Tatarami;
W Beniowskim twarz się stała prawie męska,
A krew mu szablę po rękojeść plami.
Tabor jak harfa szumów czarnoksiężka
Wre pieśnią; działa czyszczą żupanami:
Bowiem je wzięto ze krwią bombadierów,
Rozciąwszy wiele czaszek i giwerów.

Pułkownik także Salmur w piersi ranny,
Wzięty w niewolę; Szwed, posępnej twarzy,
Piękny, jak młody kochanek Dyanny,
Który przy działach właśnie stał na straży,
Na Zygmuntówce miecz strzaskał, jak szklanny,
I już mu głowę mieli ściąć Tatarzy,
Beniowski, strasznym przywiedziony krzykiem,
Wziął go, gdy z lontem już stał nad jaszczykiem.

Takie dnia tego było powodzenie;
Cokolwiek także wzięto karabinów,
Prochu, kul, ważne dla taboru mienie,
Droższe, niż beczki pereł i rubinów.
I tak Barowi stepem szło zbawienie
I stepem szła wieść Beniowskiego czynów...

Wszystko to w swym charakterze i kolorycie uderzająco jest podobne do sceneryi z Ogniem i mieczem, z tem zastrzeżeniem jedynie, że ów „Szwed posępnej twarzy“ zabłąkał się tu, jakby z Potopu. Zresztą jest to jakby kartka z oblężenia Zbaraża.

127

Gdy jednak idzie o samo oblężenie Zbaraża, a zwłaszcza o te rozdziały w *Ogniem i mieczem*, gdzie Sienkiewicz opisuje głód w oblężonej twierdzy, to jest w XI. pieśni *Beniowskiego* ośm oktaw z opisem głodu w otoczonym przez Moskali taborze konfederatów barskich, dziwnie podobnych do niektórych scen z IV. tomu *Ogniem i mieczem*.

W środku głód wszczął się i męstwo zatruwa;
Jedzą kobyły, skóry i trzewiki,
Skra gorączkowa głodu w oczach stoi;
Nie atakuje wróg, lecz niepokoi.

. . . .

Tatarzy stali się, jak psy ohydni,
Chcą zacząć trupy jeść. Węże się rodzą
W sercach, krew harda oczu nie rozwidni;
Patrzą po sobie i milczą głęboko,
Lecz jak szakale mają twarz i oko.

Zda się, że szczęki wzięły kształt zwierzęcy
I wyciągnęły się, zbielały zęby.
Słońce szło wyżej i piekło goręcej,
A par wychodził czerwonemi kłęby;
I nawet wróble, co w kilka tysięcy,
Licząc w to szczygły, czyżyki i zięby,
Żyły w taborze, ze strasznego grodu
Wygnała je dziś czarownica głodu.

I poleciały chmurą do Moskali
Ptaszęta owe, jako zdrajce kraju;
Głód został i gry, w karty zawsze grali,
Brzęk złota, jak brzęk trupiego ruczaju,
Mięszał się z brzękiem rozpłakanym stali;
A głód, jak Mojżesz straszny na Synaju,
Siadł na wysokim wozie, w ognia chmurze,
Czarny, jak szabla, schowana w jaszczurze.

I patrzał na tę ćmę, co stawia złoto
Na karty, i tem wnętrzności ucisza...
Beniowski jeden nad szarą hołotą
Został bez druha i bez towarzysza;
Sposępniał,

jak Skrzetuski w nękanym głodem Zbarażu,

smutek zrobił go istotą
Wyższą, na głód ma cierpliwość Derwisza,
Na skargi szlachty, wymówki okrutne,
Czoło spokojne, blade, ale smutne.

Jeszcze dziś odparł szturm i na temblaku
Ma lewą rękę; noc spokojną zyska;
Postawił straże i sam na rumaku
Obejrzał tabor, wrogów stanowiska.

niczem Jeremi Wiśniowiecki w oblężonym Zbarażu;

Pewnie noc cała przejdzie bez ataku,
Moskal zapalił czerwone ogniska,
Leży po bitwie; pora jest dogodna
Natrzeć, lecz konie chude, szlachta głodna.

Tatarzy także przy wielbłądach siedli
I patrzą w ogień straszni, zadumani,
Skra się w źrenicy suchej tak zwierciedli,
Jakby krew ludzka z ogniem były na niej;
Coś grzybów czarnych zebrali i jedli.
Może to z worków swoich ci szatani
Dobyli, aby głód umorzyć krwawy,
Straszniejszy jeszcze, niż szatańskie strawy.

Koło ich kwater przeszedł, nie zagląda
W usta, nie patrzy, co pod jataganem,..
. . . .

Beniowski, zupełnie jak Jeremi Wiśniowiecki w Ogniem i mieczem,

przeszedł mimo. Noc gorąca,
Step parzy; niebo, choć noc, czerwienieje;
Nie było ani gwiazd, ani miesiąca,
Ani też rosy, co po stepach sieje
Narcyzy, ani wiatru; pieśń płacząca,
Co w ukraińską noc po kwiatach wieje,
Odezwała się; wszystko pokój wróży,
Jednak powietrze gęste, pełne burzy.

Beniowski, straże postawiwszy w koło,
Wszedł do namiotu......
Namiot wyglądał odarto i goło,
Ze skór był owczych; kaganiec w nim płonie,
O szable różne i o bronie trąca
Blady, jak złota gwiazda czuwająca.

Jedną z najoryginalniejszych postaci w Ogniem i mieczem jest niewątpliwie kozaczka, Horpyna Dońcówna, dziewczyna-olbrzymka, o której powiada Rzędzian, że „bezecna to olbrzymka, z dyabłami w komitywę wchodzi... ale dziewczysko hoże. Jak się

zaśmieje, to przysiągłbyś, że kobyła na łące rży. Zębiska białe pokazuje, taka mocna, że pancerz może rozedrzeć, a jak chodzi, aż się ziemia trzęsie". Otóż, zdaje się, nie ulegać wątpliwości, iż prototypem tej Sienkiewiczowskiej bohaterki jest takaż sama kozaczka-olbrzymka, Hudyma, z Beniowskiego. Oto jak ją charakteryzuje Słowacki:

Rozbójniczka to była, co po drogach
Wprzód rozbijała ludzi nad limanem;
Nigdy na pańskich nie postała progach
I nigdy może nie mówiła z panem;
W czerwonych była butach, przy ostrogach,
I wydawała się wielkim draganem...

Hudymą zwana, smagła, lecz rumiana,
Widmo malarskich pendzli pewnie godne,
Wesoła, śmiała, niepohamowana,
Wyższa nad wszystkie dziewice dorodne;
Usta jak karmin, oczy jak szatana
Czarne, a piersi krągłe takie chłodne,
Jakby z marmuru, a brwi jak dwa łuki
Czarne, jak piórka, zgubione przez kruki.

W uszach dwie wielkie długie z pereł dynie
Wiszą, zdaje się, że łzy rusałczane,
Kapiące cicho po jagód karminie,
Zmrożone, białe, świeże i świetlane.
Taka to była sławna w Ukrainie
Rycerka, widmo straszne, choć rumiane.

Nie brak i wielu innych miejsc w Beniowskim, przy których czytaniu wprost narzucają się wspomnienia homeryckich bojów z Ogniem i mieczem. Oto n. p. opis bitwy z kozakami, w których Potocki szuka okazyi do zmierzenia się z Żeleźniakiem. Atakującymi są tu Polacy, podczas kiedy kozacy bronią się zacięcie.

Do ostrokołów przyparci, rąbani,
Jak pod kowala młotem, pod szablicą,
Cięci i nigdy nie pardonowani,
Choć złożą ręce i żelazo schwycą,
Przez łeb tak cięci, że porozwalani
Na dwie połowy mieczów błyskawicą, —
Jęczą.[1] Szlachciców obłok coraz bliższy,
A nad obłokiem pan Potocki wyższy.

[1] Przypisek na następnej stronie.

Jeszcze mu swoi ludzie są na przedzie,
On się już naprzód zapalony ciska,
Czasem na człeka lub na trupa wjedzie,
I od całego wyższy bojowiska.
Nad głową obuch, co okuty w miedzi,
Zda się, jak piorun Jowiszowy błyska
I wnet poleci ogniem z rąk Polaka,
A oczy jego w oczach Żeleźniaka.

A wkoło pełno spis, które drużyna
Wkoło, dbająca o hetmańskie zdrowie,
Szablami łamie, odwraca, odcina;
A on, z tym jasnym piorunem na głowie,
Gdy Żeleźniaka ujrzy, to się wspina
I czasem cicho coś do swoich powie,
I znowu wspięty, cichszy, coraz bladszy,
Żeleźniakowi w oczy ciągle patrzy. [2])

---

[1]) Można wskazać w Ogniem i mieczem cały szereg ustępów, wyraźnie wzorowanych na tej oktawie, nietylko pod względem obrazowym, gdzie kozactwu przypada ta sama rola przypartych i rąbanych bez pardonu, ale i pod względem stylistycznym, pod względem konstrukcyi zdania. Tak n. p. na str. 199, tomu II, czytamy, co następuje: „Zresztą spisy i kosy nie dały się użyć w ciasnem miejscu, więc też przyparci, jak stado owiec, do przeciwległej ściany jaru, rąbani szablami przez łby i twarze, bici, przebijani, deptani nogami, wyciągali z szaleństwem strachu ręce i chwytając nieubłagane żelazo, ginęli.“ W innem miejscu, na str. 95, tomu III, w opisie bitwy mołojców Bohunowych z żołnierzami Wołodyjowskiego, „napadnięci z nienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli, nie dając prawie oporu“. W tomie IV, na str. 61, pisze Sienkiewicz: „Na przedzie, kłóci z tyłu spisami i prażeni ogniem z samopałów, biegli jeńcy z worami piasku...“ A parę kartek dalej, na str. 63, kozacy darli się na wały, „przykryci dymem, czarni od sadzy, kłóci, rąbani, gardząc ranami i śmiercią... I trwała ta walka olbrzymia a bezpardonowa przez całe godziny... Zziajani, krwią ociekli, porwani szałem bojowym, spotnieli, wpół obłąkani od zapachu krwi, rwali się jedni przez drugich... Wyparci z miejsca, naciskani strasznym ciężarem żelaznych jeźdźców, spychani ku janczorom, cięci długiemi mieczami, zrzucani z siodeł, kłóci, bici, gnieceni, jak jadowite robactwo, bronili się jednak z zaciekłością...“

[2]) Ten obraz Potockiego, który, dowodząc bitwą, sam na czele rycerstwa naciera na tłum kozactwa, ażeby się zmierzyć z Żeleźniakiem, mimowoli przypomina się przy czytaniu tej sceny w Ogniem i mieczem, gdzie wojewoda na czele rycerstwa pragnie się zmierzyć ze strasznym Burdabutem. Oto ważniejsze momenty tego epickiego opisu:

Jak bardzo Sienkiewicz musiał się wczytywać w Beniowskiego, o tem świadczą te ustępy w Ogniem i mieczem, na które w swym odczycie zwrócił uwagę prof. Kallenbach, a które są niewątpliwemi reminiscencyami z lektoru poematu Słowackiego. Tak n. p. początkowy obraz Dzikich Pól, z „miesiącem wychylającym się z za Dniepru i obielającym pustkę“, i towarzysz pancerny na burce przy ognisku z pachołkami obłupującymi ze skóry suhaka w „czerwonem kole światła“ od płonącego stosu: cały ten obraz nocny na tle stepu, zdaje się być natchnionym podobną sceną z Beniowskiego.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc wstawał zamyślony,
Obaczył ogień pod dębowym borem,
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek,

gotował strawę

i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości,[1])
Drugi: otyły i z rubinowemi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem.
. . . .
Beniowski z miłym uśmiechem na licu,
Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,
Zsiadł z konia i rzekł: „Czy wolno zapytać,
Kogo mam honor i przyjemność witać?“

„A zaś wojewoda, idąc po trupach czerni, stanął w obliczu zaporożców i gnał ku nim, oni zaś ku niemu... Sam wojewoda, zasadziwszy za pas buzdygan, a porwawszy koncerz od pacholika, pracował w pocie czoła. Przy nim dwóch panów Sieniutów, panowie Kierdeje, Bohusławscy, Jełowiccy i Połubińscy uwijali się, jak w ukropie. Ale po stronie kozackiej srożył się najbardziej Iwan Burdabut, z kalnickiego pułku podpułkownik, kozak olbrzymiej siły i statury, tem straszniejszy, że i konia miał takiego, który na równi z panem walczył... zwłaszcza, że za Burdabutem błyskało sto innych szabel zaporoskich i sto spis w krwi umoczonych. Dojrzał nakoniec dziki watażka wojewodę i wydawszy okropny krzyk radości, rzucił się ku niemu...“

[1]) Opisując w rozdziale II. Ogniem i mieczem postać Podbipięty, pisze o nim Sienkiewicz: „Szerokie jego ramiona i żylasty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była na nim tylko skóra i kości.“

Na to pancernik *gruby*, lecz ostrożny,
Jak *Litwin*: „A Waść kto sam, Mości Panie?“
„Jestem Beniowski“, rzekł, patrząc na rożny
Rycerza. Tu drugi rozpoczął *śpiewanie*,
Opowiadając, że się zwie wielmożny
Borejsza, że ma wielkie zachowanie
U Radziwiłła, i wieś do przeżycia,
I *bardzo grzmiącą wielką sławę z picia*.

Ten „gruby“ szlachcic-opój, „otyły i z rubinowemi policzki“, głośno przepijający do swego „chudego kolegi“, wiele ma wspólnego z Zagłobą, a jego towarzysz „skóra i kości“ zdaje się być bliskim krewnym pana Longinusa Podbipięty.

Kiedy w rozdziale II. *Ogniem i mieczem* słucha się opowiadania Zagłoby o jego podróży do Ziemi Świętej, do której się za grzechy młodości ofiarował, a do której, jak się okazało, nie dojechał ostatecznie, bo już w Galacie palmę męczeńską[1] otrzymał, trudno nie pomyśleć o początku pieśni VIII. *Beniowskiego*, w której pan Borejsza opowiada swe przygody na Krymie:

Jak zajechali me ambasadory
Do Krymu, nie wiem; ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza,
Z bodiaków wielkich i kolących bory,
Od których puszcza białowiejska mniejsza:
W tej puszczy wielkie skrzydlate połosy
I ludzie, którzy mieli płaskie nosy.

Później to... w Litwie... o swojej podróży
Mówiąc, jak Ariost jaki nie rymowy,
Mówił, jak okręt pośród wielkiej burzy
Płynąc podpierał i dopłynął zdrowy...
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,
A zresztą była kobietą prócz głowy,
A ogon wielki, gdyby u Sylena...
Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!

Na co Borejsza zgodził się, u stołu
To było: wtenczas wszystko prawdą zda się;
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
Zdusić na wieży, a on się na pasie

[1] Gdy Zagłoba w rozdziale II. *Ogniem i mieczem* opowiada, iż w drodze do Ziemi Świętej już w Galacie „palmę męczeńską otrzymał“ i że „pozwał już sułtana do grodu *za gwałt, którego się na nim dopuścił*“, to kto wie, czy nie idzie tu o takie samo „podcięcie“, jakie się przytrafiło panu Borejszy w Indyach z syreną Bonzów...

133

Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu
Sztukując; potem napomknął w nawiasie
I od niechcenia, że tej sztuki sztucznej
Przyczyną był mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogal; bowiem o jedną godzinę
Spóźnił się ze swą popiołową wieżą...
Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,
Mrugał oczyma: „Niechaj mię uderzą
Pioruny, jeśli kłamię! Niechaj zginę!“

„Że między Borejszą a Zagłobą — powiada Kallenbach — jest wielkie duchowe staropolskie powinowactwo, tego nie zaprzeczy nikt, kto się w Beniowskim przysłucha konceptom starego szlachcica, kto zwłaszcza zobaczy tam, jak się Borejsza sprawia przed tatarskim hanem.“

Nadto jest jeszcze inny typ szlachcica w Beniowskim, podobny z wielu rysów do Zagłoby: to pan Dzierżanowski, towarzysz Braneckiego. Bo i on, jak Zagłoba, nietylko jest zawołanym łgarzem, ale nadto i podróżnikiem nielada. Oto jego rozmowa z Braneckim: zachwycającym się panną Anielą, o której wdziękach mówi „brudnemi ustami“:

„Co myślisz, mój ty Dzierżanowski? rzecze,
Czy w Indyach, twoje musztrując Cypaje,
Widziałeś jakie oko, co tak piecze
I tyle ognia pod spojrzeniem daje?“

Na to pan Dzierzwa-noski... kłamca wielki,
Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:
„Ja trzymam tylko się każdej butelki,
Bom w Indyach stracił tę rzecz, co się zowie
Miłością. Miałem harem i ród wszelki,
I przynieśli mi syrenę Bonzowie,
Co miała ogon rybi i dwie twarze,
A sam uczyłem ją grać na gitarze.

Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,
Śpiewając jako maleńkie słowiczki,
Było to, pomnę, pod korkowem drzewem,
A nauczyłem ją jednej kantyczki...
Otóż widząc mię, że śpię, w ręku lewem
Mając gitarę, a w prawem nożyczki...“
Branecki przerwał: „Podcięła, jak szczygła!
Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierżasiu,
Gadam, a *ty mi znów kłamiesz bezczelnie*,
Jak tam się w jakimś kochałeś Karasiu;
Gdy strzelasz, strzelaj-że przynajmniej celnie...“

Trafną też jest uwaga Kallenbacha, że nietylko bitwy w *Beniowskim* podniecały wyobraźnię Sienkiewicza, iż w poemacie tym w ogóle znalazło się więcej podniet twórczych dla przyszłego autora Trylogii. „Były tam jakby puchy nasienne, które wchłonie wrażliwa młodzieńcza wyobraźnia, a po latach wyrosną one na kwiaty, na hołd bezwiedny ulubionemu poecie.“

Do takich „puchów nasiennych“ należała niewątpliwie i następująca oktawa *Beniowskiego*, zwracająca uwagę Sienkiewicza na legendową w kozaczyźnie postać groźnego księcia Jaremy:

„Gdzież nas powiedziesz — mruczy starszyzna kozacka do Żeleźniaka —

to rzecz krwawa
Bić się z naszymi braćmi rezuniami.
Co za nagroda? Co za przyszłość nasza?
Wiśniowieckiego pomnij Jeremiasza!
Oj, ta mogiła kiedyś się otworzy,
Gdzie zasnął stary kat i miecz wykinie,
Na naszych głowach się ten miecz położy
I naszą znowu krwią gorącą spłynie.“

A jak w tej jednej jest cała postać Wiśniowieckiego z *Ogniem i mieczem*, tak znowu cała patryotyczna działalność Kmicica w *Potopie* mieści się w tych paru wierszach pieśni VI. *Beniowskiego*:

I patrzcie, *co to jeden człowiek może,*
Gdy duchem gwiazdą na świata się kirze
Zapali!

Już to w ogóle dałoby się napisać całe studyum na temat reminiscencyj z *Beniowskiego* w Trylogii, a zwłaszcza w *Ogniem i mieczem*. Tak n. p. zaraz w pierwszym rozdziale tej powieści, gdy Skrzetnski uwalnia i puszcza wolno Chmielnickiego, dowiadujemy się o nim, że wraca z Krymu od hana, do którego jechał w poselstwie z listem od księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Tak samo i Beniowski jedzie z Borejszą na Krym do hana z listem księcia Karola Radziwiłła...

Przykładów takich, świadczących, pod jak silnym wpływem Beniowskiego pozostawał autor Trylogii, da się przytoczyć więcej. Oto, niedaleko szukając, zaraz w rozdziale III, Ogniem i mieczem, tuż przed sceną poznania się Skrzetuskiego z Heleną, czytamy, co następnje:

Raróg tymczasem krążył... to zniżał się, to podnosił... Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczały jak samo słońce na pogodnym błękicie nieba. Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów. Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta... Wtem na skręcie drogi wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy... Na ramieniu tej młodej pani siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dzióbem.

Gdy się do niej zbliżył pan Skrzetuski, Helena „nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zsiadłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni, i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć“.

Otóż scena ta dziwnie przypomina przygodę Beniowskiego z gołębiami z pieśni III, i jego poznania się z interesującą nimfą ukraińską.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane..

. . . .

Na to pan Zbigniew patrzał z ponad wzgórza,
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże...

. . . .

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biedz, gdzie burza błyskała czerwona,
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka nimfa na ramiona
Złożyła ręce... Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona,
Spojrzał: na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi, jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?
Tak myślac, zdjął je i trzymając w dłoni
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elster lub Taglioni...
Taniec w gołębia los przemionia dziwnie,
Tak owe białe gołębie, przeciwnie

Z lotu zrobiły taniec, i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane:
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo, smętne, zadumane...

I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał, i wnet wszystko dwoje...
Z ramion mu poszły i w kręgi i w słoje
Tnące powietrze...
Póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.
. . . .
Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły
. . . .
I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe...
W owem drzewie,
Od lat szesnastu zaledwie, dziewczątko,
W błękitne próchen rzucone zarzewie
W grocie z promieni...
w błyskotnej sukience
Stała na piersiach swych krzyżując ręce.
Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki
Sięgały jej ust dzióbki różanemi:
W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki,
I dwie perłowych łez zrobił równemi.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jej spłonęła i szyja;
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna...

Podobnie w pierwszej scenie ze Skrzetuskim, w rozmowie przy kolasce, i kniaziówna „zapłoniła się, zmieszana, potem przybladła nagle“, aż w końcu wzrok jej napotkał męskie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że „ciemny rumieniec pokrył jej twarz“.

Po krótkiej sielance w Rozłogach Skrzetuski rozstaje się z Heleną, jedzie do Łubniów, gdzie w jakiś czas potem otrzymuje list od Heleny, list pełen miłości i tęsknoty, a choć nie taki długi i poetyczny, jak słynny list Anieli do Zbigniewa z pieśni IV. Beniowskiego, to jednak podyktowało go to samo uczucie, zwłaszcza, iż sytuacya, i w Ogniem i mieczem, i w Beniowskim, była ta sama zupełnie, gdy szło o powody rozstania kochanków.

Okazuje się jednak, że i inne utwory Słowackiego, nietylko Beniowski, wpłynęły na niektóre pomysły w Ogniem i mieczem. Tak n. p. z rozdziału IV. tej powieści dowiadujemy się, że kniahini Kurcewiczowa ma pięciu synów, ale „najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwerężył“. W następnym rozdziale tak opisuje Sienkiewicz jego ukazanie się w obec Skrzetuskiego i jego towarzyszy: „W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł zwolna Wasil, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły, wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczy miał dwie czerwone jamy...“ „i taka niezmierzona rozpacz malowała się na jego twarzy, że goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem Helena posadziła go na krześle, sama zaś, wybiegłszy do sieni, wróciła z lutnią w ręku“. Każdego, który ma w pamięci tragedyę Słowackiego o dawnym konfederacie barskim, Horsztyńskim, musi uderzyć podobieństwo tej sceny z głównemi scenami w pomienionym utworze Juliusza: bo i Horsztyński ma „wykapane oczy“, z tą różnicą, iż jemu, podczas wyprawy na Drewian, oczy wykapali Moskale „gromnicami“, podczas kiedy Wasilowi Kurcewiczowi uczynili to samo Tatarzy „pochodniami“. Ta Helena zaś, wprowadzająca ociemniałego Wasila za rękę do komnaty, to zupełna analogia z „Salomeą“ przy ociemniałym Horsztyńskim, który tak samo, jak Wasyl, również „nie jest przy zdrowym rozumie“.

Ale nie na tem koniec. Z tego samego rozdziału, mianowicie z historyi Kurcewiczów, dowiadujemy się o zmarłym ojcu Heleny, Wasilu, że „sprowadziwszy do Rozłogów brata swego, Konstantego, z rodziną, żył z nimi w zgodzie i każdym kawałkiem chleba z nimi się dzielił“ aż do końca 1634 roku, „w którym Wasil z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył“. „Tam zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim

przejęto list, pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Naprożno Wasil świadczył się Bogiem, że ni ręka ni podpis na liście nie są jego, herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłumaczył, nikt wierzyć nie chciał i t. d.“ Dopiero potem, już po śmierci Wasila, wyszła niewinność jego na jaw. Identycznie taką samą historyę opowiada o sobie w rozmowie z Horsztyńskim hetman Kossakowski w tragedyi Słowackiego:

Hetman. Horsztyński, wiem, że masz powierzchowne dowody...

Horsztyński. Na piśmie!

Hetman. Tak! Zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

Horsztyński. Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

Hetman. Być może! być może!... Ale ja ci przysięgnę, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmowskim papierze... Chcieli mnie zgubić! A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze moje postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią.

Horsztyński. Łagodniej, panie Hetmanie, z wrogiem twoim! Wiesz, że nie jestem przy zdrowym rozumie.

Tych kilka przykładów przekona chyba każdego, że „siła fatalna“ poezyi Słowackiego w wielu miejscach Sienkiewiczowskiej Trylogii, odbiła się bardzo widocznie, szczególniej w *Ogniem i mieczem.*[1]

---

[1]) Zaznaczyć muszę, że mnie tu nie szło wcale o wyczerpanie tematu, lecz jedynie o wskazanie na wybitny wpływ poezyi Słowackiego na twórczość Sienkiewicza. Ale temat to w każdym razie, który godzi się rozwinąć do rozmiarów osobnego studyum literackiego.

XVII.

Rzeczą jest młodszej krytyki polskiej wykazać, że tak samo, jak na Sienkiewicza, wywarła poezya Słowackiego wpływ decydujący także i na następną generacyę powieściopisarzy polskich, na Żeromskiego, na Reymonta, na Tetmajera, jako powieściopisarza, na Sieroszewskiego, którego Beniowski niewątpliwie wywodzi się od Beniowskiego Juliusza, i na wszystkich najmłodszych z Przybyszewskim na czele. Bo — jak to trafnie stwierdził prof. Tretiak — język tego całego pokolenia powieściopisarzy polskich urobiony jest w znacznym stopniu na języku Słowackiego, i temu zawdzięcza swą barwność, ba, swą nowoczesność!

Wpływ ten daje się zauważyć i w pracach naszych młodszych historyków, od Kubali począwszy, którzy swe historyczne prace często urozmaicają cytatami ze Słowackiego, lub na jego poezyi opierają swe wywody. Tak n. p. Sobieski, w swem wspaniałem studyum Na Wawelu a na Kremlu, w paraleli psychologicznej, przeprowadzonej między Iwanem Groźnym a Zygmuntem Augustem, charakteryzując moskiewskiego cara, raz po raz cytuje ustępy z Króla Ducha.

A cóż dopiero powiedzieć o krytyce polskiej! Zwłaszcza historyczno-literackiej! Bo gdzie jest drugi poeta polski, o którym istniałaby równie bogata literatura, — literatura, z której złożyłaby się wielka biblioteka! Dużo pisano o Kochanowskim, o Mickiewiczu i o Krasińskim, ale o żadnym nie istnieje tyle studyów, rozpraw i szkiców, co o Słowackim. A co jest niemniej uderzającem, że nietylko ilościowo, ale i jakościowo, to, co krytyka miała do powiedzenia o Słowackim, przewyższa studya o innych poetach. Niczyjej twórczości nie zbadano tak wyczerpująco, z takim pietyzmem, jak poezyi Słowackiego. Żaden z naszych poetów, ba, żaden z naszych bohaterów narodowych, nie doczekał się tylu monografij, co Słowacki, i tak dobrych monografij!

Świetne są monografie Chmielowskiego, Władysława Mickiewicza, Kallenbacha o Mickiewiczu, znakomitą jest Tarnowskiego monografia o Krasińskim, ale żadna z nich nie osiągnęła tego stopnia popularności w całem społeczeństwie, jak Małeckiego książka o Słowackim. Dziełem tem, rzeczywiście znakomitem,

zwłaszcza na swój czas, wystawił sobie Małecki *monumentum aerae perennius*, a choćby nawet nie napisał swych przenikliwych Studyów heraldycznych, ani swego dzieła o Lechitach, ani swych Opowiadań z przeszłości dziejowej, ani wreszcie swej klasycznej, epokowej poprostu Gramatyki, mimo to, jako autor dzieła o Słowackim, miałby takie samo pierwszorzędne stanowisko w literaturze, jnkie mu przypadło w udziale. A czemu to przypisać głównie? Czy tylko wybitnym zaletom monografii o Juliuszu? Nie ulega wątpliwości, iż dzieło jest zupełnie *hors ligne*, śmiało wytrzymujące porównanie z najlepszemi zagranicznemi monografiami o Byronie, o Goethem i Schillerze, ale zaprzeczyć nie da się również, że gdyby poeta, jako człowiek, nie był tak interesującym, jak Słowacki, to i książka o nim, opisująca jego życie i twórczość, nie byłaby tak zajmującą, nie zdobyła sobie tej poczytności.

Zdawałoby się, że skoro istnieje tak świetna książka o poecie, to już nie ma potrzeby, ażeby i inni podejmowali ten sam temat. Tak jest do pewnego stopnia z Krasińskim, o którym *vox populi* uznał monografię Tarnowskiego za „ostatnie słowo“ o nim; tak jest po części i z Mickiewiczem, o którym jakoś po monografiach Chmielowskiego i Kallenbacha, a zwłaszcza po wyczerpującym życiorysie Władysława Mickiewicza, nie zanosi się na nowe dzieło tego rodzaju; tymczasem Słowacki, pomimo — zdawałoby się — wyczerpania tematu przez Małeckiego, nie dał ani na chwilę spokoju krytykom historyczno-literackim, czego najlepszym dowodem, niezależnie od prawdziwie nieprzejrzanej masy mniej lub więcej obszernych studyów i rozpraw, monografie Tretiaka, Matuszewskiego, Grabowskiego, Jellenty. A wszystko dlatego, że „siła fatalna“ poezyi Słowackiego jeszcze dziś działa silniej na umysły literackie, aniżeli jakakolwiek inna poezya...

Jak wielką jest ta siła, tego dowodem są nawet tacy krytycy, którzy Słowackim nigdy nie zajmowali się specyalnie, ze szczególnem upodobaniem. Klaczko n. p. niby to nie czuł szczególnego pociągu do Słowackiego, o którym nawet w poufnych rozmowach wyrażał się z przekąsem; mimo to jednak, pomimo całego kultu, jaki miał dla Mickiewicza i Krasińskiego, gdy się raz dorwał do poezyi Słowackiego, do tego — jak go nazwał trafnie — „Weroneza polskiej poezyi“, tak się dał oczarować jej urokowi, że ją pod chwilowem wrażeniem postawił wyżej, niż wszystkie inne, a „kochając Słowackiego, którego nazywał największym artystą,

innych znienawidził“ [1]. Tak samo i Tarnowski, o którym nawet urobiła się opinia (niesłuszna zresztą), że „nie lubi“ Słowackiego. Co pewna, iż Tarnowski najwyżej ceni Mickiewicza (i słusznie), a dla Krasińskiego żywi całkiem wyjątkowy kult. Słowackiego stawia na trzeciem miejscu, po Mickiewiczu i Krasińskim. A jednak nie brak takich, których zdaniem Tarnowski, jako krytyk i estetyk, wzniósł się najwyżej, nie w swej monografii o Krasińskim, nie w swych znakomitych studyach o Mickiewiczu, ale właśnie w rozprawach, poświęconych analizie dzieł Słowackiego, poczynając od obszernego sprawozdania z książki prof. Małeckiego (który to rozbiór niektórzy uważają za najlepszą z pomiędzy wszystkich prac Tarnowskiego), a kończąc na świetnych rotrząsaniach Horsztyńskiego, Niepoprawnych, Mazepy, Maryi Stuart, W Szwajcaryi i Ojca zadżumionych. Można się sprzeczać w tej kwestyi, ale trzeba zanotować tę opinię, gdyż nie jest ona wcale odosobnioną, lecz podzielaną przez szerokie koła w sferach literackich krakowskich.

A to samo zdarzyło się i innym wybitnym krytykom. Dość wymienić Matuszewskiego, który choć jest autorem całego szeregu cennych dzieł krytycznych, jednak w oczach ogółu, dla tego narodowego instynktu, „który tak rzadko się myli“, jest i pozostanie przedewszystkiem autorem Słowackiego i nowej sztuki. Podobnie ma się rzecz z prof. Tretiakiem: pomimo swej znakomitej monografii o Bohdanie Zaleskim, o Mickiewiczu w Wilnie i Kownie, o Skardze, i Puszkinie, o Krasickim i Asnyku, największą sławę zjednało mu niewątpliwie jego znakomite — choć tak namiętnie zwalczane przez płytką i popularności schlebiającą krytykę — dzieło o Juliuszu Słowackim, będące olbrzymim krokiem naprzód w stosunku do książki Małeckiego. Burza, która zerwała się po wyjściu tej mistrzowskiej monografii, a która zresztą miała wiele typowych cech burzy w szklance wody, przeszła „jak tuman pyłu, którym wicher kręci“, uciszyły się namiętności i... małości, a książka prof. Tretiaka, niewątpliwie jego arcydzieło, na długie lata pozostanie arcy-

---

[1] Zapisuje to And. Edw. Koźmian w swym liście z Paryża do rodziny, datowanym d. 2 listopada 1858 r. „Klaczkę widuję... Twierdzi on, że krytyk nie powinien być bezstronny, lecz powinien nienawidzić lub kochać. On teraz, oprócz Mickiewicza, kocha Słowackiego, którego zowie największym artystą. Innych nienawidzi.“

dziełem subtelnej i przenikliwej krytyki psychologicznej, i jako taka, niezatartemi zgłoskami zapisze się w historyi literatury.

Wymieniając nazwisko prof. Tretiaka, mimowoli myśli się o prof. Hahnie, który także, choć pisał o najrozmaitszych pisarzach i poetach, przedewszystkiem zasłużył się jako sumienny badacz Słowackiego. To samo Méyet: cokolwiek napisał o Wizerunkach Adama Mickiewicza, jakąkolwiek jest jego zasługa przez ogłoszenie i opracowanie Listów Krasińskiego do pani Bobrowej, do literatury, do historyi krytyki w Polsce, przejdzie on w pierwszym rzędzie jako wydawca Listów Słowackiego.

Co również musi być poczytane za niesłychany tryumf „siły fatalnej“ i uroku poezyi Słowackiego, to fakt, zakrawający prawie na ironię, że nigdzie nie ogłoszono tylu cennych rozpraw o Słowackim, co w lwowskim „Pamiętniku literackim imienia... Adama Mickiewicza“. Bez roczników tego kwartalnika, założonego w celu propagowania kultu autora Dziadów, niepodobna dziś przystąpić do studyów nad Słowackim; bo nie ulega wątpliwości, że najlepsze, najbardziej wartościowe prace krytyczne, jakie się ukazały w kilkudziesięciu zeszytach tego wydawnictwa, obracają się około życia i twórczości Słowackiego. Tutaj drukowała się Mistyka Słowackiego Pawlikowskiego, tutaj, w postaci niezliczonych studyów, znajduje się największy materyał do biografii i bibliografii Juliusza; a co również nie może ujść baczności, jako szczegół psychologiczny, wysoce znamienny dla pewnych kół naukowych, że pierwszy rocznik tego zasłużonego ze wszech miar Pamiętnika literackiego poświęciło wydające go Towarzystwo imienia Adama Mickiewicza nie komu innemu, tylko Antoniemu Małeckiemu, a więc pisarzowi, najbardziej wsławionemu swą książką o... Juliuszu Słowackim!

Rzeczywiście, iż trudno o efektowniejsze ziszczenie się dumnej przepowiedni poety o sobie w Beniowskim:

przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

XVIII.

W liście swym do Stattlera z r. 1845 na temat przyszłego malarstwa polskiego przepowiadał Słowacki, że przedewszystkiem urodzi się ono w Krakowie, a następnie będzie to sztuka pełna „wspomnień o dawnej Polsce, tej wschodnio-błyszczącej strony charakteru narodowego, która musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowością, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów“. W słowach tych przeczuł Słowacki poprostu Matejkę; ten zaś, od pierwszej chwili, gdy zaczął tworzyć swe arcydzieła, dziwny czuł pociąg do Słowackiego i jego poezyi, a „wizye dziejowe naszego Juliusza“ — jak się przy sposobności wyraził o jego utworach z przeszłości Polski — najbardziej mu trafiały do gustu. Jakoż znał je wybornie, a jak w nie wmyśliwał się głęboko, o tem najlepiej świadczy jego oryginalny komentarz do Balladyny.

Lecz nietylko Matejko, jeśli idzie o malarzy polskich, był takim fanatycznym czcicielem Słowackiego. Historyk sztuki, który napisze specyalne studyum O poezyi Słowackiego w malarstwie polskiem, będzie miał nader wdzięczny i rozległy temat. Ileż bo jest znakomitych obrazów, osnutych na motywach z dramatów i poematów Juliusza! Jednem z arcydzieł Jacka Malczewskiego, obrazem, mającym największą popularność w całej Polsce, jest zdobiąca Muzeum Narodowe w Krakowie Śmierć Ellenai. Witold Pruszkowski namalował cały cykl obrazów sybirskich na temat różnych scen z Anhellego, a jego poetyczna Eloe, spopularyzowana przez kolorową reprodukcyę, podobnie jak i jego eteryczna Goplana, należą niewątpliwie do arcydzieł malarstwa polskiego. Rostworowskiego cykl obrazów kredkowych, ilustrujących sceny z Balladyny, Wyczółkowskiego Alina, Andriollego ilustracye do Lilli Wenedy nietylko przynoszą zaszczyt swym twórcom, ale nadto dowodzą ich kultu dla Juliusza. Tego samego dowodzą różne obrazy Oleszczyńskiego, Kossaka, Gersona, Mireckiego, Stachiewicza, Pawliszaka, Piotrowskiego, Bujalskiego, Pileckiego, Piątkowskiego, Alchimowicza, Młodnickiego, Lewandowskiego, Macewicza, Styki, Ryszkiewicza, Szwojnickiego, Masłowskiego, Górskiego, Kamieńskiego, Gawińskiego, Sawiczewskiego, Tańskiego, i jeszcze wielu innych młodszych i najmłodszych.

Jednem słowem, temat do drobnego studyum estetycznego nader wdzięczny.

Studyum O Juliuszu Słowackim w muzyce polskiej już zostało napisane. Wyszło ono z pod wytrawnego pióra prof. Adolfa Chybińskiego. Okazuje się, że i na muzyków polskich „siła fatalna" poezyi Słowackiego działała i działa nieprzeparcie, przyczem „z małymi wyjątkami wszyscy prawie kompozytorowie polscy zwrócili się do Słowackiego, jako twórcy dramatów, omijając jego utwory liryczne".

Pierwszym kompozytorem, posługującym się dramatami Słowackiego, jako tekstami swych oper, jest Henryk Jarecki, który, jako uczeń Moniuszki, w r. 1872 napisał melodramatyczną muzykę do Balladyny, w r. 1875 do Lilli Wenedy, a w r. 1880 skomponował operę Mindowe. Nadto jest jego poemat w czterech częściach na chór mięszany z orkiestrą, p. t. Hugo, osnuty na poemacie Słowackiego.

W r. 1885 powstała opera Adama Münchheimera Mazepa, z librettem, ściśle przerobionem z tragedyi Słowackiego. Opera ta, „wahająca się między stylem Meyerbeera a stylem wcześniejszych oper Verdi'ego", przedostała się nawet na sceny włoskie, a dopiero potem była grywana w Warszawie.

Najlepszą ze wszystkich oper polskich, osnutych na dramatach Słowackiego, jest Goplana Władysława Żeleńskiego, poczerpnięta z Balladyny, wystawiona w Warszawie w r. 1897.

Nadto istnieje opera Seweryna Bersona, ucznia Żeleńskiego, p. t. Jan Bielecki, osnuta na poemacie Słowackiego.

„Młoda muzyka polska — powiada Chybiński — zwraca się coraz częściej myślą ku Słowackiemu, głównie z powodu poetycznej nastrojowości, jaką tchną jego nieśmiertelne dzieła."

Pierwszy poszedł w tym kierunku Mieczysław Karłowicz, który napisał muzykę do jednej ze strof poematu W Szwajcaryi: „Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą..." Zdaniem Chybińskiego jest to „jedna z najbardziej wartościowych kompozycyj polskich na tle twórczości Słowackiego", a jednocześnie „jest to zarazem najlepsza z pieśni nieodżałowanej pamięci twórcy Trzech odwiecznych pieśni i *tchnie w istocie duchem Juliusza*".

Henryk Opieński napisał w r. 1905 nastrojową muzykę do Księcia Niezłomnego, a w parę lat potem skomponowana przezeń Lilla Weneda „dowodzi przejęcia się tonem, na który nastrojona jest twórczość Słowackiego".

145

Ludomir Różycki napisał poemat symfoniczny na temat Anhellego, a prócz tego pisze operę, a raczej dramat muzyczny, wprost do oryginalnego tekstu Beatrix Cenci Słowackiego, w którym to utworze „duch Słowackiego — jak pisze Chybiński — obcy wszelkim normalnym szablonom, poda rękę formie dramatu muzycznego“.

Edmund Walter zapowiada większą kompozycyę muzyczną na solo tenorowe z chórami i orkiestrą do poematu W Szwajcaryi...

XIX.

Oto, w jaki sposób „siła fatalna“ Słowackiego przejawiała się w ciągu długiego lat szeregu w poezyi i prozie polskiej, w malarstwie i rzeźbie, a wreszcie i w muzyce. Nie ma drugiego poety polskiego, którego wpływ byłby równie zapładniający na inne duchy twórcze. Temu nie zaprzeczy nikt.

A jaki z tego wniosek ogólny? Ten przedewszystkiem, że w pół wieku po śmierci doczekał się wreszcie Słowacki tego uznania, jakiego sobie nie umiał zjednać za życia, czyli, że ostatecznie spełniło się jego życzenie dziecięce. „Mając lat ośm — pisał on w jednym z listów do matki, — przysięgałem Bogu w kościele katedralnym w Wilnie, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, ale za to za grobem o wszystko się upomnę...“ „O Boże! (taką była jego zwykła modlitwa) daj mi sławę choćby po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu!“ I stało się zadość jego dziecinnej prośbie: Bóg dał mu „nieśmiertelną sławę po śmierci“, ale mu ją kazał okupić osamotnieniem i nieuznaniem za życia!

Dziś sława jego, dorównywująca Mickiewiczowskiej, rozbrzmiewa wszędzie, gdzie tylko sięga mowa polska. Dziś wszyscy godzą się na to, że dwaj nasi najwięksi poeci, to Mickiewicz i Słowacki.

Jaka pomiędzy nimi różnica? Mickiewicz, jako jeden z kilku największych geniuszów poetyckich świata, jest prostszy i łatwiejszy do zrozumienia; Słowacki zaś, jako jeden z największych talentów

epoki romantycznej, jest poetyczniejszy i bardziej nowoczesny. Dzieła Mickiewicza, przystępne nawet dla mniej wykształconych umysłów, zbłądzą może z czasem pod strzechy, jak to było gorącem pragnieniem poety; Słowacki nigdy nie przestanie być poetą arystokracyi ducha.

FERDYNAND HOESICK.

Zygmunt Kaczkowski
i jego czasy.

(*Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych.*)

(Dokończenie).

XI.

(Ogólna charakterystyka. — Ostatnie ciosy: Śmierć tragiczna bratanka. Śmierć siostrzenicy i siostry. — Broszura niemiecka o ks. Bismarku. — Przeczucie końca. — Rozporządzenia testamentowe. — Puścizna. — Poślubienie Maryi Cayez. — Smutek ostatnich chwil życia. — Deklaracya na łożu śmierci. — Zgon. — Pogrzeb. — Domówienie.)

W pobieżnym przeglądzie, o ile on się dał zmieścić w ramach niniejszego studyum, przeszliśmy wszystkie utwory Zygmunta Kaczkowskiego, aż do ostatniej niemal chwili jego życia, obfitego w wypadki, a oddanego pracy, istotnie niezmordowanej. Tragiczne zajścia w r. 1863 wytrąciły na czas dłuższy pióro z ręki niepospolitego pisarza, ale go nie złamały. Upłynęły wprawdzie lata, w których Kaczkowski, zajęty bądź sprawami politycznemi i dyplomatycznemi, bądź budową swego bytu materyalnego, obracał się niemal wyłącznie w sferach politycznych i finansowych, w których znalazł nietylko uznanie, zdobył nietylko odznaczenia — był bowiem kawalerem francuskiej Legii honorowej i papieskiego orderu Chrystusa, — lecz i znaczną fortunę. Do prac jednak literackich powracał, rzec można, z nałogu, z których jednak istotną wartość mają tylko „Olbrachtowi rycerze“ — powieść, obmyślona i w znacznej części ułożona w latach młodych, w pełnym jeszcze rozkwicie talentu.

Zdobył fortunę, lecz nie uzyskał spokoju, ani zadowolenia. Jego ambitny, niespokojny, żądny znaczenia duch, nie mógł znieść na sobie piętna, wyciśniętego „brzydkim“ — jak się warszawski Rząd narodowy wyraził — wyrokiem lwowskim z r. 1863. Gryzła go nieustannie myśl, że owa haniebna sprawa, jakkolwiek wyrok lwowski skasowano i chociaż powrót do kraju był mu dozwolony,